

  
Danuta Frey   




**Broszka  
z zielonych  
kamieni**

# Danuta Frey

## Broszka z zielonych kamieni



ISKRY-WARSZAWA- 1979

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

ISBN 83-207-0036-1

O Copyright by Danuta Frey Warszawa 1979

Redaktor

DANUTA ŁUKAWSKA

Redaktor techniczny

ANNA ŻOŁĄDKIEWICZ

Korektor

BARBARA SIENNICKA

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1979 r.

Wydanie I.

Nakład 100000+300 egz.

Ark, wyd. 8,7. Ark, druk. 12.

Papier offset mat, ki. VII, 60 g, 93 cm rola.

Druk ukończono w maju 1979 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Zam, nr 8019/78 S-97

Cena zł 30. -

## *Rozdział 1*

**P**o drugiej stronie biurka siedział mężczyzna około czterdziestki, w ciemnym, eleganckim, zapewne u drogiego krawca szytym garniturze, dziwnie nie pasującym do obecnej, rannej pory dnia. Twarz miał zmęczoną, żółkła, zmiętą, z bruzdami zmarszczek wokół ust i na czole, z podpuchniętymi powiekami. Na spiczastym podbródku i policzkach widniał cień zarostu. Twarz ta odbijała może nie przespaną, może przepitą noc. Ale nie tylko. Wyraz znużonej obojętności, jaki dawał się zaobserwować w nienaturalnie spowolnionych ruchach choćby dłoni, unoszącej do ust papierosa, zdradzał, że zapewne musiało się tej nocy zdarzyć coś więcej.

- Niech mi pan opowie wszystko od początku - zaproponował porucznik milicji, Marek Wanacki, zajmujący miejsce naprzeciwko.

Mężczyzna w ciemnym garniturze zawahał się. W jego oczach pojawił się ogień wewnętrznego sprzeciwu. Po chwili jednak zgasł.

- Od początku? - powtórzył, a w tonie głosu zabrzmiało nie tyle pytanie, co rezygnacja.

- Nazywam się Aleksander Zelman. Przed dwoma tygodniami ukończyłem czterdzieści lat. Mieszkam na Saskiej Kępie. Kilka lat temu udało mi się kupić jednopiętrowy dom z garażem i ogrodem. Willa była trochę zniszczona, więc ją odnowiłem i zmodernizowałem. Ogrodem - mamy w nim piękne róże - zajmuje się żona. Jest to moja druga żona, ma na imię Alina. Pierwsza, Krystyna, zginęła w Tatrach. Byliśmy wówczas na wycieczce. Pośliznęła się i spadła w przepaść. Wypadek zdarzył się przed dziesięciu laty.

Pracowałem wtedy - z zawodu jestem inżynierem chemikiem - w wytwórni pocztówek dźwiękowych w jednej z podwarszawskich miejscowości. Wkrótce udało mi się zdobyć trochę gotówki i stałem się współwłaścicielem tego zakładu. Drugi współwłaściciel nazywa się Jan Giziński, a moje dawne miejsce w wytwórni zajmuje obecnie inżynier Leszek Horn. Żona Leszka, Bożena, występuje jako piosenkarka. Jej piosenki również nagrywamy.

Poza nami dwojgiem, to znaczy mną i Aliną, mieszka jeszcze na Ateńskiej mój pasierb, syn Aliny z pierwszego małżeństwa, Janusz Balcerzak. Stosunki między nami układają się dobrze. Janusz studiuje na politechnice, na wydziale elektrycznym. Pasjonuje się sportem rajdowym i jemu poświęca każdą wolną chwilę. Widujemy się w domu raczej rzadziej niż częściej.

Tyle - i tak - Zelman wówczas powiedział, obserwując wirującą szpulę magnetofonu. Następnie poprosił o szklankę wody. Pijąc powoli, drobnymi łykami, i czując przyjemne

zimno, falami rozptywające się w wysuszonym gardle - powrócił jeszcze raz myślą do miejsca, które niedawno opuścił.

Dochodziło wówczas wprost do jedenastej. Dokładnie; spojrzął wtedy na zegarek. Potem powędrował wzrokiem dalej - do parapetu, o który opierała się jego własna dłoń. Za szybą drgały w jesiennym wietrze wilgotne, pełne już rdzawych plam liście rosnącego nie opodal kasztana. Od czasu do czasu któryś odrywał się od szypułki, ocierał bezgłośnie o szybę i miękko spadał w dół.

Mężczyzna, którego Zelman ujrzał po raz pierwszy dwie godziny temu, był porucznikiem milicji. Stał teraz obok - w czarnej skórzanej marynarce, spod której wyglądała flanelowa koszula w kratę, w granatowych, chyba milicyjnych spodniach. Miał nieco sfalowane włosy, ciemne, ruchliwe oczy, szeroki, zdecydowany podbródek i wystające kości policzkowe. Wyglądał na niewiele ponad trzydziestkę i nie wydawał się sympatyczny. Zelman doszedł do wniosku, że winę za to ponosi nadmierna pewność siebie.

- No i co? - zapytał porucznik. Odwrócił głowę. - Pójdziemy?

W chwilę później Zelman uczył na swoich plecach lekkie pchnięcie i ono skierowało go w stronę drzwi. Tamten szedł tuż za nim.

Już w progu Zelman odwrócił się i jeszcze raz obrzucił wzrokiem pokój, w którym rozegrały się wydarzenia owej nocy. Na stole stał magnetofon i talerzyki z resztkami kanapek oraz rozmazanym kremem z ciastek. W butelce z koniakiem została jedynie reszтка płynu, podobnie w butelkach po coca-coli. Otwarte drzwi szafy ukazywały puste półki. Wyblakła zielona poduszka, na której siedział szmaciany pierrot o karminowych ustach, przykrywała zapadłe siedzenie dużego fotela. Obok pajaca - wpólotwarta damska torebka, dalej -

błyszcząca, niebieska sukienka oraz biustonosz.

Na podłodze, tuż przy fotelu, leżał przykurzony, kiedyś żółty, teraz o trudnym do określenia kolorze abażur, za nim - przewrócona lampa. W metalowej oprawce pozostał po żarówce jedynie sterzczący, ułamany kikut. Reszta szkła rozprysnęła się wokół. Tam, gdzie rąbek wyszarzałego dywanu graniczył z podłogą, wysuwając w jej kierunku przyblakłą zielen ostatniego liścia i czerwien kwiatu ze swego deseni, z dłonią opartą o zardzewiały kaloryfer leżała Urszula.

Jej ciało - skurczone, obrysowane białym konturem kredy - wydawało się mniejsze i drobniejsze niż w rzeczywistości a ona sama - starsza. Dziewczyna leżała w odległości około dwóch metrów od rozścielonego tapczanu - z niczym nie przykrytą kołdrą i poduszką, z prześcieradłem zwisającym aż do podłogi.

Urszula... - pomyślał Zelman i poczuł skurcz serca, identycznie jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Teraz leżała, inna od tej, jaką znał, znieruchomiła, zimna i obojętna już na zawsze. Była prawie naga. Kąpielowy ręcznik przykrywał jedynie biodra i brzuch, pozostawiając odsłonięte chude, wystające ramiona oraz małe piersi. Mokra, pozlepiane jasne kosmyki włosów zasłaniały część twarzy i opadały na oczy, patrzące spod w półprzymkniętych powiek w sufit.

Zelman odwrócił wzrok. Wiedział, że nigdy - nigdy już - nie zapomni tego dnia i tego widoku. Ale nie chciał i nie mógł patrzeć dłużej.

Eskortowany przez porucznika w skórzanej marynarce, wyszedł na ulicę. Uderzył go w twarz zimny wiatr. Chodniki były śliskie od deszczu i gnijących liści. Słońce świeciło anemicznie, wyblakłe na równie wyblakłym niebie.

Przy krawężniku stał milicyjny fiat. Wsiadając, Zelman poczuł zawrót głowy i podchodzące do ust mdłości.

Odstawił pustą szklankę. Nadal miał pragnienie, lecz nie chciał prosić o drugą.

Jakoś to wszystko przetrzymam - pomyślał. Musiał przetrzymać.

- Zapali pan? - zapytał porucznik, przechylając się przez biurko. - Nie? - zdziwił się, widząc przeczący ruch głową. Zabębnił niecierpliwie palcami po blacie.

Stały tu obok siebie dwa telefony - jeden czarny, drugi szary - leżał kalendarz w tekturowej okładce, rozdarte pudełko ze spinaczami, jakieś akta. - No i co, panie Zelman - zapytał - od jak dawna znał pan tę dziewczynę?

Szpula magnetofonu obracała się jednostajnym, monotonnym ruchem.

- Od około ośmiu miesięcy - odparł Zelman. - Poznałem ją w zimie...

## *Rozdział 2*

**D**zień nie był wcale taki ważny. Zdaje się sobota, koniec lutego lub początek marca.

Padał śnieg. Wilgotny, pomieszany z deszczem, nieprzyjemny. Zajeżdżając na Ateńską, Zelman wahał się nawet przez chwilę, czy nie wstawić, choćby na krótko, wozu do garażu. Doszedł jednak do wniosku, że nie warto i zaparkował volkswagena przy chodniku.

Szukając po kieszeniach płaszczu kluczy do furtki, podniósł mimowolnie głowę i ujrzał w oknie swojego pokoju czyjąś twarz. Mogła to być tylko Alina - wydało mu się, iż poznaje



jej rudawe włosy. Jak jednakże zdołała się dostać do zamkniętego pomieszczenia? W końcu klucze od niego miał tylko i wyłącznie on sam, ponieważ nie lubił, żeby wtykała nos w nie swoje sprawy.

Tym razem jednak kluczy, które zawsze brał ze sobą, w kieszeniach nie znalazł. W myśli przeklął wczesny telefon Gizińskiego, który go wyrwał z łóżka już o szóstej rano, zmuszając, by pędził na łeb, na szyję do wytwórni. Może przez ów pośpiech zostawił klucze lekkomyślnie gdzieś w domu? Jeśli tak, dalsze poszukiwania nie miały sensu.

Raz jeszcze spojrzął w okno. Twarz zniknęła i przez moment myślał, że padł ofiarą złudzenia czy śniegu zasypującego oczy.

Zdjął rękawiczkę, gołą dłonią odgarniając wilgotny, zimny puch, osiadły na dzwonku.

Zaśona za oknem pokoju dziwnie zafalowała. Jak gdyby ktoś gwałtownie zaczepił o nią ciałem albo jakby ją uniósł powstały nagle przeciąg. Wkrótce potem uchyliło się okno pokoju Aliny.

- Co tak niecierpliwie? Już schodzę. - I zaraz potem: - Zapomniałeś kluczy?

Nie odpowiedział. Okno zatrzasnęło się, usłyszał stukot obcasów, ujrzał Alinę. Przez chwilę mocowała się z zacinającymi się drzwiami, potem wybiegła do ogrodu.

Miała na sobie jakąś cienką sukienkę, na którą narzuciła płaszcz, dziwnie kontrastujący z bosymi nogami, ubranymi jedynie w wysokie, czerwone drewniaki. Zakręcone na lokówki włosy, ukryte pod ciemną ażurową siatką, wypuszczały tu i ówdzie rudawe pędy. W odrobinę wulgarniej twarzy, która kiedyś z pewnością musiała być ładna, z wiekiem jednak nabrała zwiotczalej obwisłości, mrugały niebieskie oczy, obramowane powiekami o nienaturalnie czarnych, sztywnych od

tuszu, przykrótkich rzęsach. Mały nos i skóra policzków wyglądały tak, jak gdyby ich właścicielka opalała się przez sito.

- Co dziś tak wcześniej? - zapytała, całując męża zwyczajowo w policzek na powitanie. Poczul lekki odór potu, zmieszany z zapachem perfum. - Obiad jeszcze nie gotowy. Myślałam, że przyjdiesz dopiero o czwartej.

Odniósł wrażenie, że mówi zbyt pospiesznie i z pewną dozą zakłopotania.

- Chodź już, bo się zaziębisz - zaproponował.

W przedpokoju Alina strzepnęła z płaszcza i włosów płatki śniegu i zniknęła w kuchni. Stamtąd właśnie doszedł Zelman jej głos.

- Poczekaj trochę! Dopiero co wstawiłam kartofle, muszą się jeszcze pogotować!

Stukot drewniaków przeniósł się do łazienki. Zelman poszedł w ślad za nim i zobaczył Alinę, stojącą przed lustrem. Rozczesywała szczotką włosy. Odwróciwszy głowę, zapytała:

- Podobam ci się? - Wygięła się kokieteryjnie, co wzbudziło w Zelmanie jedynie ironiczną pobłażliwość. - Pocałuj.

Niezbale cmoknął upudrowany policzek. Alina wyciągnęła obie ręce.

- Miałbyś ochotę? - szepnęła. - Janusza nie ma.

Zelman odsunął ją szorstko od siebie.

- Teraz nie - mruknął. - Jestem zmęczony.

Mówił prawdę. Giziński ściągnął go tak wcześniej z łóżka nie bez powodu. Ostatnia partia wyprodukowanego towaru powinna trafić na rynek jak najprędzej i wszyscy trzej, to znaczy on sam, Giziński oraz Horn, musieli się tym teraz pilnie zająć.

- Trudno - mruknęła Alina. W jej głosie brzmiał nie tyle

zawód, co urażona duma. Usta wydeły się w grymasie niechęci. - Zdaje się, że zapomniałeś dziś kluczy... - rzuciła nagle, ze złośliwą satysfakcją.

Zelman doznał uczucia nagłej irytacji.

- Jakbyś zgadła - odparł. - Gdzie są?

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Za tobą nie chodzę! Tam pewnie, gdzie je zostawiłeś! Może w jadalni? - Chrząknęła, odwracając się na nowo do lustra, odbijającego również i twarz Zelmiana. Spostrzegł to dopiero po chwili. Trzaskając głośno drzwiami, poszedł do jadalni.

Pokój, może dlatego, że jego okna przesłaniał cień dużego srebrnego świerka, wydawał się ciemniejszy od pozostałych. Wrażenie pogłębiał komplet orzechowych mebli. Wyglądały - Zelman konstatawał to nie po raz pierwszy - szacownie i bogato. Czyli tak właśnie, jak chciała je widzieć Alina.

Kiedy się z nią zenił, nie posiadała właściwie nic prócz kwaterek pokoju z kuchnią, pozostałych po zmarłym w wypadku drogowym pierwszym mężu, a ciężko pracując w jakimś przedsiębiorstwie, ledwie wiązała koniec z końcem. Obecnie miała willę i nie musiała się liczyć z każdym groszem. Zelman był przekonany, iż chyba to doceniała.

Natomiast uczuć żony nie starał się analizować. Brakowało mu czasu i ochoty na zagłębianie się w domysłach, czy wyszła za niego za mąż z miłości, czy też tylko i wyłącznie dla pieniędzy. Zresztą w tej chwili i tak było mu to obojętne. Przez kilka lat małżeństwa miłość, o ile w ogóle taka kiedykolwiek istniała i o ile był nią ów fizyczny pociąg, jaki odczuwał niegdyś do Aliny, zdążyła się wypalić. Żona Zelmiana miała skłonność do tycia, a armia zmarszczek zaczynała zdobywać coraz to nowe obszary na jej twarzy.

Zelman nie dziwił się więc sam sobie, że nadszedł moment,

w którym trzeba było poszukać sobie pewnych, powiedzmy, kontaktów poza domem. Początkowo były to jedynie sporadyczne wypadki; przypadkowe i niewygodne. Później wpadł na pomysł, który całkowicie usunął poprzednie kłopoty. Od tej pory poczuł się znacznie pewniej, uważając, iż ułożył sobie życie w sposób należyty i właściwie oddzielił obowiązki oraz konieczność od przyjemności.

W jadalni kluczy nie było. Zelman nie znalazł ich również w przedpokoju, a także w żadnym z miejsc, które by wchodziły ewentualnie w rachubę. Przez chwilę zląkł się, że zostały w wytwórni. Zaraz jednak zrezygnował z tej hipotezy, dochodząc do wniosku, iż...Tak, musiał je zapomnieć przy drzwiach od garażu.

Wybiegł pospiesznie do ogrodu. Oglądając się, ujrzał własne, głębokie ślady, pozostawione przez podeszwy butów, grzęznących w śniegu.

Przy garażu kluczy nie było. Nie spadły również na ziemię. Zelman daremnie rozgrzebywał palcami śnieg.

Podniósł się z klęczek. W niewielkiej szparze półotwartych drzwi domu zauważył powiewające na wietrze kosmyki włosów. Zanim doszedł, Alina zdążyła już powrócić na piętro. Spostrzegł, że się przebrała i zamiast domowej sukienki miała na sobie koronkową bluzkę oraz długą, wąską spódnicę, fatalnie podkreślającą biodra.

- Wybierasz się gdzieś, hę? - zawołał opryskliwie. - Coś się tak wystroiła?

Podłoga skrzypnęła, trzasnęły drzwi. Bez odpowiedzi Alina zniknęła w swoim pokoju. Zelman zajrzał tam również, lecz zaraz się wycofał. W lustrze toaletki zdołał spostrzec, że jego żona siedzi, nadąsana, na okrągłym taborecie, starannie szminkując usta.

Minąwszy pokój Aliny, pełen porcelanowych baletnic i miękkich poduszek z falbankami, Zelman wszedł do pokoju

pasierba. Obok rozkładanej wersalki stały tu szafa i krzesło z porozrzucanymi częściami męskiej garderoby. Pod stołem kreślarskim wałały się zmięte papierowe skrawki, a zakurzone kolczaste kule kaktusów wynurzały się z doniczek pełnych niedopałków. Jedynie zawieszona na jednej ze ścian mata, na której szpileczki przytrzymywały kilka rajdowych trofeów oraz dwa dyplomy, zdradzała zamiłowania nieobecnego w tej chwili trzeciego mieszkańca willi na Ateńskiej.

Zelman wyszedł stamtąd pełen uczucia niesmaku z powodu nieporządku i duchoty nie wietrzonego chyba od wielu dni, przegrzanego pomieszczenia.

Alina nadal tkwiła w swoim pokoju, lecz nie dochodził stamtąd żaden odgłos. Zelman gotów był się założyć, że podgląda.

Teraz jednak najważniejszy był problem kluczy.

Doszedł do gabinetu, nacisnął klamkę. Drzwi, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinny być zamknięte na klucz, uchyliły się.

Wszedł. Na blacie biurka leżał wyzywająco pęk kluczy.

Zelman cofnął się, docierając na palcach pod drzwi pokoju Aliny. Wtedy - raptownie i silnie - nacisnął klamkę. Napotkał na opór, stawiany przez czyjeś ciało.

- No, proszę! - zawołał. - Podglądamy!

Alina cofnęła się. Twarz miała zaczerwienioną, ciemne kreski brwi zsunęły się nad piegowatym nosem, w krótkorzęsych oczach zabłysła wyraźna wrogość. Zelman zetknął się z nią u żony po raz pierwszy i pewnie dlatego go zaskoczyła.

- Bo co? - Teraz już nie tylko w spojrzeniu, lecz także w demonstracyjnie wyzywającej intonacji głosu Aliny zabrzmiała identyczna niechęć.

Zelman oparł się o ścianę.

- Jeśli chciałaś zobaczyć, co robię, mogłaś wyjść na

korytarz. Z pewnością usłyszałaabyś wszystko znacznie lepiej niż tu, za drzwiami. Zresztą - spróbował teraz inaczej - czyż mamy przed sobą jakieś tajemnice?

Alina skrzywiła usta w uśmiechu pełnym goryczy i ironii. Spozza warg ukazały się lekko żółtawe zęby.

- Naprawdę?

Skwapliwie przytaknęła.

- Jeśli zaś chodzi o klucze... - nie chciał, ażeby jego słowa sprawiały wrażenie tłumaczenia się, ale tak w końcu zabrzmiały - widzisz... po prostu należę do ludzi, którzy nie lubią, jak ktoś im rusza, przestawia. Znasz moją pedanterię i zamiłowanie do porządku.

Teraz dopiero spostrzegł, że zabrzmiało to sztucznie i napszenie. Spróbował więc podejść do niej - obecnie z kolei on - powtarzając gest, który Alina zrobiła przedtem. Objął żonę, lekko przyciągając ją do siebie.

- Kochanie! W biurku mam różne papiery i papierzyska, a wiesz, jaka u nas biurokracja! Zgubię coś, zapodzieję i tłumacz się później wszystkim, na czele z wydziałem finansowym. Chyba rozumiesz?

Alina odtrąciła go niechętnie.

- Chcesz, żebym w to uwierzyła?

- Kochanie, musisz mi wierzyć i ufać! Wiesz, że tak jest. Po cóż zresztą miałbym cię okłamywać? Czy wyglądam na Sinobrodego, który ukrywa w przepastnych pomieszczeniach swego pokoju dziewięć zamordowanych żon?

Ugryzł się w język. Nie powinien był tego mówić. Alina podchwyciła jednak szybko właśnie ten wątek.

- Kto cię tani wie? - rzuciła. - Dziewięć, jak dziewięć. Ale ta jedna... - Usiadła ciężko na malowanym skórzanym pufie, wysuwając nogi z drewniaków.

Zelman spurpurowiał.

- Coś powiedziała? - Raptownie podszedł do niej z tyłu, wyciągnął ręce, objął szyję.

- Puść! - krzyknęła. - Puść, duszę się!  
Nacisnął jeszcze mocniej.  
- Uwważaj! - Wolno dzielił słowa na pojedyncze sylaby. -  
Uważaj, żebyś nie skończyła podobnie...  
Z satysfakcją dostrzegł przerażenie w okrągłych, niebieskich oczach i czerwone plamy na obrzmiałej twarzy.  
Jeszcze chwila... - pomyślał Zelman. - Tylko chwila... Wy-  
starczy mocniej...  
Jak gdyby odgadując te myśli, krztusząc się i dławiąc, Alina wyjąkała:  
- Będziesz miał kłopoty.  
Poczuła, że ucisk zelżał. Sięgnęła ręką do gardła, rozmawiając bólowe miejsce. Nadal nie mogła przyjąć do siebie i, dławiąc się, wypluwała pasma śliny, ściekające na brodę i bluzkę.  
Zelman odwrócił się, wybiegł z pokoju. W chwilę później Alina usłyszała trzask zamykanych drzwi i warkot odjeżdżającego samochodu.

### *Rozdział 3*

**J**eszcze przez długi czas po opuszczeniu domu Zelman nie mógł się uspokoić. Prowadził samochód tak nerwowo, że dopiero kiedy nagle wpadł w poślizg, z którego ledwie wyszedł i gdy, spocony, odzyskał znowu panowanie nad kołami, do tej pory ślizgającymi się po oblodzonej, ośnieżonej jezdni, zrozumiał, że nie może już więcej myśleć o tym, co zaszło niedawno na Ateńskiej.

Jechał w stronę śródmieścia Trasą Łazienkowską, mając przed i za sobą światła innych samochodów. Błyski latarni zdawały się pełzać ich śladem, poboczem sunęły cienie wozów, to znikające, to doganiające jadące auta. Z ciemności

wychynęły nagle przęśła odchodzącego w bok gigantycznego, asfaltowego ślimaka; zaraz potem podeszły pod Trasę sześcianów domów.

Śnieg padał nieprzerwanie. Białe płatki przylepiały się do szyby wilgotną, nieprzeniknioną mazią, z trudem zsuwaną w bok przez wycieraczki. Wewnętrzna strona szyby zapotniała i Zelman miał wrażenie, że jego samochód posuwa się w nierealnym i zniekształconym świecie.

Spojrzał rąca zegarek. Dochodziła piąta. Za jakieś dziesięć - piętnaście minut powinien znaleźć się u Dąbskiego. Właśnie Dąbskiemu zamierzał przekazać jedną z partii towaru, jaką wioził w samochodzie.

Marcina Dąbskiego poznał przed paroma miesiącami. Było to bodaj na imieninach Gizińskiego czy też na przyjęciu wydanym przez współwłaściciela wytwórni pocztówek z jakiejś innej okazji.

Willa Gizińskiego znajdowała się tuż obok zakładu, prezentując się z zewnątrz mało ciekawie. Piętrowy, szary dom o mozaice poodłupywanych płytów tynku na ścianach i płaskim dachu, dom, obok którego Zelman przejeżdżał lub przechodził niemal codziennie, był ledwie widoczny zza karłowatych sosen i anemicznych akacji, zagubiony w gmatwaniu piaszczystych dróg, urywających się niespodzianie w lesie. Wieczorem było tu ciemno i ponuro. Ostatni rząd latarni zanikał daleko stąd; tam, dokąd jeszcze dochodził autobus. Odległość dzieląca jego końcową pętlę od willi wynosiła dobry kilometr.

Z różnych względów Gizińskiemu odpowiadało jednak widzieć odosobnienie. Inaczej zapewne już dawno przeniósłby się gdzie indziej. W końcu środków mu na to nie brakowało.



Zelman przyjechał wówczas samochodem, razem z żoną. Zostawił wóz na wysypanej szutrem i rozjeżdżonej przez auta, pełnej wyboi drodze. Minąwszy dwie anemiczne choinki przy bramie, zadzwonił do drzwi.

Otworzył sam Giziński. Był już, to się widziało, po kilku dobrych wódkach. Zaczerwieniły mu się policzki ukazując, wyraźniej niż zazwyczaj, popękane żyłki. Wilgotne, mięsiste wargi pod bulwiastym, porowatym nosem przylgnęły do wyciągniętej zachęcająco dłoni Aliny.

Zelmana ogarnął nagły wstręt i odczuł go tak mocno, jakby to jego własna dłoń zetknęła się z ustami Gizińskiego.

- Całuję rączki szanownej pani! Serdecznie witam!

Głos Gizińskiego był nieco ochrypliwy, twarz błyszcząca od potu i gorąca. Na policzku niczym okrągły guzik widniała duża, ciemnobrązowa brodawka. Szare, flanelowe spodnie ciasno opinały okrągłość kobiecych prawie bioder. Krótkie nogi dreptały wokół Aliny.

Pomógł jej zdjąć płaszcz i wprowadził Zelmanów do pokoju.

Były to właściwie dwa połączone ze sobą pomieszczenia. Dzielące je zazwyczaj skrzydła drzwi, z prostokątnymi szybami z matowego szkła, obecnie zostały rozsunięte. Obok znajdował się długi stół, zastawiony półmiskami oraz napoczętymi butelkami alkoholu.

W małej grupce stojącej pod oknem Zelman zauważył żonę i dwie córki Gizińskiego oraz Horna. Zostawiając Alinę przy stole, klepnął Horna po ramieniu.

- Serwus Leszek, gdzie małżonka?

Niewinne zgoła pytanie wywołało niespodziewaną reakcję. Ciemne, rozbiegane, błyszczące od nadmiaru alkoholu oczy, należące do długiego, tykowanego mężczyzny o chudej twarzy, garbatym nosie i mocno wypukłym czole, spoczęły na

Zelmanie z nie ukrywaną wrogością.

- A tobie niby co do tego?

Zelman wzruszył ramionami.

- Nic - powiedział obracając kieliszek w ręce. - Tak się tylko pytam.

Wyraz oczu Horna nagle złagodniał. Poprzednia wrogość zniknęła. Horn spojrział na zegarek.

- Myślę, że wkrótce będzie. - Pochylając się w stronę Zelman, dorzucił: - Ma dzisiaj występ. W jakiejś kawiarni. Umówiliśmy się, że sama przyjedzie. Nie wiedziała o której się zakończy. Wiesz, jak to jest, bisy, uznanie publiczności i tak dalej.

Zelman skinął głową. Oddech Horna zalatywał alkoholem.

Wciąż taki sam - pomyślał - podejrzliwy. Dlaczego właściwie ludzie sami sobie sprawiają najwięcej kłopotów? Dlaczego nie potrafią żyć inaczej?

Nieraz zapytywał się w duchu, czy Horn podejrzewał kiedykolwiek swoją żonę o to, że go zdradza? Kiedyś Zelman miał zresztą do takich pytań aż nadto okazji i w końcu tak mu obrzydły, iż nagle zaczął mieć wszystkiego dosyć. Nawet najpiękniejsza kobieta może człowieka znużyć, gdy wiecznie będzie za nią stał cień zazdrośnika. Bożena uważała wprawdzie, iż jej mąż jest tak naiwny i łatwowierny, że łatwo mu wszystko wmówić, Zelman jednak wołał na wszelki wypadek trzymać się od Horna z daleka i obecnie raczej współczuł, niż zazdrościł tym, którym Bożena zawróciła w głowie.

Odgłos dzwonka przerwał rozmyślenia. Ktoś natarczywie dobijał się do drzwi. Ostry dźwięk ustał dopiero w chwili, gdy korpulentna postać Gizińskiego pozegłowała w stronę przedpokoju.

Kącikiem oka Zelman popatrzył na Horna, obejmując wzrokiem jego sylwetkę w momencie niespokojnego

wyczekiwania. Mrugające oczy powędrowały w ślad za Gizińskim, lecz zamiast wyrazu ulgi na twarzy Horna odmalowało się napięcie.

W progu stanęła żona Horna, piosenkarka Bożena Horn. Potrząsnęła głową, pozwalając, ażeby długie, jasne włosy spłynęły falą na twarz. W tej pozie zastygła na chwilę, by wszyscy mogli ją do woli podziwiać.

Była zresztą dziewczyną o wyjątkowej urodzie i Zelman, a chyba nie tylko on, nie dziwił się, gdy mówiła, że jedynie brak odpowiedniego wykształcenia utrudnia jej drogę do filmu. Przejrzyście zielone oczy mrugały spod długich, czarnych rzęs z naiwnym zdumieniem, złota, błyszcząca suknia opinała szczupłe biodra. Zza wyciętego dekoltu widać było nęcący zarys wzniesionych do góry piersi. Przykry dysonans w tej doskonałości stanowiły jedynie szerokie dłonie o krótkich palcach i szorstkiej, zaczerwienionej skórze. Z ich to przyczyny Bożena Horn niezwykle chętnie i częściej niż którakolwiek inna kobieta korzystała z rękawiczek.

Tym razem również jedną rękę opinała długa, sięgająca niemalże przedramienia, rękawiczka. Druga, spoczywająca aktualnie w dłoni Gizińskiego, błyskała pierścionkami oraz bransoletkami, wydającymi metaliczny dźwięk.

Ręka w rękawicze łaskawie skinęła obecnym, a wzrok Bożeny przesunął się po nich kolejno, każdego - włącznie z własnym' małżonkiem - obdarzając identyczną porcją uwagi.

- Witam wszystkich, witam! - powiedziały uszminekowane usta i były to zapewne te same słowa, których Bożena Horn używała częstokroć podczas swych występów. Tanecznym krokiem odsunęła się od drzwi. Druga ręka, ta bez rękawiczki, wyswobodziła się z dłoni Gizińskiego, jakby wskazując publiczności nieznanego jej dotąd aktora.

Alina delikatnie trąciła łokciem męża.

- Znasz go? - spytała szeptem.

Za Bożeną stał młody mężczyzna, ubrany, jak gdyby dla kontrastu z jej wieczorową toaletą, w sportową bluzę i flanelową koszulę w kratę. Zapewne z tego właśnie powodu wydawał się, przynajmniej przez pierwszą chwilę, zakłopotany. Jego wystająca grdyka poruszała się nerwowo, gdy przeżywał ślinę.

Naraz odzyskał humor i poczuł się raźniej. Zdecydowanym krokiem opuścił próg, sterując w stronę środka pokoju, milcząco obserwowany przez kilka par oczu.

Był stosunkowo niewysoki, za to młody i z twarzą zapewniającą wzięcie u kobiet. Z wyglądu przypominał nieco Włocha - miał czarne, sfalowane włosy, olśniewający uśmiech, powłóczyście spojrzenie pretensjonalnego aktora i kabotyńską gestykulację.

- Nikt mnie państwu dotąd nie przedstawił - powiedział. Jego niski, głęboki głos był taki właśnie, jaki być powinien, by nie zakłócać ogólnej harmonii. - A więc przedstawię się sam. Dąbski jestem, redaktor Marcin Dąbski.

Prezentując jeden ze swych czarujących uśmiechów, rzucił kilka uwodzicielskich spojrzeń w stronę pań.

Zelman nie mógł sobie odmówić zerknięcia w kierunku Horna, lecz trudno mu było uchwycić spojrzenie jego oczu. Udało mu się tylko raz jeden, w momencie kiedy Bożena zaszczębiotała coś radośnie do swego towarzysza - i aż go przeszły ciarki.

- No - odezwała się piosenkarka, biorąc Dąbskiego pod ramię - cóż to tak znieruchomieliście? - Prowadząc mężczyznę w stronę nakrytego stołu, podała mu kieliszek. - Napije się pan?

Oczy Dąbskiego wydawały się taksować obecnych. Bożena wciąż nie kwapiła się do tego, ażeby zdradzić tajemnicę

nagłego pojawienia się redaktora na przyjęciu. Wyraźnie chciała, aby wszyscy przyjęli to za fakt naturalny i sam przez się zrozumiały, błyskawicznie odpierając nazbyt ciekawe pytania.

Giziński podszedł do Zelman i - stukając się z nim kieliszkiem - zaciągnął pod okno wychodzące na ogród. Stanęli obok grubej, pluszowej kotary o przykurzonych fałdach.

- Spójrz na Horna - powiedział. Jego ochryply szept ugrzązł w głębokiej okiennej niszy. Jeszcze raz trącił się z Zelmanem kieliszkiem. - Wypijmy. Nasze zdrowie... - Zelman zauważył, że znów drży mu ręka, a zachowanie zdradza wewnętrzny niepokój. Odwrócił się, patrząc na czerniejący tuż za ogrodzeniem las. - Znasz go? - spytał, łokciami opierając się o parapet. Nie wskazywał wyraźnie, o kogo chodzi, lecz Zelman dobrze wiedział, że myśli o Dąbskim.

Pokręcił przecząco głową.

- A ty?

Pytanie wpadło w ciszę. Giziński otworzył okno, głęboko wdychając zapach sosen.

- Wiesz co? - rzekł nagle. - Nie chciałbym być w skórze tego, który zostanie przyłapany przez Horna na romansowaniu z jego żoną.

Zabrzmiało to niby niewinnie, ale Zelman odebrał pozornie obojętne stwierdzenie jako rodzaj groźby.

- Masz rację - przytaknął i jeszcze raz przypomniał sobie chłodne, wrogie oczy Horna.

## *Rozdział 4*

**P**rzejżdżając pod wiaduktem na Wiślostradzie Zelman miał wrażenie, że wkracza w inny świat; ciemniejszy, pozbawiony jarzeniówek. Dojechał do osiedla bloków tak podobnych do

siebie, że trudno było odróżnić jeden od drugiego. Zaparkował w wybetonowanej zatoce przed podłużnym, pięciopiętrowym pudełkiem, tyjącym w noc oświetlonymi oknami, i wszedł na trzecie piętro. Nacisnął dzwonek przy drzwiach, jednakże odpowiedziała mu tylko cisza.

Spojrzał na zegarek. Od wyjazdu z Ateńskiej minęło zaledwie pół godziny, choć jemu samemu wydawało się to niemożliwe. Dochodziło wpół do szóstej.

Był wściekły. Ten idiota Dąbski - tak właśnie nazwał go w myśli - dobrze przecież wiedział, o której mieli się spotkać.

Chcąc nie chcąc, musiał jednak zaczekać.

Ale gdzie? - pomyślał. - Akurat tutaj, w klatce schodowej, gdzie każdy będzie mu się przyglądać z ledwie skrywanym zaciekawieniem? Nie!

Przypomniał sobie, że jest głodny. Od rana nic nie miał w ustach, w domu nie zjadł obiadu. Trzeba poszukać w okolicy jakiejś knajpki. Tam zje coś i zaczeka.

Powoli zszedł po schodach. Wrócił do samochodu. Na dachu volkswagena zebrała się przez ten czas warstwa śniegu, lecz wewnątrz było jeszcze rozgrzane, a silnik ciepły. Zelman cofnął wóz i stanął, nie wiedząc, która z wąskich uliczek zaprowadzi go do celu. Dzielnica była mu obca, odwiedzał ją z rzadka, tylko przy okazji - nielicznych zresztą - wizyt u Dąbskiego. W końcu postanowił jechać na ślepo.

Usiłując wydostać się z zawilej gmatwaniny przecznic, obrał jednak najprawdopodobniej niewłaściwy kierunek. Stracił orientację i nagle spostrzegł, że nie wie, gdzie się znajduje. Wtedy zobaczył jakiegoś przechodnia. Człowiek ten szedł szybko, nisko pochylony, z trudem przeciwstawiając się podmuchom śnieżycy. Wysoko podniesiony kołnierz kożucha zasłaniał twarz, nogawki spodni wydymały się śmiesznie na

wietrze. W pewnym momencie, w ruchomym, żółtawym kręgu światła latarni Zelman spostrzegł, iż przechodzień to kobieta. Za chwilę zrównała się z volkswagenem. Pospiesznie opuścił szybę i, wychylając głowę, zapytał:

- Przepraszam, czy pani czasem nie wie, gdzie tutaj może się znajdować jakaś restauracja?

Kobieta podeszła bliżej. Spod puszystej czapki wymykały się sfalowane kosmyki jasnych włosów. Ręka w grubej rękawiczce otarła śnieg z policzków i Zelman ujrzał młodą, zaróżowioną twarz.

Dziewczyna miała nie więcej niż osiemnaście-dziewiętnaście lat. Ciemne oczy popatrzyły na Zelmiana z odrobiną rozbawienia.

- Restauracja? - powtórzyła ze zdziwieniem w głosie. - A wie pan, muszę się chwilę zastanowić.

Bezceremonialnie oparła się łokciem o samochód. Z kłnierza jej kozucha spływał topniejący śnieg, zawieszona na ramieniu duża torba uderzyła o karoserię.

- Chyba... - zawahała się - najbliższa byłaby „Magnolia”.  
- Odsunęła spadające na twarz włosy. - Wie pan, gdzie to jest?

Zelman potrząsnął przecząco głową.

- Skądże, nie mam pojęcia. Jestem tu po raz pierwszy. - Wstyd mu się było przyznać, że zabłądził.

- Jak by tu panu wytłumaczyć? - Nieznajoma ściągnęła rękawiczkę, przygryzając w zakłopotaniu palec. Dziecinny gest rozbawił, a zarazem wzruszył Zelmiana. Była tak dziewczęco świeża, że nagle poczuł neodpartą ochotę, aby tę przypaddingową rozmowę choć odrobinę przedłużyć. Wysiadł z samochodu.

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

- Pojedzie pan najpierw prosto, ale niedaleko, kawałek tylko, aż do ulicy Leśnej. Wie pan, gdzie to jest? - Znów powtórzyła to samo pytanie i znowu Zelman zaprzeczył. -

Pierwsza w prawo, na rogu będzie sklep. Leśną musi panjechać aż do... - zawahała się chwilę, pomagając sobie liczeniem na palcach - tak, do trzeciej ulicy w lewo. Tam pan wyjedzie na mały placyk. Objedzie pan placyk, skręci w Wólczyńską, a na rogu Wólczyńskiej i Marii Kazimiery - już „Magnolia”.

- Strasznie to skomplikowane - zauważył Zelman. - Pierwsza w prawo, później placyk, trzecia w lewo i do Wólczyńskiej.

- Nie... - powiedziała ze zniecierpliwieniem dziewczyna. - Nie tak. - Na czole pokazały się śmieszne zmarszczki, pełne usta wyduły się z dezaprobatą. - Mówiłam już panu: pierwsza w prawo, trzecia w lewo, placyk i do Wólczyńskiej.

- A nie podjechałaby pani ze mną kawałek dalej, żeby mnie chociaż trochę podholować? Sama pani widzi, pogoda nie najlepsza, co dopiero dla człowieka, który znajduje się w tej dzielnicy po raz pierwszy i pilnie potrzebuje przewodnika. No więc jak? - kusząco otworzył drzwiczki samochodu. - Niechże się pani nie boi, nie zamorduję pani, przysięgam!

- Wcale się nie boję! - obruszyła się nieznajoma. - Tylko się zastanawiam, czy to mi się opłaci. Wie pan, wsiądę. W końcu i tak jadę do miasta, a stamtąd będzie mi bliżej.

Usadowiła się na przednim siedzeniu. We wnętrzu samochodu jej kożuch wydawał dziwny zapach wilgotnej skóry, pomieszany z perfumami. Ściągnęła czapkę, wyjmując z torebki grzebień.

Zelman zauważył ten ruch.

- Chce się pani uczesać? Zaraz zapalę światło.

W wozie zrobiło się jasno i Zelman skonstatował, że uważona już poprzednio uroda jego towarzyszkii nic na tym nie straciła, wprost przeciwnie.

Czesząc włosy, obróciła się w jego stronę.



- Niechże pan jedzie, na co pan czeka?  
Popatrzył na nią z uśmiechem.
- Aż się pani uczesze.  
Wrzuciła grzebień do torebki, nałożyła czapkę. Zelman nie gasił jeszcze światła.
- Może papierosa? - zaproponował.  
Dłoń wyciągnęła się w jego stronę, lecz jakaś nagła myśl kazała ręce zatrzymać się w pół drogi.
- Nie, dziękuję.  
Dopiero teraz Zelman spostrzegł, że na rękawie kożucha naszyta jest szkolna tarcza.
- Dziewczyna zauważyła jego spojrzenie i nie wiadomo dlaczego policzki jej jeszcze bardziej poróżwiały.
- No, czemu pan nie rusza?  
Zgasił światło, zapuszczając motor. Po kilkudziesięciu metrach nieznajoma krzyknęła:
- Tu jest przecznica!  
Samochód posłusznie skręcił. Dziewczyna nosem przywarła do szyby, licząc na palcach mijane ulice:
- Pierwsza, druga, trzecia - teraz!  
Jechali dalej, coraz węższą jezdnią, która nagle podeszła pod skarpetę i urwała się. Zelman stanął.
- I co? - Zapalił światło, obserwując wyraz niezdecydowania na twarzy swej towarzyszki.
- Ale historia! - wykrzyknęła. - Wygląda na to, że nie trafiliśmy!
- Tak jakby.
- Niech pan zawraca - zdecydowała dziewczyna. -  
Musimy pojechać tą samą drogą jeszcze raz. Wszystko mi się pokićkało!  
Uczniowski zwrot rozbawił Zelmana.
- Proszę?
- Przecież mówię. Ulice mi się musiały pomylić. Albo to miała być czwarta w lewo, albo też zamiast w trzecią, wjechaliśmy w drugą.

- Wpadła pani! Teraz nie mogę pani puścić wcześniej, zanim mnie pani nie wyprowadzi z labiryntu.

- No, wie pan - obruszyła się dziewczyna, znów posługując się swym, ulubionym widać, powiedzonkiem - ja nic nie muszę! A jak mi się zechce, to wysiądę choćby tutaj! - I jej dłoń powędrowała w stronę klamki.

- Ach, nie - pospieszył z zapewnieniem Zelman. - Zażartowałem. Chciałem tylko powiedzieć, że pani czułe serce nie pozwoliłoby mi chyba błąkać się po tym pustkowiu w poszukiwaniu miejsca, gdzie można zamówić coś do jedzenia. Przepraszam. Proszę się na mnie nie gniewać. - Wyciągnął rękę w jej kierunku, ale odsunęła się, nie tyle nawet przestraszona, ile zaskoczona.

Zawrócili, lecz pod „Magnolią” znaleźli się dopiero po kilkunastu minutach, spędzonych na lawirowaniu wśród ciemnych, krętych uliczek. Poza tym „Magnolia” nie była, jak oczekiwał Zelman, restauracją, ale niewielką, skromną kawiarenką.

Towarzyszka Zelmana wydawała się równie zaskoczona.

- Ach - powiedziała z westchnieniem - teraz to już pan mnie zupełnie przeklnie! Nie dość, że błądzi pan przeze mnie pół godziny, jeszcze na dodatek przywiozłam pana do kawiarni zamiast do restauracji. - Wydawała się jednak bardziej rozbawiona aniżeli speszona. Ręka jej sięgnęła w stronę czapki, nawijając na palce kosmyki włosów.

- Głupstwo - stwierdził Zelman - naprawdę głupstwo.

- Nie ma pan do mnie żalu?

- Skądże! A nawet więcej - to ja jestem pani dłużnikiem. W końcu poświęciła mi pani tyle swego cennego czasu. Czy pani pozwoli, że się przedstawię: Zelman, znajomi mówią do mnie Alek.

Dziewczyna burknęła coś pod nosem, nazwisko, którego Zelman nie dosłyszał. Usłyszał tylko imię: Urszula.

- No więc pani Urszulo - po raz pierwszy nazwał ją tym imieniem - a może Ulo - czy pani pozwoli, że zaproszę teraz panią w rewanżu na kawę? Z ogromnym, wspaniałym ciastkiem z kremem?

Urszula odwróciła głowę, wyraźnie unikając natarczywego wzroku swego towarzysza. Może wydawał jej się tylko zabawny? Może zaimponował sposobem bycia, odmiennym od sposobu bycia rówieśników? A może zastanawiała się, czy w ogóle wypada przyjmując propozycję nieznanego mężczyzny?

Po chwili spojrzała Zelmanowi prosto w oczy.

- Dobrze, zgadzam się.

W chwilę później znaleźli się w długiej, wąskiej i pełnej dymu salce. Brzęcząca drewnianymi paciorkami zasłona przepuściła ich do niewielkiego, okrągłego stolika. Zelman pomógł Urszuli zdjąć kozuch, a kiedy wrócił z szatni, przy stoliku stała kelnerka.

- Napije się pani kieliszek czerwonego wina?

Urszula odmówiła.

- Tylko kawę i duże, wspaniałe ciastko z kremem. Tak pan obiecywał, prawda?

Zelman roześmiał się i zamówił dwie kawy oraz dwa czekoladowe torty. Ostatecznie w ten sposób także można było zaspokoić głód.

- Więc poznał ją pan osiem miesięcy temu - podjął Wannacki. Zachęcającym gestem wyciągnął do Zelmana paczkę papierosów, Tym razem Zelman nie odmówił,

Przez chwilę panowała cisza.

- Tak - odparł. - Była wtedy w ostatniej klasie liceum. W maju zdała maturę. Później chciała pójść na uniwersytet, zdaje się, że na psychologię, dokładnie nie wiem. Egzamin zdała,

ale z braku miejsc nie dostała się. Ogromnie ją to rozgoryczyło, miała pretensje do całego świata i do wszystkich... Nie wyłączając mnie. - Mówił szybko, urywanymi zdaniami, raz po raz zaczerpując oddech i raz po raz podnosząc do ust zwinętą dłoń, trzymającą papierosa. - Wracając do początków, wtedy była to jedynie zwykła znajomość. Spotykaliśmy się raz, dwa razy na tydzień. Kino, kawiarnia, teatr. Na dansingi jej nie zabierałem. Bała się, że ktoś ją zobaczy i może mieć z tego powodu nieprzyjemności w szkole. Potem... - przerwał, ukrywając twarz w dłoniach. - No cóż - podniósł głowę, patrząc w badawcze oczy mężczyzny za biurkiem - powiem wprost: zaangażowałem się głębiej.

- Miłość?

Opuchnięte powieki przysłoniły na moment zaczerwienione oczy.

- Można to i tak nazwać. Przynajmniej z mojej strony.

- A ona?

- Chce pan wiedzieć, czy mnie kochała? Czy zadowolili to pana, jeśli powiem, że nie wiem? Naprawdę nie wiem. Była bardzo młoda. W tym wieku człowiekowi często wydaje się, że jest zakochany. To coś w rodzaju chwilowego oszołomienia. Później czar pryska i okazuje się, że wszystko było jedynie złudzeniem.

- Ma pan na myśli swój przypadek?

- Mówię ogólnie. Od każdej reguły jest wyjątek. Chciałbym wierzyć, że była nim nasza znajomość. A zresztą... - machnął ręką - teraz już mi naprawdę wszystko jedno... Czy pan wie, że chciałem się z nią ożenić? Tak! A przecież nawet nie wiem, co o mnie naprawdę myślała, jakim jej się wydawałem? Może mnie rzeczywiście kochała, a może tylko jej imponowałem - pieniędzmi, samochodem, znajomościami? Mówię

samokrytycznie. W końcu człowiek musi czasem popatrzeć na siebie z boku. Natomiast ja zupełnie straciłem dla niej głowę. - Uśmiechnął się z goryczą. - Myśli pan pewnie o różnicy wieku i o tym, że mogła być moją córką? Nie była aż tak rażąca, znam większe. Dwadzieścia lat różnicy pomiędzy mężczyzną a kobietą to znowu nie tak dużo.

- Więc chciał się pan z nią ożenić? A ona? Czy znał już pan jej zdanie na ten temat? No i pańska żona... Czy ona też... wiedziała?

Zdecydowanym ruchem Zelman zgniótł papierosa w popielniczce. Sinawa strużka dymu uniosła się w powietrzu i zaraz rozwiała.

- Właśnie zamierzałem rozmawiać na ten temat.

- Z jedną i z drugą?

- Tak. Najpierw chciałem pomówić z Urszulą. Na rozmowę z żoną zawsze był czas,

- Ale, póki co, utrzymywał pan przez kilka miesięcy wygodny dla pana stan rzeczy? Wynajęta kawalerka do spotkań z dziewczyną oraz spokojna, domowa przystań w willi na Ateńskiej. Czyż nie tak?

- Nic pan nie rozumie!

- Sam pan przecież powiedział, że trzeba się czasem przyjrzeć z boku... Czy pan jest człowiekiem zamożnym? - Wanacki zmienił nagle temat.

Zelman spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co to ma do rzeczy?

- Właściwie nic. Majątek jest wspólny? Więc w razie rozwodu musiałby nastąpić podział. Między pańską żoną a pana. Samochód, willa, meble - czy nie uważa pan, że podział tych dóbr byłby dość kłopotliwy? Nie mówiąc o stratach materialnych, jakie by pan poniósł. Żona nie pracuje, prawda? Mogłaby się domagać alimentowania jej przez pana. Też niewygodne.

- Do czego pan zmierza?

Wanacki wydał usta.

- Snuję jedynie luźne rozważania. Kawalerka na Hożej bezboleśnie rozwiązywała wiele problemów, jak pan myśli?

- Nic nie myślę. A zresztą... Miałem zupełnego bzika na punkcie tej dziewczyny. Że zwlekałem? Bynajmniej nie dlatego, żeby - jak pan chce - zapewnić sobie dwa bezpieczne i wygodne gniazdka, lecz po to, aby do końca upewnić się o uczuciach Urszuli. Ponieważ kiedy się ma lat czterdzieści i dwa małżeństwa za sobą, człowiek boi się ryzyka.

- Wracając do wczorajszego dnia, powiedział pan, że był podobny do wielu innych.

- Tak. O czwartej po południu Urszula kończyła pracę, a spotkaliśmy się o szóstej.

- Chwileczkę, więc ona pracowała?

- Tak. Jak tylko dowiedziałem się, że nie dostała się na uniwersytet, załatwiłem jej pracę. Przez znajomości oczywiście.

- Gdzie?

- W radiu. Mam tam znajomego redaktora. Nazywa się Dąbski. On właśnie pomógł mi ulokować Urszulę.

- I nie bał się pan... konkurencji? A może także tak miało się odbywać owo zyskiwanie pewności, o którym wspominał pan poprzednio?

- Niech pan sobie to tłumaczy, jak panu wygodniej.

Zelman poprawił się na krześle. Coraz bardziej odczuwał ćmiący ból w kręgosłupie, wywołany nieruchomym siedzeniem wciąż w tej samej pozycji. Coraz mocniej też opanowały go senność i zmęczenie. W zadymionym, przegrzanym pokoju brakowało powietrza.

- Doszliśmy do godziny szóstej...

- Tak. O szóstej spotkaliśmy się. Zaproponowałem, żebyśmy pojechali do Wilanowa, do „Wilanowskiej Karczmy”,

od czasu do czasu chodziliśmy tam na kaczkę. Urszula lubiła romantyczną, jak mówiła, atmosferę tej knajpy. Ale tym razem zdecydowanie odmówiła. Zamiast tego, powiedziała, spędzimy wieczór tylko we dwójkę. Kupimy coś do picia, parę kanapek i ciastek, a ona ma ze sobą redakcyjny magnetofon z kasetami. Pożyczyła od kolegi, zawiera najnowsze szlagieryowe nagrania, będziemy mogli posłuchać. Zorientowałem się, że wszystko musiała zaplanować wcześniej. Nie było to dla mnie żadną niespodzianką. Urszula lubiła dyktować sposób spędzania wspólnych godzin i nieraz zmieniała ustalone poprzednio zamiary, czasem w ostatniej chwili. Albo odrzucała moją propozycję, wysuwając w to miejsce swoją... Wiedziała zresztą, że przychodząc na spotkanie, zawsze dysponowałem kluczem od kawalerki na Hożej, znała ten pokój i nie raził jej nawet jego, nie najlepszy, przyznaję, wygląd. Niestety, na jego urządzenie nie miałem absolutnie żadnego wpływu. Po prostu wynająłem go z dobrodziejstwem, jak się to mówi, inwentarza, a właścicielka wyprosiła sobie jakiegokolwiek zmiany, również w umeblowaniu. Po cóż miałbym też cokolwiek zmieniać, skoro traktowałem lokum na Hożej jedynie jako prowizorkę? Z chwilą uzyskania rozwodu, wprowadziłbym Urszulę do willi na Ateńskiej. Myli się pan bowiem, mówiąc o majątku wspólnym. Otóż pewne rzeczy, na przykład meble, z całą pewnością można traktować jako wspólną własność, moją oraz żony, ponieważ zostały nabyte już podczas trwania naszego małżeństwa. Podobnie samochód. Natomiast co do willi, sprawa przedstawia się inaczej. Dom jest bowiem kupiony za pieniądze, otrzymane w spadku po mojej poprzedniej żonie, ta zaś odziedziczyła je po swoim ojcu, moim byłym teściu. Po tragicznym wypadku Krystyny w Tatrach, przeprowadziłem postępowanie spadkowe, a willa na Ateńskiej zapisana jest w

hipotece na moje nazwisko. Oznacza to, że z chwilą ewentualnego rozwodu Alina wraz z moim pasierbem, Januszem, musiałyby się z niej wyprowadzić.

- Pan przecież nie jest prawnikiem?
- Nie, już mówiłem, inżynierem.
- Ale na prawie wyznaje się pan wcale nieźle, co?
- Muszę. Niech pan spróbuje obejść się bez tego we własnym zakładzie - z miejsca pana wykończą!
- Dotarliście więc do kawalerki na Hożej...
- Tak, około ósmej. Musieliśmy kupić to i owo, później poszliśmy się trochę przejść, tak że na miejscu byliśmy, jak już mówiłem, między wpół do ósmej a ósmą. Otworzyłem kilka butelek coca-coli i butelkę koniaku. Zjedliśmy po parę kanapek, ciastka. Urszula włączyła magnetofon. Melodie były rzeczywiście ładne, powiedziałbym niedzisiejsze, żadnego big-beatu, same romantyczne tanga. Urszula zaproponowała, żebyśmy trochę potańczyli. Później znów wypiliśmy, znów tańczyliśmy, wreszcie, było już chyba po północy, położyliśmy się spać... Myślę, że ta intymna część mojego opowiadania chyba pana specjalnie nie interesuje i pozwoli pan, że ją pominę.
- A ciąg dalszy?
- Niewiele pamiętam. Oboje sporo wypiliśmy tego wieczoru. Zazwyczaj mam mocną głowę, musiałem jednak przekroczyć jakiś swój próg. Wiem, że zasnąłem i śniły mi się koszmary. Budząc się, ręką poszukałem Urszuli. Nie było jej obok mnie. Pomyślałem, że już rano i poszła do łazienki. Spojrzałem na zegarek - dochodziła siódma. Pomyślałem, że na mnie też czas, wstałem z tapczanu i wtedy... Niechże mnie pan nie zmusza, żebym opisywał to wszystko jeszcze raz!
- To, niestety, konieczne - powiedział Wanacki. - Chce pan jeszcze jednego papierosa? A może wody? Dobrze panu



zrobi. Albo chwila przerwy. Jak pan woli?

Zelman poprosił o wodę. Zaczął pić tak łapczywie, że pociekła mu wąską stróżką po podbródku.

- Zobaczyłem ją dopiero po chwili. Leżała na podłodze, obok fotela, a przy niej... przewrócona lampa.

Początkowo pomyślałem, że za dużo wypła i albo spadła z tapczanu, albo też, idąc z łazienki - zauważyłem, że była owinięta ręcznikiem - potknęła się i przewróciła. Może uderzyła głową o kant fotela i zemdląa?

Podbiegłem do niej. Leżała na brzuchu, twarzą do podłogi. Odwróciłem ją - i zrozumiałem. Mimo wszystko, jeszcze się łudziłem. Próbowalem szukać pulsu. Niestety, nie żyła. Wtedy popędziłem na dół, do automatu, zawiadomiłem milicję... - urwał. - Cóż więcej? Resztę pan już wie. Do chwili waszego przyjazdu czekałem na ulicy. Nie chciałem... nie mogłem tam wejść i znów ją zobaczyć.

Wanacki w zakłopotaniu przejechał palcami po włosach.

- Dziwne - wymamrotał, właściwie nawet bardziej sam do siebie niż do Zelmana. - Przyznam się, że trochę trudno mi to zrozumieć. Ten sam pokój, parę metrów od pana, dziewczyna umiera w pana obecności, a pan o, tym nie wie?

- Mówiłem już...

- Tak, tak, lecz mimo wszystko... - Opierając dłonie o blat biurka i podnosząc się na rękach, pochylił się w stronę Zelmana. - Upadek ciała, hałas rozbijanego szkła... - Czy pan słyszał, z jakim hukiem pęka zazwyczaj żarówka? Umarłego może obudzić. No i dziewczyna... Musiała przecież chyba krzyknąć... A pan przez cały czas śpi. Nic pan nie słyszy, nic nie widzi. Czy wie pan, dlaczego ona nie żyje?

Zelman skinął głową.

- Słyszałem fragmenty waszej rozmowy.
- Właśnie: porażenie prądem elektrycznym. Miał pan prawdziwe szczęście, że padając pociągnęła lampę, która wyrwała kontakt z gniazdka. Inaczej i pana mogłoby również spotkać to samo... Czy lampa była używana kiedyś przedtem?
  - Co pan przez to rozumie?
  - Czy była zapalana w czasie poprzednich spotkań?
- Zelman wzruszył ramionami.
  - Nie wiem. Wydaje mi się, że tak, ale trudno mi odpowiedzieć na pewno. Zauważył pan chyba, że przy tapczanie stała nocna lampka, taka niewielka, ze szklanym, seledynowym klosikiem. Jej używaliśmy zazwyczaj. Stwarzała bardziej - zaciął się - bardziej intymny nastrój.
    - Czyli lampa stojąca włączana była rzadko, a może nawet wcale?
    - Tego nie powiedziałem. Na pewno jednak nie wczorajszego wieczoru.
    - Właśnie to chciałem wiedzieć.
    - Lampa mogła być już dawniej popsuta - wtrącił szybko Zelman.
      - I równie dobrze pan, a nie dziewczyna, mógł zostać porażony prądem. To pan chciał powiedzieć?
      - Tak. Bo gdybym to ja, a nie Urszula, próbował ją zapalić...
      - Właśnie. Jednakże pan nie próbował. A wie pan, coś jeszcze mi wpadło do głowy. Po co ona właściwie zapalała tę lampę? Poszła do łazienki kąpać się, zgoda. Dlaczego natomiast, wracając, sięgnęła do kontaktu? Przecież znała pokój, więc nie istniała obawa, że nie trafi po ciemku.
        - Może chciała wziąć papierosa? - podsunął Zelman. - Albo popatrzeć na zegarek, która godzina?
        - Mogła zapalić nocną lampkę.

- Musiałaby wtedy obejść tapczan. A jeśli się bała, że zawadzi po ciemku o jakiś mebel?

Sięgając do leżącej przed nim na biurku koperty, Wanacki wyciągnął mały przedmiot.

- Poznaje to pan?

- Oczywiście. - W głosie Zelmiana zabrzmiało zdziwienie. - Klucz od mieszkania na Hożej. Sam mi go pan zabrał.

- Lecz nie wiem jeszcze, kto oprócz pana dysponował kluczem do garsoniery. Pożyczał go pan komuś?

Zelman zmieszał się.

- Właściwie... Klucz należał wyłącznie do mnie i ja też wynająłem kawalerkę.

- Kiedy? Czy wówczas, gdy poznał pan Urszulę Retmarniak? - po raz pierwszy padło nazwisko dziewczyny. - Czy wcześniej?

Zelman ociągał się z odpowiedzią. Wreszcie przyznał z niechęcią:

- Wcześniej.

- Rok temu, dwa, pięć?

- Nie pamiętam. W każdym razie dość dawno.

- No, a klucz? - Wanacki powrócił do poprzedniego pytania. - Pożyczał go pan komuś czy nie?

- Tak - przyznał Zelman.

- Często? Od jak dawna?

- Czasami. Ale... po co to panu? Przecież to wypadek...

Nie chciałbym mieszać jeszcze inne osoby...

- Nie wie pan, że nawet przy nieszczęśliwym wypadku należy zbadać wszystkie okoliczności?

Zelman w milczeniu skinął głową.

- Więc komu pan pożyczał?

- No, różnym osobom. Znajomym.

- Nazwiska.

- Czy będą mieli jakieś przykrości? - Rozbiegane oczy Zelmiana, tkwiące pod ledwie zarysowanymi, rzadkimi

brwiami, spotkały się na moment ze wzrokiem Wanackiego. - Bo to na przykład mój wspólnik - rozłożył ręce - głupia historia...

- Tylko on?

- Nie. Pożyczałem klucze Gizińskiemu, to właśnie wspólnik, i inżynierowi Hornowi... Rzadko wprawdzie, ale też brał. Parę razy prosiła mnie o nie Bożena Horn, żona inżyniera Horna, piosenkarka. Myślę, że potrzebowała kawalerki na spotkania z Dąbskim.

- Czy to ten, przez którego załatwił pan pracę pańskiej dziewczynie?

Zelman potwierdził.

- Właśnie. Bożena miała z nim ostatnio burzliwy romans.

- Burzliwy?

- Tak. To w jej stylu. Ona jak się kocha, to wprawdzie krótko, ale na zabój. Dosłownie szaleje z miłości. Później nagle wszystko się kończy i Bożena zaczyna rozglądać się za innym.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Och - Zelman uśmiechnął się pobłaźliwie - to niemal publiczna tajemnica. Oczywiście - zastrzegł się - wiedzą o tym wszyscy z wyjątkiem męża. Ten głupek się nie orientuje. Czasem zastanawiałem się nawet, co by zrobił, gdyby tak się nagle dowiedział? Myślę, że chyba ją zabił. A już na pewno gościa, z którym by ją zastał w łóżku.

- Taki zazdrosny?

- Zbyt skromne określenie! Facet jest dosłownie zbikowany na jej punkcie i uważa żonę - pan sobie wyobraża! - za chodzącą cnotę. - Zelman wydał z siebie dźwięk, przypominający chrypliwy, wymuszony śmiech. - Zabawne, co?

Wanacki nie podzielał tego poglądu. Kawalerka na Hożej służyła, jak się okazuje, stanowczo za wielu osobom, a każda

z nich miała możliwość uszkodzenia lampy. Jeśli oczywiście w ogóle ktoś ją uszkodził...

- Jedziemy dalej - powiedział. - Giziński, Horn oraz jego żona. Czy to koniec?

Wyglądało, że Zelman zastanawia się. Dopiero po dłuższej chwili odparł:

- Czasem dawałem klucze również pasierbowi. Wie pan, chłopak młody, musi się wyszumieć, a moja żona z pewnością by czegoś takiego nie tolerowała.

- I to już teraz wszyscy?

- Tak. Chyba tak.

- Czy przypomina pan sobie osoby, którym pożyczał pan klucz ostatnio? W ostatnich tygodniach, miesiącach?

- Czy sobie przypominam? - powtórzył Zelman. - Nie, naprawdę nie. Gdybym kiedykolwiek przypuszczał, że to może być ważne i potrzebne, zapisałbym. Ale tak? Nie pamiętam.

- Na jak długo pożyczał pan klucz?

- Tylko na jeden dzień albo raczej - na jeden wieczór.

Taki był warunek.

- Wszyscy go zawsze dotrzymywali?

- Oczywiście! Każdemu zapowiadałem z góry, że jeśli klucza na czas nie odniesie, w przyszłości go nie dostanie.

- W dzień więc nie było na ogół w kawalerce nikogo?

- Przed południem? - upewnił się Zelman. - Nie.

- A kto sprzątał pokój?

- Raz w tygodniu przychodziła właścicielka kawalerki, pani Wierzbicka. Miała, naturalnie, swój klucz. Raz na dwa tygodnie brała pościel do prania. Dostawała za to ode mnie dodatkowo pewną sumę. Taka była zresztą umowa między nami.

- Te wszystkie przysługi, wie pan chyba, o czym myślę,

oddawane były przez pana pańskim przyjaciółom oczywiście bezinteresownie?

Zelman oburzył się.

- Jeszcze, jak dotąd, mam dość pieniędzy, żeby nie zarabiać w ten sposób.

## *Rozdział 5*

- **N**ie masz przeciwko Zelmanowi żadnych dowodów - powiedział Wanackiemu jego szef, Stępień, kiedy ten relacjonował mu wyniki przesłuchania. - Przy takim stężeniu alkoholu we krwi, jakie stwierdzono, facet mógł nie tylko „rzekomo”, jak twierdzisz, ale naprawdę nic nie słyszeć, bo spał jak kamień. Że kręci? Pokaż takiego, który by nie kręcił w podobnych okolicznościach. Celowe uszkodzenie lampy? Nie wiem, nie mam jeszcze wyników badań. Dopóki nie nadejdą, ty też niczym się nie sugeruj. Prowadź sprawę tak, jak gdyby to był nieszczęśliwy wypadek.

- A może przez ten czas...? - zaczął Wanacki.

- Chcesz się trochę rozejrzeć? No cóż, zgoda, rozglądaj się. Masz wolną rękę. Tylko pamiętaj - ostrożnie. Póki nie ma wyników badań lampy, nie ma i...

- Podejrzanego - dokończył Wanacki. - Na wszelki wypadek sporządziłem jednak małą prywatną listę. Chcesz zobaczyć?

Lista wyglądała tak:

Aleksander Zelman

Janusz Balcerzak

Jan Giziński

Leszek Horn

Bożena Horn

Marcin Dąbski

Marcjanna Wierzbicka

- Użytkownicy garsoniery na Hożej, co?

Wanacki przytaknął.

- Bądź jednak ostrożny - ostrzegł Stępień. - Zwłaszcza z tą Horn. Pamiętaj, że takie małe gwiazdki miewają, zdarza się, dużych protektorów, którym się łatwo narazić.

Wanacki obiecał i poszedł do telefonu, by zadzwonić do Zakładu Medycyny Sądowej. Chciał się dowiedzieć, czy są już wyniki sekcji, a przy tym łudził się, że do telefonu podejdzie Elżbieta.

Dwa lata temu Wanacki spodziewał się, że Elżbieta zostanie jego żoną. Tymczasem wszystko się rozleciało. Elżbieta wyjechała do Wielkiej Brytanii, na stypendium, i wkrótce przerwała korespondencję, częstą na początku, stopniowo coraz rzadszą. W ostatnim liście niedwuznacznie dała Wanackiemu do zrozumienia, że związała się z kimś innym, a ich dawną znajomość uważała za skończoną. Podobnie zresztą jak wszystko to, co ich niegdyś łączyło.

Po roku Wanacki, prawie niespodziewanie dla siebie, ożenił się. Jego żoną została koleżanka z komendy, Kamila. Miała skończone prawo i przyszła na staż do sekcji walki z nierządem. Była ładną, wysoką blondyną o wąskich biodrach i dużym biuście, absolutnym przeciwieństwem ciemnowłosej i drobnej Elżbiety. W komendzie zaraz zyskała opinię „sex-bomby”, a wielu kolegów skrycie albo jawnie zazdrościło Wanackiemu.

Poznali się na jakimś milicyjnym balu, na który Wanacki poszedł z ponurym zamiarem upicia się z powodu Elżbiety. Kamila mu ją skutecznie, przynajmniej na pewien czas, przysłoniła. W trzy miesiące później byli po ślubie. Wanackiemu zdawało się, że już zapomniał definitywnie o Elżbiecie.

Po jakimś czasie jednak, kiedy Elżbieta wróciła z zagranicy, okazało się, że to nieprawda. Zrozumiał, gdy tylko

zadzwońiła, ale starannie ukrył swoje uczucia. Pragnąc jednakże, by sytuacja była jasna, powiedział Elżbiecie o swym ślubie. Mimo to, czym go zaskoczyła, zaproponowała spotkanie, na dodatek w „Nowym Świecie”, kawiarni, w której dawniej często bywali.

- Nie bój się - roześmiała się, słysząc wahanie w głosie Wanackiego - nie mam zamiaru na nowo cię uwodzić. Twoja świeżo poślubiona małżonka może spać spokojnie.

Gdy przyszedł, Elżbieta siedziała już przy stoliku. Poznał ją natychmiast. Była taka jak dawniej - nic się nie zmieniła. Odniośł wrażenie, że czas się cofnął i poczuł jakby ułkucie w sercu.

Zamówił kawę, coca-colę i wino.

Jak kiedyś. - pomyślał - jak kiedyś.

- O co chodzi? - zapytał, uciekając wzrokiem przed oczami Elżbiety. - Co to za sprawa, o której mówiłaś przez telefon?

Elżbieta opowiedziała mu wówczas mętłą, mało przekonującą i niekonkretną historię jakiejś dziewczyny, rzekomo siostry dawnej koleżanki ze studiów. Dziewczyna poznała znacznie starszego od niej, zamożnego mężczyznę i związała się z nim, nie przypuszczając, iż ten zbyt mocno zaangażuje się w znajomość.

- Podobno groził jej, że prędzej ją zabije, zanim pozwoli odejść.

- Taki zazdrośnik? - zakpił Wanacki.

- Miał powody - odparła sucho Elżbieta. - Tamta zakochała się w innym.

Wyglądała na obrażoną, natomiast Wanacki odniiośł wrażenie, że cała sprawa odgrywa jedynie rolę pretekstu do wznowienia znajomości. Tylko - na cóż to było Elżbiecie?

Rozstali się w sposób właściwie nieokreślony. Elżbieta przypomniała Wanackiemu swój telefon. Pracowała znów,



jak kiedyś, w Zakładzie Medycyny Sądowej, robiła doktorat. Wanacki obiecał zadzwonić - i nie zrobił tego. Sam przed sobą tłumaczył się nawałem pracy. W rzeczywistości jednak odczuwał jakby podświadomy lęk przed kontynuowaniem znajomości. W końcu istniała przecież Kamila. Kamila, której mu wszyscy zazdrościli. Dlaczego nie mógł jej wciąż pokochać tak, jak powinien?

Tak więc Wanacki czekał na głos Elżbiety w słuchawce telefonu, lecz zamiast niej odezwał się sam szef zakładu - profesor.

- Witamy - powiedział charakterystycznym, tubalnym głosem. - Wszystko dostaniecie jutro rano. Protokół w zasadzie gotowy, ale trzeba jeszcze przepisać. Przyślijcie gońca między dziewiątą a dziesiątą.

- A wstępnie? Co pan profesor może orzec wstępnie?

- W zasadzie potwierdzamy opinię z pierwszych oględzin. Przyczyna zgonu denatki: śmiertelne porażenie prądem przy dużym upojeniu alkoholowym. To ostatnie mogło się stać czynnikiem, potęgującym skutki porażenia, a nawet przyczynić się do śmierci. Po prostu serce nie wytrzymało.

- Powiedział pan „w zasadzie”. Czy to znaczy, że...

- Nic nie znaczy, poruczniku. Obie diagnozy są identyczne. Jedynie na głowie denatki, a ściślej rzecz biorąc na prawej skroni odkryliśmy zasinienie i niewielki krwiak.

- Czy wcześniej straciła przytomność? Jeszcze zanim nastąpiło porażenie prądem? Czy ktoś ją mógł przedtem ogłuszyć, a później spowodować porażenie?

- Wszelkie domysły i ustalenia zostawiam panu poruczniku. My już swoje zrobiliśmy. Czy jeszcze coś?

Wanacki zapytał o Elżbietę.

- A, doktor Ambroziak! - profesor niemal się ucieszył.-

Niedawno wróciła z zagranicy. Świetna dziewczyna! Robi teraz u mnie doktorat. Namawiam ją na karierę naukową. Ma poważne szanse. Chce pan ją do telefonu?

Wanacki chciał, ale daremnie.

- Niestety, poruczniku, okazuje się, że gdzieś wyszła. Szkoda, bo mi mówiono, że kilkakrotnie dzwoniła do pana, tylko nie mogła pana jakoś złapać.

- Nie mówiła czasem, o co chodzi?

- Niestety, nie. Ale niech pan zadzwoni jutro z samego rana, na pewno ją pan zastanie.

Rozmowa z profesorem nie dawała Wanackiemu spokoju przez całą drogę na Ateńską. Dlaczego Elżbieta tak natarczywie usiłowała się z nim skontaktować? Czyżby znów coś nowego w związku ze sprawą, o której mu opowiadała wówczas w „Nowym Świecie”?

Pogrążony w myślach, zjechał swoim fiatem z mostu Poniatowskiego i w labiryncie ulic Saskiej Kępy zaczął poszukiwać Ateńskiej.

Gdy dotarł wreszcie na miejsce, rozpadało się, prawdziwie jesienna szaruga. Drobne, lecz gęste krople deszczu snuły się mgłą wśród bezlistnych drzew i opadały zamarzającą, szklistą powłoką na wyschłe badyle krzaków, na nieruchome słomiane chochoły, kryjące róże w ogrodzie.

Wanacki nacisnął dzwonek przy furtce. Z okna piętrowej willi wychyliła się kobieca głowa w hełmie rudych włosów.

- Pan do kogo? - krzyknęła kobieta, nie fatygując się, aby zejść na dół.

- Szukam pana Balcerzaka! - odrzyknął Wanacki. - Mieszka tu? - Podmuch wiatru porwał jego głos i przez moment Wanacki nie wiedział, czy został usłysznany.

Chwilowe milczenie było jednak tylko chyba oznaką

zaskoczenia. Zaraz potem ruda kobieta znów się odezwała.

- Nie znam pana, więc nie otworzę. A Janusza - poprawiła się - pana Balcerzaka nie ma. Czy ma pan jakiś interes do syna? Mogę mu powtórzyć.

- Proszę zejść! - zdenerwował się Wanacki. - Chyba nie będziemy rozmawiać w ten sposób?

Okno zniknęło się, zgrzytnął klucz w drzwiach, szczęknęła zasuwka i w chwilę później Wanacki poznał Alinę Zelman.

Pokazał legitymację. Twarz Zelmanowej skurczyła się, zszarzała, w zapuchniętych oczach, niedwuznacznie wskazujących, iż musiała przedtem płakać, ukazał się najpierw wyraz lęku, a później znów łzy. Fałdy nabrzmiałej twarzy ułożyły się w grymas płaczu. Sięgnęła po chusteczkę.

- Pan... pan właściwie w jakiej sprawie do syna? On nie ma nic wspólnego z tym wypadkiem! Ale - jak gdyby dopiero teraz spostrzegła, że stoją w ogrodzie - proszę dalej!

Weszli do ciemnego pokoju, zastawionego ciężkimi, orzechowymi meblami. Zelmanowa podsunęła Wanackiemu krzesło, sama siadła na skraju otomany.

- Mąż mi opowiedział całą tę historię - od początku do końca. Był załamany, w okropnym stanie... Poznał przypadkowo dziewczynę, zdaje się, że w kawiarni.

Spodobała mu się, poszli gdzieś razem, podobno najpierw na dansing, później do jakiegoś mieszkania na drinka. Tam miało dojść do wypadku. Wiem, że męża przesłuchiowano, ale został zwolniony. To nieszczęśliwy wypadek, prawda? - chciała się upewnić.

Ach, więc tak to jej przedstawił... - pomyślał Wanacki. Ni by prawdziwie, lecz jednak pomijając istotne szczegóły. Jak choćby ten, że znał Urszulę już od dawna.

Zelmanowa zacisnęła usta.

- Prawdę mówiąc - dodała z niespodziewaną zawziętością w głosie - wcale mi jej nie żal. Kurwa i tyle!

A jak o jedną mniej na świecie, niewielka szkoda! - Naraz zreflektowała się. - Przepraszam! Głupstwa plotę! To ze zdeenerwowania. Musi pan zrozumieć. Za dużo się na mnie zwaliło. Chyba pan sobie wyobraża, jak to przeżywam? - Od nowa uniosła do oczu chusteczkę, ocierając zmieszane z tuszem, brudnoczarne łzy. Naraz odzyskała energię. - A mnie powiedział, że... ma pilne zamówienie w zakładzie, że produkcja będzie iść w nocy, no i on jej musi dopilnować. Nieraz tak było, więc myślałam, że i tym razem... Okłamał mnie. Może mnie zawsze okłamywał? - popatrzyła na Wanackiego wyczekująco, jakby z nadzieją, że zaprzeczy jej słowom.

Wanacki odezwał się dopiero po chwili:

- Mąż teraz gdzie?

- W pracy - odparła szybko. - Praca to dla niego pół życia.

- A syn?

- Nie wiem. Wyszedł przed paroma minutami. Ale... - twarz jej napięła się, a obie szczęki zwarły tak mocno, że Wanacki niemal był pewien, że za chwilę usłyszy zgrzyt zaciśniętych zębów - coi mój Janusz może mieć z tym wspólnego? Do czego on wam potrzebny? Zrobił coś złego?

Pokazał klucz od garsoniery na Hożej.

- Zna go pani?

Prawie nie patrząc, rzuciła szybko:

- Nie! Czy to klucz od mieszkania tej dziewczyny? Ale dlaczego akurat Janusz?... - powróciła natrętnie do tego samego pytania.

- Czy pani wie, gdzie syn teraz przebywa? Bo jeśli nie, no cóż - podniósł się - przyślę mu wezwanie do komendy. -

Staął w drzwiach, gotowy do wyjścia.

Zelmanowa chwyciła go za rękaw.

- Proszę pana, naprawdę nie wiem, dokąd Janusz poszedł! Ale jeśli miałby pan odrobinę czasu, to może by pan, poszukał go w warsztacie samochodowym? Niedaleko, na Grochowie, zaraz za Rondem Wiatracznej. Napiszę panu adres, trafić łatwo, Janusz konserwuje tam swój wóz. Jest rajdowcem - powiedziała z dumą. - Wkrótce pan pewnie o nim usłyszy. Jedzie niedługo na rajd Monte Carlo.

Wanacki czekał na Balcerzaka dobre pół godziny. Poruszony niespodziewaną wizytą milicji właściciel warsztatu, tęgi mężczyzna o zgarbionych plecach, poinformował porucznika, że pasierb Zelmana - Balcerzak - wyjechał na moment po części i razem z nim zabrała się również dziewczyna Balcerzaka, Jolka.

W warsztacie stały na kilku kanałach auta różnych marek, wokół których chodzili ludzie w spłowiałych, niebieskich roboczych kombinezonach; między innymi rzuciło się w oczy jadowicie zielone renault, specjalnie przystosowane do rajdów, o grubszych niż zazwyczaj oponach. Wewnątrz znajdowały się metalowe pręty, wzmacniające karoserię.

Wanacki wyszedł na podwórko, stanął przed parterowym budynkiem, zapalił papierosa. Po pewnym czasie usłyszał głośny klakson. Przed warsztat wtoczył się biały fiat. Wóz zakręcił z istic kavalerskim fasonem i z równym fasonem gwałtownie zahamował. Wsiadło dwóch mężczyzn. Żadnej dziewczyny nie było.

Wanacki przedstawił się.

- Tylko na chwilę? - upewnił się Balcerzak. - Bo, widzi pan, mam jeszcze kupę roboty przy wozie. Przygotowuję go - wyjaśnił - do rajdu Monte Carlo. To moja wielka szansa.

Poprzednio, jak startowałem w rajdach... - i zaczął snuć długą opowieść o dotychczasowych sukcesach oraz niepowodzeniach. Nie byłoby temu końca, gdyby Wanacki wreszcie się nie wtrącił.

- To ten wóz? - zapytał, wskazując zielone renault.
- Tak.
- Niezły. Musiał sporo kosztować.

Balcerzak nastroszył się nieufnie.

- Czy to akurat pana interesuje?
- Ach, nie, skądże, pytam po prostu ze zwykłej ciekawości. Interesuje mnie kawalerka na Hożej.

Na podwórku pojawił się naraz właściciel warsztatu.

- Co tak, panowie, na dworze? Zimno, deszcz pada, lepiej przejdźcie do mnie, na zaplecze.

Wprowadził ich do budynku, pospiesznie wyniósł brudne szklanki z resztkami nie dopitej kawy. Później ukazał się jeszcze raz, tym razem z odrapanym taboretom. Dopiero potem nareszcie zostawił ich samych.

- Zapali pan? - zaproponował Balcerzak, wyciągając paczkę „Carmenów”.

Wanacki palił wprawdzie przed chwilą, lecz nie odmówił.

Tak łatwiej nawiązać rozmowę - pomyślał. Papieros był przesiąknięty zapachem i tłuszczem jakiegoś smaru, niedobry.

- Więc pan w sprawie... - Balcerzak zawahał się - Zelman?

Nie nazwał tego człowieka ani ojcem, ani nawet wujem. Użył nazwiska jak w stosunku do kogoś najzupełniej obcego.

- Tak jakby. Coś pan już słyszał?
- Co nieco.
- A klucz? - Wanacki położył na dłoni klucz od garsonierki na Hożej. - Zna go pan?
- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Klucz od mieszkania na Hożej. Korzystał pan z tego pomieszczenia?

Wanacki nie otrzymał na swoje pytanie na razie żadnej odpowiedzi. Drzwi pakamery otworzyły się z raptownym hałasem, a do pokoju wtargnęła dziewczyna. Była dość drobna i - mimo botków na wysokim obcasie, do których wpuściła spodnie - niewysoka. Nosiła krótki kozuszek, narzucony na batystową bluzkę. Długie, ciemne włosy, związane wstążką, opadały z tyłu na plecy, grzywka zaślaniała czoło. Wariackiemu przypominała nieco Elżbietę, tylko że Elżbieta nie była tak dziecinna i tak buńczucznie, kontestująco nastawiona do wszystkiego.

- Czego on tu chce? - zwróciła się do Balcerzaka, palcem wskazując Wanackiego. Jej ruchy były harde, kanciaste. Miała nie więcej niż dziewiętnaście-dwadzieścia lat. Twarz płonęła z oburzenia.

- Słyszałaś? - głos Balcerzaka brzmiał cicho, na policzkach chłopaka ukazał się rumieniec.

- Wszystko słyszałam! - krzyknęła dziewczyna. - Kim pan właściwie jest i jakim prawem pan go wypytuje? Zrobił coś złego czy co?

- Jestem z milicji - odparł spokojnie Wanacki i pokazał legitymację.

Dziewczyna zdumiała się. W chwilę później potok wymowy popłynął jednak strumieniem jeszcze bardziej wartkim.

- Jak to? - wykrzyknęła. - Dlaczego właściwie milicję interesują czyjeś prywatne sprawy?

Wanacki zignorował pytanie.

- Pani już wie, kim jestem - powiedział. - Należy mi się rewanż.

- Jaki rewanż?

- No - wzruszył ramionami - ja bym się też chciał dowiedzieć, kim pani jest.

- To Jola - wyręczył ją Balcerzak - Jola Orłowska, moja... - jakoś mu się udało wziąć tę przeszkodę - narzeczona.

- No to mu powiedz! A jak się boisz, to powiem ja! Pan jest żonaty?

Wanacki uśmiechnął się, przytaknął. Nie orientował się, czemu ma służyć pytanie.

- Więc jak pan jest żonaty, to niech pan posłucha. - Jola stanęła w rozkroku, przybierając pozę rewolwerowca z westernów. - Nie ma pan żadnych problemów! Ma pan własną chatę, łóżko i żonę. Wszystko pod ręką, na miejscu Pan nie musi się kulić z zimna na ławkach w parku, narażać na chamskie zaczepki, wystawać po bramach, łązić do kina, żeby się całować w ostatnim rzędzie, gdy nikt nie widzi. A ja też nie chcę! Niech się pan nie dziwi, że wolę wynajętą kawalerkę niż to! A zresztą - skrzywiła usta - co was w końcu, co milicję obchodzi moje osobiste życie? Chce się pan poskarżyć mojej mamie? Albo jego mamie? - wskazała na Balcerzaka. - Niech się pan skarży!

Zaczerpnęła z trudem powietrza, a zanim zaczęła ciąg dalszy, Wanacki spytał:

- Ulżyło?

Jolka zaniemówiła.

- Co mi miało ulżyć? O co panu właściwie chodzi?

- Właśnie - zawtórował niespodziewanie chłopak, dotąd milczący. Jego ręce pokrywały ciemnobrązowe, tłuste plamy smaru. Długie, rudawe włosy opadały na niebieski kombinezon na szelkach. Cera chłopaka była blada, trochę piegowata.

Pewnie po matce - pomyślał Wanacki, przypominając sobie wygląd Aliny Zelman.

Stolek, który zajmował pasierb Zelmiana, był najwidoczniej niski dla długich nóg, toteż Balcerzak nieustannie się kręcił, zmieniał pozycję.



- O co chodzi? - podjął Wanacki. - Właściwie o nic wielkiego. Jedno pytanie: kiedy korzystaliście z kawalerki na Hożej po raz ostatni? Może pani jednak usiądzie? - zaproponował, widząc, że Jola wciąż stoi w drzwiach, w tej samej obrażonej, wyzywającej pozie.

Jolka usiadła. W małej pakamerze zrobiło się ciasno. Wanacki ucieszył się w głębi duszy, że będzie miał możliwość porozmawiać teraz z tą dwójką naraz. Dziewczyna była niewątpliwie inteligentniejsza i bardziej rzutka. Balcerzak sprawiał wrażenie człowieka, którego tak naprawdę interesują jedynie samochody, a w pozostałych sprawach da się prowadzić za rękę.

- Więc chodzi panu o kawalerkę na Hożej? - raz jeszcze upewniła się Jola.

Wanacki przytaknął.

- Zanim odpowiem - rzekła Jolka - czy mogłabym coś zaproponować?

- Mianowicie?

- Czy moglibyśmy razem, to znaczy pan ze mną i z nim - machnęła niedbale ręką w stronę przykurzonego na stołku Balcerzaka - zawrzeć coś w rodzaju dżentelmeńskiego układu?

- Słucham.

- My odpowiemy panu na wszystko, o co nas pan zapyta, powiemy prawdę. W zamian za to pan nam powie, o co właściwie chodzi w tej całej zabawie. Zgoda?

- Tajemnica za tajemnicę?

- Można to i tak nazwać.

- Obiecać nie mogę. Ale... zobaczymy.

Jolka skrzywiła się.

- Trudno, skoro tak, grajmy w ciemno. Co pan chce wiedzieć? Jak często bywaliśmy tam, na Hożej? Nie za często. Po prostu jego stary - znowu wskazała na Balcerzaka - niezbyt lubił dzielić się tym, co sam posiada. Janusz dostał więc ten

klucz może ze cztery, może w sumie pięć razy. Zawsze tylko na dwie - trzy godziny wieczorem. To wszystko. Starczy?

- Nie. Może teraz pan, panie Balcerzak powie, jak w ogóle doszło do tego, że zaczął pan pożyczać klucz od swego ojczyma. Czy on sam wystąpił z propozycją, czy też inicjatywa wyszła z pańskiej strony?

Balcerzak lekceważąco machnął ręką.

- Po prostu kiedyś zaproponował mi, że jak będę miał jakieś trudności, on mi postara się sprawę ułatwić. Znaczy się, da klucz od chaty i po kłopotcie. Można zapalić?

- Nie zabraniam. A co do właściciela, to zdaje się, że nie zwraca na nas uwagi.

Zapalając papierosa, Balcerzak wyraźnie unikał wzroku Jolki. Jego ubrudzone smarem dłonie drgały nerwowo.

- No i - podjął - przyszedł wreszcie taki moment. Poznałem... - urwał - poznałem ją... - obrócił głowę w stronę dziewczyny. - Wtedy poszedłem po raz pierwszy do Zelmiana i poprosiłem o klucz. Dał mi od razu, ale z zastrzeżeniem, że tylko na jeden wieczór. Natychmiast po powrocie do domu musiałem go zwrócić, a Zelman swoim zwyczajem zamknął klucz w biurku.

- Nie nosił go więc razem z innymi kluczami?

- Nie, skądże! Zawsze trzymał w biurku, a klucze od biurka i od pokoju, w którym znajdowało się biurko, brał ze sobą.

- Matka o tym oczywiście nigdy nie wiedziała?

- Skądże! Gdyby się tylko domyślała! Widzi pan, moja matka... Nie chciałbym mówić zbyt wiele na ten temat, ale jej... jej naprawdę zależy na Zelmanie. Nie bardzo zresztą wiem, dlaczego. Dla mnie - uśmiechnął się krzywo - nie ma w nim nic szczególnego. Ma wprawdzie forse, matce to chyba

trochę imponuje, tym bardziej że przedtem żyła w złych warunkach...

- A panu?

- Mnie? Mnie nie. Mogę ją mieć, a mogę nie mieć.

- No, a samochód? Rajdy?

- O, to już zupełnie co innego! Tu chodzi o sukcesy sportowe, a nie o pieniądze!

- No, ale poza, jak pan mówi forszą, chyba pański ojczym ma jakieś inne zalety?

- Na pewno - odpowiedział z przekonaniem Balcerzak. - To nawet dość sympatyczny facet. Wesoły, inteligentny, bystrzak i w ogóle do rzeczy. Ja go w każdym razie lubię. Jedną ma tylko wadę. Za bardzo kocha dziewczynki. I to go zawsze zbyt wiele kosztuje. Taki na przykład romans z piosenkarką... poleciało mu kupę forsy. A na dodatek babka miała piekielnie zazdrosnego męża, więc cały czas Zelman i ona musieli się z tym kryć. W końcu ojczym miał tak wszystkiego dosyć, że zdaje się odetchnął z ulgą, kiedy się zakończyło.

No, no - pomyślał Wanacki - teraz już wiem, czemu Zelman mógł wykazać taką dogłębną znajomość charakteru piosenkarki.

- Zresztą - ciągnął Balcerzak - myślę, że podobnych przygód miał więcej. Ale opowiadał mi tylko o tej. Nie wiem, dlaczego, chyba żeśmy się kiedyś zgadali na temat pani Horn, no i właśnie wtedy... Teraz sam pan rozumie, że... - urwał - nigdy bym go nie sypnął przed matką. Nawet nie ze względu na niego, tylko na nią. Za żadne skarby nie zrobiłbym jej takiego świństwa.

- A nie było panu jakoś... jakoś głupio z tego powodu? Wiedział pan przecież o wszystkim i nie starał się temu przeciwdziałać, czyli milcząco aprobował? Czy to stało w zgodzie z pańskimi przekonaniem?

Balcerzak zaciągnął się głęboko papierosem. Wydmuchując dym, powiedział z ironią:

- A cóż by to pomogło? Zmienić bym go przecież nie zmienił. Więc - po co? I w imię czego? Żeby zranić matkę? Nie!

Drogą nagłego skojarzenia Wanacki znów pomyślał o rajdowej renówce. Może nie tylko klucze do garsoniery na Hożej, ale także i wóz były ceną, jaką przychodziło Zelmanowi płacić za milczenie pasierba?

- Czy przypomina pan sobie, kiedy pan otrzymał klucz do mieszkania na Hożej po raz pierwszy?

Balcerzak zastanowił się chwilę.

- Mniej więcej przed miesiącem.

Jego dziewczyna przytaknęła.

- Tak, pamiętam, chyba na początku października,

- A kiedy byliście ostatnio?

Jolka znów nie dała dojść do słowa swemu narzeczonemu.

- Mogę powiedzieć dokładnie. - Wyjęła z torebki niewielki kieszonkowy kalendarzyk i, śliniąc palec, przewróciła parę kartek. - Proszę spojrzeć - wskazała na zakreśloną datę - w piątek, ósmego listopada. Zaznaczyłam tu sobie kolokwium z anatomii, jestem na pierwszym roku Akademii Medycznej - wyjaśniła - pamiętam, że było piekielnie trudne. Kolokwium pisałam na ćwiczeniach popołudniowych i zaraz po wyjściu z uczelni spotkałam się z Januszem. Poszliśmy najpierw na obiad do baru, zdaje się, że do „Prahy”, żeby szybciej, a później na Hożą.

- Od tej pory nie byliście już tam?

Jolka spojrzała na Wanackiego z oburzeniem.

- Przecież mówiłam...

Wanacki obliczył w pamięci. Zelman zawiadomił o wypadku w czwartek, czternastego listopada. Obie daty dzielił więc odstęp zaledwie sześciu, a gdy się weźmie pod uwagę, iż wypadek zdarzył się w nocy z trzynastego na czternasty listopada - tylko pięciu dni.

- Ostatnie pytanie. Nie przypominacie sobie czasem lampy, znajdującej się w tym pokoju? Konkretnie chodzi o dużą lampę stojącą obok fotela. Taką na metalowym, ruchomym pręcie, z żółtym abażurem? - Wanacki jeszcze nie skończył, a już zauważył nagłą wymianę spojrzeń.

- Lampę? - przeciągnęła dziewczyna. Wydawało się, że chce zyskać na czasie. - Na pewno musiała tam być jakaś lampka, no nie?

- Były dwie: jedna, stojąca, i druga, nocna, ze szklanym, seledynowym kloszem. Poza tym jeszcze żyrandol sufitowy. Która z nich była wówczas przez państwa używana?

- Która? - powtórzyła dziewczyna. - Wydaje mi się... - znów wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Balcerzakiem - że... chyba żadna. - Zachichotała. - Najprzyjemniej spędzało się czas po ciemku.

- Niech jej pan nie słucha - odezwał się naraz Balcerzak - nie widzi pan, że stroi sobie żarty? Oczywiście, że zapalaliśmy światło. Z reguły jednak korzystaliśmy z lampki nocnej.

Wydawało się, że dziewczyna, dotąd najwyraźniej ociągająca się z odpowiedzią, obecnie, kiedy wyręczył ją Balcerzak, odzyskała utraconą na moment pewność siebie.

- Tak właśnie było - potwierdziła szybko; może nazbyt szybko. - Nocna lampka dawała przyjemne, seledynowe światło.

- Więc z lampy stojącej nie korzystaliście?

- Nie - odrzekła zdecydowanie dziewczyna. - Była... - zawahała się - dość niewygodnie umieszczona. Za fotelem, trudno się do niej dostać.

- Za fotelem? - zdumiał się Wanacki. - Myślałem, że znajdowała się obok fotela.

- No, tak - zmieszła się Jolka - ale fotel przeszkadzał.  
Czy to już wszystko, proszę pana?

- Mniej więcej. Chyba że miałaby pani coś do dodania.  
Albo pan - zwrócił się do Balcerzaka.

- Wciąż nie wiemy, o co panu chodzi - przypomniła  
dziewczyna. - Pamięta pan o naszej umowie? Szczerość za  
szczerość.

- Nic takiego nie obiecywałem.

- Ale mówią pan, że pan zobaczy. Więc... - w głosie Jolki  
zabrzmiało oczekiwanie.

- Dobrze - zdecydował Wanacki. - Zresztą pan - wskazał  
dłonią na Balcerzaka - zapewne już się mniej więcej orientuje.  
Prawda?

Balcerzak milcząco skinął głową.

- No wiesz, Janusz - uniosła się dziewczyna. - Świnia je-  
steś! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Bo sprawa dotyczy jego ojczyma. Widzi pani - teraz  
Wanacki mówił niemal wyłącznie do Jolki - w mieszkaniu na  
Hożej, z którego i wy korzystaliście od czasu do czasu, zda-  
rzył się wypadek. Tragiczny wypadek, śmiertelny. Pewna  
młoda dziewczyna, znajdująca się tej nocy w towarzystwie  
ojczyma Janusza, zmarła na skutek porażenia prądem. Ta lam-  
pa, o którą was poprzednio pytałem... A więc ta lampa... była  
popsuta, nastąpiło zwarcie, no i... dziewczyna nie żyje. Wy-  
starczy?

Twarz Jolki nagle zmieniła się. Wysunęła czubek języka,  
oblizując nim wargi. Ochryplym, zmienionym szeptem zapy-  
tała:

- Proszę pana... czy ta dziewczyna - przełknęła nerwowo  
ślinę - czy ona przypadkiem nie nazywała się Retmianiak?  
Ulka Retmianiak? - Oczy patrzące na Wanackiego bardziej  
wydawały się oczekiwać potwierdzenia aniżeli zaprzeczenia.

Wanacki podszedł do Jolki, położył rękę na jej ramieniu i obrócił twarz dziewczyny w swoją stronę.

- Znała ją pani?

- Czy znałam? Oczywiście. Ulka była moją szkolną koleżanką. Razem robiłyśmy maturę. Później nasze drogi się rozeszły. Ona starała się na uniwersytet i nie dostała się. Ja miałam więcej szczęścia, lądując na Akademii. Mimo wszystko utrzymywałyśmy jednak ze sobą kontakty. Przez nią właśnie, a raczej przez jej faceta, tego Zelmana, poznałam Janusza. Ulka! - zaszlochała nagle. Głośno pociągnęła nosem. - Nie wierzę w żaden tragiczny wypadek! - Kurczowo zacisnęła dłonie w dwie małe piąstki. Wyglądała jak rozplakane, rozszoszczone dziecko, upierające się przy swej racji. - Nie wierzę, słyszy pan! To on ją zabił! On! Bała się go, tego Zelmana! Zamordował ją!

- Jak śmiesz tak mówić? - poderwał się Balcerzak. - Jakim prawem odzywasz się tak o nim? Zapomniałaś, że to mój ojczym? - Wyglądał na ogromnie poruszonego, na jego policzkach ukazały się plamy rumieńców. - Że jest mężem mojej matki? Ty... - szukał odpowiedniego określenia - dziwko!

- No, no, proszę się uspokoić! Tylko bez takich określeń! Nerwy niech pan trzyma na wodzy, a nie obraża kobiety.

- Ja ją obrażam? Dobrze sobie! - wybuchnął Balcerzak. - Słyszał pan chyba, co mówiła o moim ojczymie! I pan, mili-cjant, pozwala, by bezkarnie rzucała na niego oszczerstwa? By oskarżała go o... - z pochyloną głową wyglądał jak atakujący byk - o morderstwo?

- Nie chcę cię więcej znać, słyszysz? - krzyknęła dziewczyna. - Ani znać, ani widzieć! Weź sobie ten swój pierścio-niek, weź z powrotem, prędko! - Przez chwilę mocowała się z wąskim paskiem złota na palcu, wreszcie z rozmachem rzuciła go na brudną podłogę pakamery. - I idź do swojego tatusia!

Idź i powtórz mu, jak się za nim ująłeś, to ci może znów sypnie coś ze swej kabzy!

Balcerzak pochylił się, podniósł spod nóg pierścioneek, przez moment niezdecydowanie obracał go w palcach, wreszcie schował do kieszeni.

Dziewczyna roześmiała się. Śmiała się coraz głośniejsze i głośniejsze, aż śmiech przeszedł w przerywany czkawką płacz. Z twarzą ukrytą w chusteczce, wybiegła raptownie z pakamery.

Wanacki ruszył za nią. Dogonił ją dopiero na podwórku. Ujrzał czerwone, zalane łzami oczy. Raz jeszcze Jolka chlipnęła żałośnie, a potem, z nagłym zdecydowaniem i wrogością w głosie, rzuciła:

- Pan też niech się ode mnie odczepił Słyszysz pan! Nic panu już więcej nie powiem! Absolutnie nic! Nic nie wiem!

Przez chwilę Wanacki usiłował wszcząć pertraktacje. Wszelkie próby okazały się jednak daremne. Dziewczyna zaczęła biec. Dogonił ją. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Dlaczego mnie pan tak prześladowuje? Dlaczego? Och! Co ja wam zrobiłam?

Zrezygnowanym ruchem Wanacki puścił jej ramię.

- Nic pani nie zrobiła, nic. Myślałem jedynie, że mi pani pomoże.

- Ani mi się śni!

## ***Rozdział 6***

**M**arcjanna Wierzbicka była starszą, dystyngowaną, choć nieco przygłuchą panią, która przyjęła Wanackiego w pokoju pełnym bibelotów.

- Że co pan powiada, hę? - zapytała, przykładając jedną



rękę charakterystycznym gestem do ucha, drugą wskazując Wanackiemu wypłowiły fotel.

Mebel zachwiał się niepokojąco, Wanacki poczuł się trochę niepewnie. Ograniczając własne ruchy do minimum, pokrótce wyjaśnił, o co chodzi.

- A, mieszkanie na Hożej! - krzyknęła starsza dama, nie wyglądając jednak na specjalnie zadowoloną z zainteresowania tym tematem. - To własność syna. Znaczy się, kawalerka własnościowa. Syn wyjechał na parę lat za granicę, do Afryki, a jak wyjeżdżał, powiedział, że po co mieszkanie ma stać puście. Lepiej wynająć. No i - wynajął.

- Komu?

- Że co, proszę pana?

- Komu wynajął?

- A - Marcjanna Wierzbicka machnęła lekceważąco ręką - jednemu takiemu. Zelman chyba się nazywa. Co mnie tam zresztą obchodzi? Płaci pieniądze regularnie, do reszty się nie wtrącam.

- Jak dawno wynajął?

Dama znów przyłożyła zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha.

- Tuż przed wyjazdem. Będzie z jakieś trzy lata temu. Syn dał ogłoszenie do gazety, zgłosiło się paru i wybrał tego, który mógł mu zapłacić czynsz za dwa lata z góry.

- Tym kimś był Zelman?

Starsza pani odetchnęła głęboko, podnosząc obie ręce do pomarszczonego czoła.

- Tak pan szybko pyta, że nie nadążam z odpowiedzią. Mógłby pan wolniej? Trochę źle słyszę, no i...

- Oczywiście - pospieszył z zapewnieniem Wanacki.

- Tak, to był właśnie pan Zelman. Syn spisał z nim umowę na dwa lata i powiedział, że jak do tej pory nie wróci

z zagranicy, a pan Zelman nadal będzie reflektował na kawalerkę, to musi już załatwiać wszystko ze mną. Zresztą ja także miałam klucz do kawalerki.

- Więc syn go nie dał Zelmanowi?

- Ależ dał, oczywiście! Jak by się tam inaczej dostał? Na wszelki wypadek jednak...

- Rozumiem - przerwał Wanacki. - Lepiej było mieć pewność.

- Pewność? A tak, jasne, że trzeba było mieć pewność. Sam pan wie, jak teraz trudno o mieszkanie, a taki pokój to łakomy kąsek, prawda? Poza tym pan Zelman zaproponował mi, żebym od czasu do czasu sprzątała, brała pościel do prania i tak dalej. Za to miał płacić dodatkowo. A że moja renta po mężu nie za wysoka - zgodziłam się.

- Więc on tam początkowo mieszkał?

- Ależ nie! - gwałtownie zaoponowała Wierzbicka. - On - pochyliła się konspiracyjnie w stronę Wanackiego - potrzebował tego pomieszczenia dla swoich interesów. Mówił, że robi, no, jakiego określenia on wtedy używał? Niechże sobie przypomnę! Aha - że pracuje w byzniesie, tak właśnie mówił, i że takie mieszkanie w śródmieściu będzie po prostu idealne dla niego. Miał w nim przyjmować klientów, podpisywać różne papiery i tak dalej.

- Mówił, gdzie pracuje?

- Nie interesowałam się. To sprzeczne z zasadami dobrego wychowania. Tak, proszę pana. Nigdy nie wtrącam się do niczych spraw. A jeśli mi sam nie mówił... Najważniejsze, że płacił regularnie i nigdy nie miałam z nim żadnych kłopotów. Absolutnie!

- Kiedy była tam pani po raz ostatni?

- Niechże sobie przypomnę. - Wątła, usiana brunatnymi plamkami ręka znowu powędrowała do czoła. — Jaki dziś dzień mamy?

- Poniedziałek, osiemnasty listopada.
- Więc... Niechże policzę. - Podeszła do wiszącego na ścianie kalendarza, kartkując jego strony. - Byłam tam w czwartek. W przedostatni czwartek. Zawsze chodzę w czwartki, żeby posprzątać. Tak umówiłam się z panem Zelmanem.
- W przedostatni czwartek? - powtórzył pytająco Wanacki. - W ostatni pani nie poszła? - upewnił się.
- A nie, skądże! Byłam chora, proszę pana. Reumatyzm tak mnie pokręcił, że w ogóle nie mogłam wyjść z domu, Niech pan zobaczy - wysunęła spod krzesła nogę w grubej pończosze, spod której wystawało obrzęknięte kolano.
- Dziwny zbieg okoliczności - pomyślał Wanacki. - Choroba jakże na czasie. A może wcale nie choroba? - Spojrzał z nagłą podejrzliwością na Wierzbicką.
- Więc lepiej - rzekł - żeby pani tam teraz nie chodziła. Zresztą - dodał - i tak się pani nie dostanie do środka.
- Z ukosa obserwował jej reakcję. Czy zdziwienie i brzęczenie w głosie zdenerwowanie były naturalne, czy też jedynie świetnie udane?
- Dlaczego?! Coś się stało? Zabraliście mi to mieszkanie? - podniosła głos do wątlęgo, starczego, piskliwego krzyku: - Zabraliście?!
- Dlaczego mieliśmy zabierać? Stanowi własność pani syna, jak przedtem. Natomiast musieliśmy je... - Wanacki zawahał się - zaplombować.
- Mówiłam! - plasnęła w dłoń starsza pani. - Tyle razy syna ostrzegałam, żeby nie wynajmował tej kawalerki! Tyle razy! Mieszkania trzeba strzec jak oka w głowie! I obcych nie wpuszczać! A on mi wciąż: mama sobie dorobi do renty, mamie potrzeba pieniędzy! No i dorobił się! - Ukryła twarz w dłoniach, rozległo się żalodne pociągnięcie nosem.

- Niechże się pani uspokoi! To tylko chwilowo, do czasu wyjaśnienia sprawy.

Wierzbicka odjęła dłonie, ukazując Wanackiemu załzawione, zaczerwienione oczy.

- Jakiej sprawy? Czy on...? To znaczy ten Zelman... Czy on coś zrobił? Właśnie w moim mieszkaniu? - Ciekawość wzięła górę nad chwilowym załamaniem. - Więc jednak ten Zelman - powtórzyła - miał coś na sumieniu? Bo otóż, jeśli chce pan znać moją opinię na jego temat, powiem panu: to nie był uczciwy człowiek! Już ja się znam na ludziach i wiem, kiedy im dobrze, a kiedy źle patrzy z oczu. A on zawsze patrzył na mnie dziwnie. Jakoś z ukosa. I nigdy w oczy, proszę pana. Nigdy! A te jego interesy... one pewnie też musiały być coś nie bardzo. Bo widział kto kiedy, żeby całe mieszkanie w śródmieściu wynajmować i tyle pieniędzy płacić za rzekomo tylko służbowe spotkania z klientami? Dobrze to musiały być spotkania! - Pokiwała głową. - Kobiety, ot co! Kobiety, mówię panu, sprowadzała. Za każdym razem inną. Co ja się, proszę pana, nieraz nie nasprzątałam! A to włosy zbieraj z podłogi łazienki, wynoś butelki. A pościel! Żeby pan tylko widział, jak pościel po takich nocach wyglądała! Raz to go nawet wprost zapytałam, ale on jak się nie obruszył! Że wara mi niby od jego prywatnych spraw, że płaci w terminie i już mnie nic więcej nie powinno obchodzić. Widzi pan! - smętnie pokiwała głową. - Tacy to teraz są ludzie! Brak wychowania i koniec! Tak mnie obraził, że zaraz mu chciałam mieszkanie wymówić. No, ale akurat miał zapłacone za parę miesięcy z góry, poza tym... obiecał, że podniesie mi dodatkowo za, jak powiedział, uciążliwe sprzątanie. A niedawno przyniósł mi nawet to - wskazała na kołnierz bluzki, przy którym przypięta była ładna, duża brosza. W splotach misternego ornamentu tkwiły przezroczy-ste, zielone kamienie, układające się w zarys kwiatu. Jego

korona nie była jednak pełna, ponieważ jednego kamienia brakowało.

- Niebrzydka - uznał Wanacki.  
- Prawda? - z dumą zapytała Wierzbicka. - Musiała go dużo kosztować.

- Więc Zelman nie był jednak taki najgorszy?  
- Co też pan mówi! - szczerze obruszyła się Wierzbicka.  
- Inna rzecz, że powinien mi wtedy nie wiem co przynieść. Sam powiedział, że warto by mnie ozłocić za to, co dla niego zrobiłam.

- A co pani zrobiła?  
- Jak to co? Teczkę mu znalazłam! Ze wszystkimi ważnymi papierami! Zostawił na Hożej, a szukał podobno wszędzie, tylko nie tam! Mówię panu, jaki był uszczęśliwiony, gdy mu oddałam! Jakby go kto na sto koni wsadził!

- Skąd pani wie, że tam były ważne papiery? Zajrzała pani do środka?

Małe oczka Wierzbickiej rozbłyły nagłym sprytem. Po chwili zastanowienia odparła:

- Nie wiem. Teczka była zamknięta na kluczyk. A kluczyka nie było. Pan Zelman tylko mi o tych papierach mówił. Nie miałam powodów, żeby nie wierzyć.

- Kiedy to było?  
- Nie tak dawno, proszę pana- Akurat wtedy, jak ostatnim razem sprzątałam. W zeszły czwartek, mówiłam panu.

- W poprzedni czwartek, czyli - Wanacki zajrzał do kalendarzyka - siódmego listopada.

A następnego dnia - pomyślał - z kawalerki na Hożej ko-rzystalii pasierb Zelmiana ze swoją dziewczyną.

- Że co proszę?- nie dosłyszała starsuszka.
- Mówię, że to było siódmego listopada.
- Jak pan tak mówi, to chyba się zgadza.

- Gdzie teczka leżała?
- A wie pan, że aż się sama zdumiałam. Pod fotelem!
- Pod którym! Tym, który stoi obok lampy?
- O, właśnie! Leżała, jak gdyby nigdy nic. Pan Zelman nawet gdyby jej szukał, długo mógłby poszukiwać. A zresztą - machnęła lekceważąco ręką - może też on i szukał...
- A tę lampę... - zawahał się Wanacki, nie mając pewności, czy Wierzbicka będzie w stanie nadażyć za nagłym przeskokiem myślowym - to pani paliła?
- Co niby paliłam?
- Przecież mówię, lampę.
- A, lampę! Niechże sobie przypomnę. Tak, zgadza się! Zapalałam ją, żeby sprawdzić, czy żarówka dobra. Zawsze tak robię, jak sprzątam - wyjaśniła - i co i raz muszę żarówkę wymieniać. Nie wiem, jak to się dzieje, czy żarówki za słabe, w każdym razie stale się psują.
- Ale wtedy, w czwartek, siódmego listopada, żarówka była dobra i lampa paliła się bez żadnych zakłóceń? Nic pani nie zauważyła?
- Skądże znowu - obruszyła się pani Marcjanna. - Pamiętam dokładnie! Bo co jak co, ale pamięć to ja jeszcze mam taką, że niejednego młodego zakasuję! Pana też - spojrziała wymownie na Wanackiego.
- A teczkę, jeśli dobrze zrozumiałem, zwróciła pani właścicielowi?
- Jakże by inaczej! Jestem uczciwą kobietą. Zadzwoń-łam do pana Zelmiana i powiedziałam, że znalazłam teczkę.
- Kiedy?
- Po paru dniach. Zdaje się, że w niedzielę. Tak, w niedzielę.
- Więc nie od razu?
- Ano, nie. Pan Zelman nie dał mi swojego telefonu, w książce go też nie było, musiałam pytać w informacji. A ja,

jak pan widzi, telefonu własnego w domu nie posiadam. Trzeba wychodzić do automatu, informacja stale zajęta, dzwoniłam kilka razy, zanim się dowiedziałam. Wszystko musiało trochę potrwać.

- Co mu pani wtedy powiedziała?

- Że znalazłam jego teczkę na Hożej. Zresztą - spojrzała pytająco na Wanackiego - czyjaż by mogła być? Przecież nie jakiegoś klienta, bo by nie leżała pod fotelem... Najpierw wydał mi się nawet, wie pan, trochę zaskoczony. Zaraz jednak spytał, czy jestem w domu i czy może do mnie od razu przyjechać. No i oczywiście, że mi to w jakiś sposób wynagrodzi. Zastanawiałam się nawet, jak - pieniędzmi czy też może inaczej, na przykład jakieś kwiatki lub bombonierkę przynieś? Tymczasem przyjechał z tą - wskazała na klejnot - broszką. Skąd ją wziął akurat w niedzielę, kiedy sklepy zamknięte, nie mam pojęcia. Ale spodobała mi się, sam pan widzi, co za mi-strzowska robota, więc przyjąłem. Niby jako wynagrodzenie za znalezienie teczki. Wziął teczkę, pożegnaliśmy się i pojechał z powrotem. Od tamtej pory już go nie widziałam.

- O której to było: rano, wieczorem?

- Dzwoniłam po południu, a przyjechał chyba przed wieczorem...

- Sam podjął słuchawkę?

- Czy to takie ważne? Tak, chyba sam.

Wychodząc z mieszkania Marcjanny Wierzbickiej,

Wanacki miał niejasne przeczucie, że chyba jednak - mimo pozorów szczerości - starsza pani nie powiedziała mu całej prawdy...

Nad światem wisiła nadal późnojesienna mżawka.

Powoli zaczynało się ściemniać i w miarę zapadania mroku

Wanacki przestawał rozróżniać kontury drzew. Las stawał się wielką, ciemną i jednolitą płaszczyzną, z której samochodowe reflektory wydobywały jedynie fragmenty rozjeżdżonej, pełnej dziur drogi.

Nic dziwnego, że zablądził i - zanim się zorientował - już koła samochodu buksowały w wilgotnym piachu, a przed maską wyrosła zbita ściana drzew. Klnąc, na czym świat stoi, poderwał wóz nagłym zrywem, najpierw do przodu, następnie raptownie do tyłu - i tak udało mu się wreszcie wyjechać.

Cofając samochód, dostrzegł z boku metalową siatkę ogrodzenia. Za nim znajdował się piętrowy dom. Nie świeciło się ani jedno z okien, a mimo to willa była dość wyraźnie widoczna. Kiedy odjechał kawałek dalej, zrozumiał tajemnicę. Nie opodal zauważył podłużny budynek. Przed jego frontem paliły się tak jasne lampy, że światło ich padało również i na sąsiada.

Wanacki zatrzymał auto, wysiadł i - zbliżając się do siatki - ciekawie zerknął do środka. W zapadającej ciemności ujrzał odgradzony kawałek lasu, tym jedynie różniący się od jego dalszej części, że miejsce wszechobecnych tu wszędzie piachów zajęły anemiczne płaty zwiędłej teraz trawy. Wśród niej rosły karłowate krzewy i kilka sosen o drgających leniwie gałęziach. Sądząc z opisu, usłyszanego poprzednio od Zelmana, musiała to być najprawdopodobniej willa Gizińskiego. W oświetlonym podłużnym budynku mieścił się zapewne zakład produkcji pocztówek dźwiękowych. Tak więc przypadkowo Wanacki znalazł się chyba na tyłach obu domów.

Obchodząc ogrodzenie i poszukując wejścia, zauważył boczną furtkę. Rosnące obok, gęstsze niż gdzie indziej krzewy prawie nie dopuszczały tu światła, tak że tonęła w mroku.

Wanacki nacisnął klamkę, lecz bramka nie puściła. Dopiero



teraz spostrzegł wielką, wiszącą pośrodku metalowych sztachet, kłódkę. Gdzieś za podłużnym budynkiem rozległo się ostrzegawcze szczekanie psa. W jasno oświetlonej płaszczyźnie ukazał się człowiek.

- Cicho, Ben! - zawołał. - Co tak hałasujesz? Co się stało?

Pies zaszczeakał jeszcze raz, a w chwilę później Wanacki usłyszał już tylko ciche, zadowolone skomlenie. Mężczyzna odwrócił się, najwidoczniej uspokojony. W tym samym momencie doszedł do uszu Wanackiego warkot samochodu. Jasne reflektory omiotły budynek zakładu. Rozległ się dźwięk otwieranych drzwiczek i z wnętrza wozu wygramolił się wysoki, chudy człowiek. W jednej ręce trzymał sporej wielkości teczkę. Bez słowa podał ją gospodarzowi.

Tamten zapytał krótko:

- Ile?

Padła jakaś odpowiedź, której Wanacki nie dosłyszał. Towarzysz chudzielca, niski, tęgawy mężczyzna o krótkich nogach, stanął raptownie w miejscu. W jednej ręce nadal trzymał rączkę teczki, drugą odruchowo głaskał łeb psa.

- Ile, powiadasz?

Przybysz mówił tak cicho, że nie można go było zrozumieć.

- No, dobrze - zgodził się wreszcie tamten. - Resztę dostarczysz mi, powiedzmy, za dwa tygodnie. Zgoda?

Chudzielec pochylił głowę. Gest ten równie dobrze uchodzić mógł za przytwierdzenie, jak i wyrażać wahanie.

- Wejdz, nie ma nikogo.

- Poczekam tutaj. No co, Ben? Jak ci się wiedzie, piesku?

Pies zawarczał.

- Ale bestia! Dobrze go wytresowałeś! Obcego chyba nikogo nie wpuści?

- Mowy nie ma! - roześmiał się zapytany i z teczką w ręku zniknął we wnętrzu budynku.

Przybysz chodził tymczasem po podwórku, chwilami zanurzając się w ciemność, chwilami ukazując się w świetle latarni.

Wanacki postanowił podejść bliżej. Czyżby to właśnie o tej teczce wspominała Wierzbicka?

Ręką wymacał siatkę płotu i tak, wczepiony w nią, posunął się ostrożnie kilka kroków. Plac przed zakładem był jednak dość jeszcze daleko. Teraz, gdy krzaki stały się gęstsze, dochodził stamtąd zaledwie nikły poblask światła. Natomiast wokoło panowała ciemność.

Naraz Wanacki dostał się w zarośla kłujących jeżyn. Poczł bolesne zadrapania, kolczaste gałęzie wbiły mu się w nogawki spodni, nie pozwalając postąpić dalej. Szarpnął się. W tym samym momencie doszło do jego świadomości, że traci równowagę i obsuwa się gdzieś w dół. Wystające druty siatki rozdarły mu dłoń. Mimowolnie jęknął z bólu i niemal natychmiast odezwało się złowrogie ujadanie psa, najpierw odległe, niebawem coraz bliższe. Przyciskając do ust krwawiącą rękę, Wanacki opadł na dno głębokiej jamy.

Pies był tuż obok. Na chwilę umilkł, sapiąc głośno, lecz zaraz jego szczekanie przeszło w zdyszany, zanoszący się podnieceniem charkot. Pazury łap drapały siatkę, wyszczerzone zęby raz po raz kłapały o metal. Wilczur wspiał się na płot, węsząc wokoło. Z westchnieniem ulgi Wanacki pomyślał o podwójnym kolczastym drucie, jaki wieńczył szczyt siatki, i o tym, że pies nie zdoła pokonać przeszkody.

Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, naprędcę obwiązał

rękę. Pies odskoczył; zaczynając znów wściekłą gonitwę wokół ogrodu.

Naraz Wanacki znieruchomiał. Usłyszał czyjeś kroki i głos:

- Beni Do nogi!

Wilczur warknął, szczeknął kilka razy i ciężko skoczył na siatkę.

- No, co się stało? - zapytał znowu ten sam głos. Jego właściciel trzymał w ręku latarkę, zataczając nią jasne koła światła. Widać było jedynie dłoń - reszta pozostawała w cieniu.

Wanacki skulił się na dnie swej kryjówki gęsto porośniętej krzakami, chyba niewidocznej od strony siatki, bo oddzielonej od niej zaroślami jeżyn. Mimo to poczuł się jednak niepewnie, kiedy tańczące światło latarki objęło tę część terenu. Pies nagle umilkł, w czujnym oczekiwaniu na rezultaty poszukiwań swego pana.

- Co tam? - rozległ się naraz drugi głos i w blasku światła Wanacki dostrzegł wysokiego, chudego właściciela samochodu.

- Nie wiem. Ben zupełnie oszalał, ale nikogo nie widzę. Może lis, kręcą się tu od czasu do czasu.

Chudy mężczyzna wziął latarkę i teraz on z kolei zaczął nią manipulować.

- Chyba tak - zdecydował. - Zabierz Bena i chodźmy, bo już późno.

Pies wyrwał się i szarpał. Pewnie go jednak wzięto za obroź, skoro ochryple szczekanie stopniowo się oddaliło.

Wanacki ostrożnie wypełził z jamy, torując sobie drogę wśród jeżyn.

Naraz przystanął. Usłyszał wyraźny dźwięk zapuszczanego silnika. W chwilę potem zobaczył reflektory. Jasne smugi przesunęły się po lesie, ażeby za chwilę roztopić się gdzieś wśród drzew.

Nieco kulejąc, ruszył w stronę samochodu. Tu ściągnął zakrwawioną chusteczkę. Oczom jego ukazała się paskudna, głęboka rana.

Całe szczęście - pomyślał - że to nie prawa ręka.

Z apteczki wyjął środek dezynfekcyjny i duży plaster. Wyłał sobie na dłoń pół butelki płynu i sycząc z piekącego bólu - rozerwał plaster. Później nałożył rękawiczkę.

Gdy ujął kierownicę, ból odezwał się znowu. Zacisnąwszy zęby, Wanacki pokonał piaszczyste wykroty, skręcił i wjechał, tym razem już prawidłowo, na drogę, prowadzącą do obu budynków.

Zatrzymał się na wprost właściciela zakładu, który zamykał akurat bramę, i wysiadł z wozu.

- Pan do mnie? - spytał tamten.

Wanacki wyciągnął legitymację.

Tęgi, niewysoki mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Światło latarki padało na jego nalaną, czerwoną twarz z dużą, wystającą brodawką na policzku i kładło cienie na krótkiej szyi, wychylającej się z rozpiętego kołnierzyka koszuli.

- O co chodzi? Bo jeśli o zakład... - trochę się jąkał, pry-skając w stronę Wanackiego kropelkami śliny - wszystko jest w najlepszym porządku, daję słowo.

- Pan zamyka?

- A tak - przytaknął skwapliwie Giziński. - Zamykam. Wreszcie fajerant. Szósta prawie. - Brodawka na policzku zadrgała.

- Zawsze pan kończy o tej porze?

- E nie, moi ludzie idą do domu o trzeciej. Czasem tylko, jak zdarzy się pilne zamówienie i trzeba trochę dłużej posiedzieć, uruchamiam drugą zmianę. Godziny nadliczbowe lecą, forsa też i wszyscy są zadowoleni. Ale to przypadki wyjątkowe. Na ogół produkcja kończy się o trzeciej i tylko ja zostaję dłużej. Wie pan, uzupełnia się biurową pisaninę, bo wcześniej

na to brak czasu. A tej zawsze dużo! - oblizał grube, mięsiste wargi. - Tak jakby wszystkie te papierki komuś się w ogóle na coś przydawały. Może jednak pozwoli pan do mnie, choćby na kieliszeczek? - Przekreślił klucz, gestem ręki wskazując sąsiedni dom. - Pójdę pierwszy, bo zaraz będzie trochę ciemno. Światło udało mi się założyć na razie tylko przed zakładem. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile z tym kłopotów i biegani-ny! - Słowa wylatywały spomiędzy warg szybko, niczym kamienie z procy. - Zginiemy kiedyś przez tę biurokrację!

Jak i poprzednio, również teraz willa stała ciemna; nie do-chodził z niej żaden odgłos.

Wanacki przypadkowo otarł się skaleczoną ręką o szorstki mur i aż zasyczał cicho z bólu.

Giziński otworzył drzwi wejściowe, zapalił światło i wprowadził gościa do pokoju. Właściwie były to dwa pokoje, połączone ze sobą rozsuwanymi drzwiami. Pod jedną ze ścian stała wygodna otomana, której dotykały dwa głębokie fotele. Trzeci znajdował się pod oknem, przysunięty do niskiego, owalnego stolika.

Giziński przyniósł kilka butelek z alkoholem, proponując:

- Whisky? Dżin? A może trochę koniaku?  
- Nie, dziękuję - odmówił Wanacki - jestem samocho-dem.

- No tak, oczywiście - przypomniał sobie gospodarz. - Nie ma pan jednak nic przeciwko temu, że sam sobie naleję? Mały koniaczek dla rozgrzewki nie jest zły. - Nadpił łyk, za-trzymując kieliszek w ręce. Omiótł wzrokiem pokój i dodał: - Trochę tu bałaganu, prawda? Żona z córką wyjechały do zna-jomych, druga córka studiuje w Poznaniu, więc stale jej nie ma, no i zostałem się w charakterze słomianego wdowca. - Rozłożył ręce. - A jak wygląda dom, któremu nagle zabraknie

kobiecej ręki, sam pan widzi.

Wanacki wyjął z koperty pokazywany już poprzednio innym klucz.

- Zna pan to?

W oczach Gizińskiego odmalowało się zaciekawienie.

- Można obejrzeć?

Podszedł bliżej, nadal z kieliszkiem koniaku w ręku. Kiedy pochylił się nad Wanackim, ten poczuł słodko-kwaśny zapach alkoholu.

- Klucz jak klucz - rzekł wreszcie Giziński. - Takich kluczy znam na kopy. Żeby wiedział, co on zamyka i otwiera, odpowiedziałbym panu.

- Mieszkanie na Hożej.

- Jak to? - Giziński spojrział na Wanackiego z zaskoczeniem w oczach. Postawił kieliszek na stole i, drżącą nagle ręką, wyjął papierosa. - Co milicja ma do tych spraw? - Po chwili: - I do mnie?

- Nic pan nie wie?

- Niby o czym?

- Zelman panu nie mówił?

Giziński wzruszył ramionami.

- Nic. Ale... Chwileczkę - wyglądało, jak gdyby nagle coś sobie przypomniał - co prawda, to prawda, że dwa dni go tu rzeczywiście nie było.

- Nie interesował się pan, dlaczego?

- E, nie! Mówił, że spił się w jakiejś knajpie, wdał w awanturę i milicja zgarnęła go na dwie doby „do wytrzeźwienia”.

- Nic więcej?

- Nie - wzrok Gizińskiego wyrażał udane czy też prawdziwe zdumienie - objechałem go potem wprawdzie od ostatnich, ale niechże pan powie, czy to jemu jednemu się coś

takiego zdarza? Sam jestem mężczyzną i lubię wypić, więc rozumiem.

- Panie Giziński - rzekł Wanacki, chowając klucz znów do koperty - niech mi pan powie: bywał pan w tym mieszkaniu na Hożej czy też nie?

- Tak szczerze, między nami mężczyznami?

- Tak.

Giziński zarechotał.

- Ja zawsze walę prawdę z mostu. Żony nie ma, więc nie usłyszysz. Co mam się zapierać? Bywałem.

- Oczywiście nie sam?

- Za kogo mnie pan uważa? - obruszył się. - Pedałem też nie jestem... Z dziewczynkami się chodziło... - rehot przybrał odcień obleśności.

- Często?

- Jak bozia dała forszę i chęci. Bez jednego i bez drugiego ani rusz.

- Klucz pan brał zawsze od Zelmiana?

- Ma się rozumieć. Jesteśmy starzy przyjaciele. Rączka rączkę myje.

- Zelman żądał za swoje, hm, usługi, pieniędzy?

- Ode mnie? Panie drogi, pan chyba żartuje?

- Kiedy był pan na Hożej ostatni raz?

- Niechże sobie przypomnę. A będzie pewno z tydzień temu.

- To znaczy?

- Kalendarzyk pan ma? Niech pan zobaczy, kiedy była sobota. W sobotę tam pojechałem z jedną taką. Dziewczyna klasa, paluszki lizać! Fajna babka! Adresu pewnie pan nie potrzebuje, zresztą choćbym nawet chciał dać, to nie dam, bo nie znam.

- W sobotę, czyli dziewiątego listopada.

- Może... Dokładnej daty nie pamiętam, wiem tylko, że w sobotę. Nawet żeśmy się wtedy poprzytkali trochę z Zelmanem o ten klucz. Początkowo nie bardzo mi chciał dać, mówił,

że sam jest umówiony... No, ale go jakoś przekonałem. Powiedziałem, że swoją cieżę może tam zabrać kiedy indziej, a moja okazja ucieknie.

- Zgodził się?

- Cóż miał robić? - na wargach Gizińskiego znów pojawił się poprzedni, obleśny uśmiech.

- Jednego nie rozumiem. Ma pan przecież teraz do swojej dyspozycji całą willę. Dlaczego akurat tam?

- Teraz! - skrzywił się Giziński. - Pusta i do mojej dyspozycji to ona jest dopiero od środy. Dopiero w środę żona wyjechała.

- No tak, rozumiem. I - ostatnie już pytanie.

- Pan tak pyta i pyta, a ja wciąż nie bardzo wiem, o co chodzi. Czy tam, niby na Hożej, coś się stało? Zelman coś nabroił? E - zaprzeczył zaraz sam sobie - chyba nie, bo byście go tak łatwo od siebie nie puścili. Więc co? - spojrzał pytająco na Wanackiego. - Bo jeśli chodzi o mnie, przysięgam - z rozmachem uderzył się pięścią w pierś - że czysty jestem jak łąza, a od soboty na Hożej już nie byłem. Klucz oddałem Zelmanowi, a co on z nim potem dalej robił, tego nie wiem. - Wyjął z kieszeni dużą chustkę i hałaśliwie wytarł w nią nos. Jego gąbczaste policzki poczerwieniały. - Więc o co chodzi?

- O lampę. Dużą, stojącą za fotelem, z żółtym abażurem. Przypomina pan sobie?

Giziński zmarszczył czoło.

- Jakoś nie bardzo.

- Zapalał ją pan tamtej soboty?

- Nie, na pewno nie. Teraz już sobie przypominam. Lampa stała za fotelem czy też obok fotela?

Wanacki przytaknął.

- Jeżeli tak, na pewno jej nie zapalałem. Niewygodnie się do niej dostać.

- Pan jest człowiekiem bardzo zajęтым? - Wanacki zmienił nagle temat.



- Ja jestem człowiek interesu, a wszyscy ludzie interesu nie mają ani chwili czasu.

- Tak zajęтым, że swoich klientów przyjmuje pan również po godzinach pracy?

Twarz Gizińskiego spurpurowiała.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Akurat jechałem do pana zakładu, kiedy minąłem się z jakimś samochodem. Właśnie stamtąd wyjeżdżał.

W oczach Gizińskiego zamigotał błysk nieufności. Za chwilę jednak stały się znów dobrodusze.

- A, mówi pan zapewne o samochodzie inżyniera Horna. Tak, tak, oczywiście, zupełnie bym o tym zapomniał. Pan pewnie zna to nazwisko? Mąż Bożeny Horn. - Trafiwszy w raz wyłobiony trakt, Giziński wydawał się odyskiwać utraconą na moment pewność siebie. - Pani Bożena - ciągnął - jest również i naszą gwiazdką. Mamy tu małe studio i nagrywamy jej piosenki na płyty. Chce pan posłuchać?

Pospiesznie podszedł do regału, zdjął z półki duży album i, przewróciwszy parę stron, wyjął kilka kolorowych pocztówek. - To właśnie są jej nagrania. - Położył pocztówkę na adapterze; w chwilę później Wanacki usłyszał pierwsze tony fortepianu. Piosenka była melancholijna i smutna, mówiła o zwiędłych kwiatach, jesiennych liściach, mgłę i straconym uczuciu. Piosenkarka śpiewała niskim głosem, z charakterystyczną chrypką i przydechem. Głos miała niezły, choć nie wyszkolony, lecz marna jakość płyty odbierała mu walory.

Giziński zdjął pocztówkę z adaptera.

- Proszę, niech pan weźmie - zaproponował Wanackiemu. - Chce pan jeszcze posłuchać? Nie? Trudno - zrezygnowanym ruchem odłożył pocztówki na regał. - Nie podobało się panu? Innym się podoba. Mówię panu, płyty Bożeny mają szalone powodzenie.

- Gdzie je pan sprzedaje?
  - Różnie. Przeważnie do sklepów prywatnych. Czasem trochę się rzuci na bazar, trochę rozchodzi się przez znajomych. W każdym razie interes idzie nie najgorzej. Nie narzekam.
  - Mówił pan, że był u pana inżynier Horn. W sprawie pocztówek?
  - Tak jakby. Pani Bożena wyjeżdża wkrótce za granicę na kilkunastodniowe tournée, więc Leszek, to znaczy - poprawił się - inżynier Horn przywiózł mi trochę taśm magnetofonowych z jej ostatnimi nagraniami. Za miesiąc święta Bożego Narodzenia, śluby, chrzciny, życzenia - pocztówki będą iść jak woda. Potrzebowaliśmy trochę nowych przebojów, no i Bożena nam je nagrała. Zresztą to dla niej nic trudnego. Ma własny zespół - jeden facet gra na saksofonie, dwóch na gitarach - podesała nam przez męża trochę taśm. Jutro zaczniemy nagrywać z nich płyty, no i do Bożego Narodzenia pewnie się z tym jakoś uporamy.
  - Gdzie te taśmy? - spytał Wanacki.
  - W zakładzie. Chce pan zobaczyć? Niech pan poczeka chwilkę, zaraz przyniosę.
  - Mogę pójść z panem?
- Giziński spojrzał niechętnie.
- Jak pan sobie życzy... - powiedział.
- Na podwórku powitał ich szczekający Ben. Właściciel uspokoił psa, otworzył drzwi i poprowadził za sobą Wanackiego. W chwilę później znaleźli się w standardowo umeblowanym, biurowym pokoju. Giziński wyjął klucze, otworzył środkową szufladę biurka. Poukładane starannie jedne obok drugich, leżały w niej nieco przykurzone pudełka. Gruby pałuch wyciągnął się w ich kierunku.
- To właśnie taśmy przyniesione przez inżyniera Horna.

Wanacki spojrzął w głąb szuflady i nie zapytał już o nic więcej.

Z nadejściem wieczoru pojawiła się mgła. Początkowo były to białe, pojedyncze kłęby, leniwie wędrujące nad ziemią niczym obłoki po pogodnym niebie. Z obłoków tworzyły się jednak szare, nieprzenikliwe chmury, zatykające ulice gęstą watą. W niektórych wyrwach między pasmami mgły błyskały tęczowe obwódki latarni.

Dom Hornów, stanowiący ogniwo półkolistego łańcucha piętrowych budynków opasujących łuk ulicy na wysokiej skarpie, również tonął w mroku. W ani jednym oknie nie było widać światła i nie palił się również numer nad wejściem.

Wejście znajdowało się z tyłu budynku. Front wychodził na niedaleki skwer, pokryty lepką warstwą mokrych liści. Wśród trawy leżała wywrócona, samotna ławka.

Wanacki podniósł ławkę. Palce natrafiły na chłodne, wilgotne drzewo, pokryte zniszczała warstwą farby. Zapalił zapalniczkę i - osłaniając ręką płomień przed podmuchem wiatru - spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Czekał więc na Hornów ponad godzinę i dłuższe oczekiwanie chyba nie miało sensu.

Naraz wpadł mu do głowy pewien pomysł. O ile się nie mylił, na rogu ulicy którą przejeżdżał, znajdował się kiosk „Ruchu”. Jeżeli się pośpieszy, zdąży może przed zamknięciem.

Wyskoczył z samochodu niemal w ostatnim momencie. Niska starsza kobieta w okularach zakładała właśnie drewniane osłony.

- Ma pani jeszcze jakąś dzisiejszą gazetę?
- Nie widzi pan, że już zamykam? A zresztą - machnęła

ręką - zaraz zobaczę. Chyba się coś znajdzie. Wysła z kiosku z gazetą w ręku. - Mam jedno „Życie”, ale trochę podarte. Weźmie pan?

- Wezmę. Aha - przypomniał sobie - a może jest Informato Kulturalny?

- WIK? Jest. Razem dziewięć złotych.

Wanacki wrócił do samochodu, zapalił światło i zaczął przerzucać strony gazety.

W „Życiu” znalazł tylko repertuar kin, teatrów i muzea.

Pierwsze strony WIK-u zawierały program teatralny i kinowy, później omówienie poszczególnych pozycji, dalej muzea, wystawy. W pewnym momencie wzrok Wanackiego zatrzymał się na rubryce: „Kabaret. Estrada”. Dostrzegł - Sala Kongresowa: „Estrada przedstawia”. Wśród nazwisk wykonawców widniało: Bożena Horn, towarzyszy grupa „For”.

Program zaczynał się o wpół do siódmej. Teraz było po dziewiątej. Więc jeszcze jest szansa, że zdąży, przynajmniej na koniec występów.

We mgle, która już na dobre wzięła miasto w swe władanie, zbiły się przed Salą Kongresową samochody.

Na schodach nie było nikogo, a kiedy Wanacki zapukał w oszkloną taflę drzwi, ujrzał jedynie znudzonego portiera w ciemnym mundurze. Pokazał mu legitymację i portier, acz niezbyt chętnie, przekręcił klucz.

Zapytany o drogę za kulisy, sam ofiarował się poprowadzić. Przechodząc półokrągłym, śliskim korytarzem, Wanacki usłyszał dźwięki muzyki. Rozległy się oklaski, a po nich podkscytowany głos konferansjera.

Naraz znalazł się w innym świecie. Miejsce dostojnych marmurów zajęty niefrasobliwie poustawiane dekoracje. W korytarzach stały reflektory i szereg dziwnych urządzeń, których przeznaczenia nie znał. Z głośników, umieszczonych niemalże w każdym kącie, lał się donośny, jednobrzmiący

chór głosów. Wanacki domyślił się, iż trafić musiał chyba na zakończenie spektaklu.

Ukazał się zaaferowany mężczyzna z rozwianym włosom i nieprzytomnym spojrzeniem. Zapytany o piosenkarkę Horn, machnął ręką w kierunku sceny i pobiegł dalej. W chwilę później Wanacki niemal zderzył się z innym, tym razem wyfraczonym młodzieńcem o gładko wygolonej twarzy. Ten również mknął w stronę sceny.

Porucznik podszedł bliżej, natykając się na dwóch strażaków, zatopionych w przyjacielskiej pogawędce. Tuż za nimi znajdował się kolorowy reflektor, sterowany przez mężczyznę w szarym swetrze. Reflektor rzucał na scenę różnobarwne plamy, raz po raz zatrzymując się na twarzach występujących. Umieszczona na proscenium orkiestra ściszyła nieco dźwięki instrumentów i znowu odezwała się zbiorowo śpiewana piosenka. Sala podjęła refren. Miarowe, rytmiczne klaskanie w ręce oznaczało, iż melodia była znana i popularna.

Minęło kilka minut, podczas których na scenie znajdował się cały chyba zespół - i jeszcze kilka, podczas których rozbrzmiewały oklaski. Niebawem jednak brawa zaczęły cichnąć, z sali zaś dał się słyszeć stuk podnoszonych krzesel. Opadła gruba, srebrno-złota kurtyna i niemal natychmiast kulisy wypełniły się życiem. Jako pierwszy schodził ze sceny balet - mężczyźni w błyszczących, czarnych ubraniach oraz kobiety w hiszpańskich sukniach z falbanami. Zadźwięczały kastaniety i zespół zniknął w garderobie. Następnie wynurzył się wyfraczony młodzieniec, chyba konferansjer, a dopiero za nim - najważniejsi prawdopodobnie - uczestnicy spektaklu. W melancholijnie uśmiechniętym blondynie z długą brodą Wanacki poznał popularnego wykonawcę starych romansów. Tuż za nim szedł znany śpiewak operetkowy, później kilka kobiet.

Dwie z nich ubrane były w długie, szerokie, jedwabne spodnie. Trzecia miała na sobie suknię ze złotej lamy, ostatnią otulała krwiście czerwona jedwabna mgielka i właśnie tą była Bożena Horn. Gruba warstwa makijażu rozmazała się na błyszczącej od potu twarzy, a niebieskie cienie znad powiek zeszły aż na policzki, ozdobione nienaturalnym rumieńcem. Wolne od scenicznej charakteryzacji pozostały jedynie długie, jasne loki. Na widok Wanackiego loki zatrzepotały, ubrana w długą rękawiczkę ręka uniosła się łaskawym gestem.

- Autograf?

Wanacki zaprzeczył.

- Więc słucham - rzekła, z niecierpliwością patrząc na zegarek. Jej trzy towarzyszki zniknęły już za drzwiami swych garderób i ona również najwyraźniej miała ochotę podążyć za nimi, niezadowolona z nagłej zwłoki.

Wanacki wyjął legitymację.

Czy wydało mu się, że w dużych, zielonych oczach zamigotał lęk?

- Do mnie? W jakiej sprawie?

Otworzyła drzwi, za którymi znajdował się niewielki pokój. Stała tu toaletka oraz dwa krzesła. Wszędzie wisiały, porozrzucaane w nieładzie, suknie, spodnie i inne części garderoby. W kącie leżała duża, wypchana walizka.

Piosenkarka przepuściła Wanackiego przodem. Zrzuciła ubranie z krzesła, robiąc w ten sposób wolne miejsce. Sama usiadła na okrągłym taborecie przed toaletką.

- Słucham, o co chodzi? - powtórzyła. Zdjęła rękawiczki. Krótkie, ozdobione pierścionkami, grube palce sięgnęły po kulkę waty, umoczyły ją w jakimś gęstym, białym płynie i zaczęły przesuwać po twarzy, ścierając makijaż. Z watą przy

policzku, Bożena odwróciła się do Wanackiego.

- Bardzo się spieszę. Za moment wyjeżdżam. Czy nie będzie panu przeszkadzać, że się tymczasem rozcharakteryzuję?

- O tej porze pani wyjeżdża?

- Tak. Na dwutygodniowe tournée zagraniczne. Moi chłopcy pewnie już na mnie czekają.

- Jedzie pani ze swoim zespołem?

- Oczywiście. - Spojrzała na Wanackiego ze zdziwieniem. Umoczony w białym płynie wacik ponownie powędrował w stronę twarzy.

- Dokąd się pani wybiera?

- Do Austrii. Ściślej rzecz biorąc do Wiednia. Dostaliśmy kontrakt na dwutygodniowe występy na Grinzingu. Zna pan?

- Tylko ze słyszenia. Małe knajpki, kawiarenki, restauracje, kabarety. Zgadza się?

- Coś w tym rodzaju.

- Była tam pani już kiedyś?

- W Wiedniu - kilka razy, na Grinzingu - tylko jako gość.

- Podniosła grzebień, wsunęła go w jasne loki. - Ale... ja tak gadam i gadam, tymczasem czas ucieka, a pan mi wciąż nie powiedział, o co chodzi. - Wyjmując grzebień z włosów zaśmiała się, lecz był to śmiech nieszczerzy, bardziej wymuszony niż naturalny.

- O kawalerkę na Hożej.

Odwróciła się raptownie.

- Nie rozumiem.

- Przecież tam pani bywała, czyż nie tak?

- Ja? - zdziwiła się. - Kto panu naopowiadał tych bzdur?

Pewnie mój mąż?

- Dlaczego akurat on?

- Z zazdrości. Ileż to razy podejrzewał mnie już o różne niestworzone historie! On was na mnie nasłał? - Mimo

pozornej pewności siebie, w głosie brzmiał jednak odcień zaniepokojenia.

- Myli się pani. Mąż nie ma z tym nic wspólnego.

Teraz zdziwiła się już na serio.

- Nie wiem o żadnej kawalerce na Hożej i nigdy tam nie byłam.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdzenie padło już z całą stanowczością. - Niech pan nie wierzy w te bujdy!

- A jeśli znajdzie się ktoś, od kogo brała pani klucz? - zagadnął Wanacki.

Twarz piosenkarki nagle przybladła.

- Zelman? - spytała cicho. - To świnia! - Raptownie zmieniła front. - Skoro pan wiedział od początku, to... to po co pan do mnie właściwie przyszedł?

- Więc pani potwierdza?

Uczyniła zrezygnowany ruch dłonią.

- Potwierdzam, potwierdzam.

- Kto bywał tam razem z panią?

- Czy to takie ważne? Jakim prawem milicja wtrąca się w moje prywatne sprawy? Co was obchodzi, z kim chodzę do łóżka?

Wanackiemu wydawało się, iż jego rozmówczyni nagle oklapła i ubyło jej pewności siebie, tak jak raptownie ubywa powietrza z przedziurawionego balonika.

- Zagwarantuje mi pan dyskrecję? Widzi pan, mój mąż...

- Rozmowa pozostanie jedynie między nami.

- Pewien dziennikarz. Nazwisko też potrzebne?

Wanacki przytaknął.

- Nazywa się Dąbski. Marcin Dąbski. Ale... błagam pana, ze względu na męża...

- Rzeczywiście z pani męża aż taki zazdrośnik?

- Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział! Nawet pan sobie



nie wyobraża, jaki jest mściwy! - Zniżyła głos do szeptu: - Dawno bym od niego odeszła, gdyby nie to, że go się tak panicznie boję.

- Kiedy pani była po raz ostatni na Hożej?
- Muszę się przebrać. Niechże się pan odwróci, no!

Wanacki posłusznie przekręcił się wraz z krzesłem i oczy jego powtórnie zatrzymały się na wypchanej po brzegi, ściągniętej pasami walizce. Usłyszał szelest sukni i trzask odpinanego zamka błyskawicznego. Za moment ujrzał rękę, sięgającą po leżące obok spodnie. Brzęknęły bransoletki.

- Może się pan odwrócić.

Nie opodal taboretu stała inna już teraz Bożena. Czerwone teatralne zwiewności zastąpiły szare spodnie i gruby, niebieski sweter. Długie włosy spinała klamerka.

Wanacki powtórzył pytanie.

- Właśnie się zastanawiam. Chyba we wtorek.
- Dwunastego listopada?
- Zdaje się. To był ten ostatni raz. - I - jeśli pan chce wiedzieć - w ogóle ostatni.

- Jakaś przysięga?

Przechyliła w bok głowę, przymierzając duży, włochaty берет.

- Żadna przysięga. Zerwanie.
- Naprawdę?
- Tak. Ja jak mówię koniec, to koniec. Niech mi pan wierzy.
- Podobno lubi pani zmiany?
- Tak panu mówiono? Ludzie uwielbiają plotki.
- A może zerwanie nastąpiło ze względu na męża?
- Powody wolałabym zachować dla siebie. - Wstała z taboretu. - Jestem gotowa, muszę wyjść. Ma pan coś jeszcze do mnie?
- Czy będąc na Hożej zapalaliście dużą, stojącą lampę?

- Wanacki po raz kolejny powtórzył identycznie brzmiące pytanie.

- Nie. - Zaprzeczenie padło szybko, natychmiast. - A - w głosie Bożeny zabrzmiało wahanie - czy coś się stało?

- Widzi pani - rzekł Wanacki - tam zginęła młoda dziewczyna. Właśnie przez tę lampę. Porażenie prądem. I tak myślimy sobie teraz: a jeśli lampa była umyślnie zepsuta?

- Co pan powie? - szepnęła. - Młoda dziewczyna... Czy ona miała może coś wspólnego z... - zawahała się - z Zelmanem? Czy to była jego dziewczyna?

Wanacki potwierdził.

- A lampa mogła być rozmyślnie zepsuta?

- Właśnie.

- Myśli pan, że to ja? Wykluczone! Zupełnie nie znam się na elektryczności. A jeśli umyślnie by lampę zepsuto, wówczas wchodziłby tutaj w grę tylko jakiś fachowiec. Elektryk czy ktoś w tym rodzaju...

- Może Dąbski?

- Dąbski? - powtórzyła pytająco. Zapadła chwila milczenia. Bożena wyraźnie nie spieszyła się z odpowiedzią. - Nie, chyba jednak nie - rzekła wreszcie. - Wątpię, ażeby dziennikarz znał się na elektryczności. Chociaż... W końcu jest zatrudniony w radiu, więc chyba musi mieć o tym jakieś pojęcie. Jak by inaczej obsługiwał aparaturę? A co do tej dziewczyny, to ani ja jej nie znałam, ani Dąbski.

- Też pracowała w radiu - zauważył Wanacki.

Wyraz twarzy Bożeny nagle się zmienił.

- Co pan mówi? Czy to prawda?

- Po cóż miałbym panią okłamywać? Nikt inny, jak właśnie pani przyjaciel, Dąbski, załatwił jej tę pracę. Zresztą podobno na prośbę Zelmana.

- Ach, więc to tak... - szepnęła. - Teraz zaczynam

rozumieć to i owo. Wszystko staje się jasne. - Skrzywiła się. - Mimo to ja - podkreśliła ostatnie słowo - nie miałam z tym absolutnie nic wspólnego.

- No, a Dąbski?

- Ręczę jedynie za siebie. Myślę jednak, że będąc ze mną nie miałby ani czasu, ani okazji. Chyba, że przyszedłby tam sam... Nie, to chyba niemożliwe, nigdy przecież nie dysponował kluczem od kawalerki. Chociaż... - W głosie jej pojawił się ton zastanowienia. - Coś mi wpadło do głowy. Właśnie w związku z tym kluczem przypomniałam sobie pewną historię. Chce pan posłuchać? Otóż... - zaczęła i nagle urwała, z gestem nakazującym milczenie.

Naciśnięta zbyt energicznie klamka spowodowała, że drzwi otworzyły się z impetem, a do pokoju wtargnął chudy, wysoki mężczyzna o długiej twarzy i wypukłym czole, nad którym widniały trochę przerzedzone włosy. Skóra na policzkach była obciągnięta niczym na bębnie, a między zsuniętymi brwiami narosła gniewna zmarszczka.

- Jeszcze nie gotowa? - syknął w stronę Bożeny, obrzucając równocześnie Wanackiego nieprzyjaźnie kłującym wzrokiem. - A pan niby po co?

Na twarzy Bożeny wykwitły plamy rumieńców.

- Ten pan jest z milicji - rzekła cicho.

Zmarszczki między brwiami pogłębiły się.

- Czego pan chce od mojej żony? - rzucił wrogo w stronę Wanackiego. - Zrobiła coś złego? - Głos miał chropowaty, nieprzyjemny i właśnie po nim Wanacki rozpoznał człowieka, którego widział poprzednio przed zakładem Gizińskiego.

- Małe wyjaśnienie w związku z wyjazdem pani Horn.

Kącikiem oczu zauważył dziękczynne spojrzenie, posłane mu przez piosenkarkę.

- Ale wszystko w porządku? - spytał mężczyzna ze sztucznym opanowaniem. Lewa powieka zadrgała w raptownym, nerwowym tiku.

- Tak.

- No, to się zbieraj! - zwrócił się do żony. - Inaczej zajdziecie do Wrocławia dopiero nad ranem i nawet nie będziecie się mogli wyspać. A jutro czeka was ciężka droga. Nuty masz? A teksty? Te po niemiecku również? - Z całej jego postawy, z zachowania i tonu emanowała wściekłość.

Bożena przytaknęła lękliwie. Horn rzucił jej futro.

- Ubierz się! I chodź już wreszcie!

Wyglądał jak człowiek mocno czymś rozgniewany albo głęboko urażony, przez to zaś na wszystkich i na wszystko obrażony.

- Musimy już iść. Pozwoli pan? - przepchnął się przed Wanackiego, sięgając po walizkę. Kopnięciem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Bożena skorzystała z okazji. Pochyliwszy się szybko ku Wanackiemu, szepnęła:

- Opowiem panu wszystko po powrocie. Teraz nie mogę. Niech mi pan da swój telefon, zaraz po przyjeździe zadzwonię do pana. Obiecuję!

Wanacki wyrwał kartkę z notesu, szybko zapisując na niej numer telefonu.

- O co chodzi? - odwrócił się Horn. Jego brwi zeszyły się nad nosem, twarz przypominała żółtkę jabłko.

- Nic, nic, mówię tylko panu, że go zapraszam na mój występ zaraz po powrocie z Wiednia. Będę śpiewała w „Europejskim”.

- Ach, tak - mruknął ponuro Horn.

Wciąż w trójkę doszli do zaparkowanego przed „Kongresową” jasnego volvo. Horn wyjął w milczeniu kluczyki, otworzył drzwiczki, a następnie bagażnik i wrzucił tam walizkę. Przez moment Wanackiemu wydało się, iż na dnie ciemnej

czeluści bagażnika dostrzega zarys teczki. Pochylił się, chcąc zajrzeć głębiej, lecz w tym samym momencie Horn z wściekłością zatrzasnął mu przed nosem wieko bagażnika.

- Wszystko mi zapakowałeś? - zapytała cicho piosenkarka.

- Wszystko! - odburknął Horn. - Możesz jechać. - Zatrzasnął za żoną drzwiczki samochodu i, ledwie machnąwszy jej ręką, odwrócił się. - Trzeba się gdzieś rozejrzeć za taksówką - mruknął ni to do siebie, ni do Wanackiego.

- Chętnie pana podrzucę. Mam tu swój wóz - zaproponował Wanacki.

- Obejdzie się - odburknął Horn. - Jeszcze mnie stać na taksówkę.

- Zapewne - zauważył zjadliwie Wanacki - rzecz jednak w tym, że mam do pana mały interes.

- Do mnie? Przecież pan mówił, że chodzi o żonę.

- To ona tak panu powiedziała - bezczelnie skłamał Wanacki. - W istocie rzeczy chodziło mi jedynie o pana. W domu nie mogłem pana zastać, a kiedy wracałem do śródmieścia, wpadł mi w oko plakat, zapowiadający występy pańskiej małżonki. Pomyślałem sobie, iż żona może mi udzielić informacji, gdzie pana odszukać. Wszedłem więc, no a ona wspomniała, że pan wkrótce ma po nią przyjechać.

- Skoro tak, to... słucham.

- Może jednak pan wsiądzie? Co będziemy tak stać? Tam jest mój wóz. Pan pozwoli.

- Jestem aresztowany? - warknął arogancko Horn.

- Niby dlaczego? Nic o tym nie wiem. Mówiłem już panu, chodzi o niewielką informację w związku z aktualnie prowadzoną sprawą.

Z wyraźną niechęcią Horn poszedł w stronę zaparkowanego nie opodal fiata. Wanacki wskazał miejsce obok siebie i

powtórzył sakramentalne już pytanie o kawalerkę na Hożej.

Horn odwrócił chudą, podłużną twarz. Oczy znowu zdawały się kłuć Wanackiego ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

- Nic mi nie wiadomo.
- A ten klucz? Też go pan nie zna?

Horn ledwie spojrzał na przedmiot leżący w dłoni Wanackiego.

- Nie.
- A Zelmana?
- Zelmana znam.
- Więc jeśli panu powiem, że właśnie od Zelmana brał pan klucz do kawalerki na Hożej, nadal pan będzie zaprzeczał?

- Zelman kłamie - rzekł zimno Horn. - To drań. Widzę, że usiłuje mnie zrobić w jakąś historię, z którą nie mam nic wspólnego.

- Podtrzyma pan swoje oświadczenie także i w jego obecności?

- Tak - odpowiedział Horn, a jego oczy rozbłyły nagłą nienawiścią.

Następnego dnia rankiem, kiedy mgła już zrzędła i opadała na miasto w postaci obrzydliwie mżącego deszczu, Wanacki włókł się do góry po schodach, bezmyślnie przypatrując się własnym stopom, ubranym w brązowe półbuty. Poprzedniego wieczora powrócił do domu późno, zmęczony i przemarznięty. W nocy źle spał, dokuczała mu skaleczona ręka, a na dodatek rano poczuł drapanie w gardle. Obie dolegliwości razem niemal ścięły go z nóg i przywłókł się do swego pokoju w nastroju żalostnej melancholii. Niechętnym spojrzeniem obrzucił kolegę zza sąsiedniego biurka, a później ciężko opadł na krzesło, bezmyślnie wpatrując się w okno. Kolega wyniósł się

gdzieś po chwili, zostawiając Wanackiego samego, pogrążonego w nie najweselszych myślach.

Za oknem panowała posępna szarość, siąpił deszcz. Wanacki sięgnął po gazety, zmuszając się do czytania. W pewnym momencie spostrzegł, że czyta, nie rozumiejąc, o co chodzi, a gardło boli go coraz bardziej. Wygrzebał fiolkę z resztą akronu.

Znów spojrzął w okno i znowu zdjęła go złość na bezna dziejność jesiennej szarugi. Szaro było również i w pokoju. Podeszedł do drzwi, nacisnął taster światła. Z determinacją sięgnął do szuflady, wyjmując swoją listę nazwisk. Przeczytał jeszcze raz, następnie wziął długopis i zaczął pisać. Gdy skończył, wyszło następujące zestawienie:

Marcjanna Wierzbicka - czwartek, 7.XI.

Janusz Balcerzak

Jolanta Orłowska - piątek, 8.XI.

Jan Giziński

Osoba nieznana, X - sobota, 9.XI.

Bożena Horn

Marcin Dąbski - wtorek, 12.XI.

Aleksander Zelman

Urszula Retmianiak - sroda, 13.XI.

Po namyśle dopisał jeszcze pod spodem: Leszek Horn i zamiast daty wstawił znak zapytania.

Skończywszy, przyjrzał się swemu dziełu. Lista była niemal kompletna. W grę wchodziło dziesięć osób, korzystających z kawalerki na Hożej w dniach od siódmego do trzynastego listopada.

Odkładając listę, spojrzął na gazetę, leżącą na biurku, a odwróconą tak, że pokazywała stronę z nekrologami. Dostrzegł znajome nazwisko. Dopiero teraz przypomniał sobie, że nazajutrz ma się odbyć pogrzeb Urszuli Retmianiak.

Wyciął nekrolog i schował go do portfela.

W chwilę później zadzwonił do Zakładu Medycyny Sądowej. Tym razem Elżbieta podeszła do telefonu. Głos, który zabrzmiał w słuchawce, wydawał się opanowany, jednakże Wanacki znał go zbyt dobrze, by nie zauważyć nienaturalnego podniecenia.

- Tu Marek.
- Jeszcze cię poznaję - odparła.
- Dzwoniłaś do mnie?
- Ja? - zdziwiła się w sposób naiwnie udany. - Kto ci mówił?

- Twój profesor.
- Ach tak, no więc - dzwoniłam. Chcesz wiedzieć, po co?
- Może w związku ze sprawą, o której kiedyś wspominałaś? - zaryzykował. - Pamiętasz, siostra koleżanki czy też koleżanka siostry? - niechący pojawił się w jego głosie lekceważący ton.

Pytanie, a może też i owo lekceważenie musiały ją rozgniewać, skoro rzuciła burkliwie:

- To już nieaktualne. Słyszysz - powtórzyła - nieaktualne.

Ucieszył się.

- Więc... - urwał wyczekująco, pełen nadziei.
- Domyśl się sam.

Niespodziewanie rzuciła słuchawkę na widełki, a kiedy wykręcił numer po raz drugi, telefon był zajęty. Po trzeciej daremnej próbie zrezygnował. Postanowił pojechać do Dąbskiego.

Dąbski pracował w redakcji muzycznej, mieszczącej się na peryferiach miasta, w wielkim, starym, surowym gmazysku. Wanacki zastał w pokoju kilku młodych mężczyzn, z których jeden zajęty był przecinaniem i klejeniem taśm, drugi stukał na maszynie, dwóch innych siedziało przed dużym aparatem,



kołysząc się razem z krzesłami do taktu nadawanej stamtąd muzyki, a ostatni - telefonował, krzycząc coś podniesionym głosem do słuchawki.

Pojawienie się Wanackiego nie wywarło na nich najmniejszego wrażenia i nie przerwali swych zajęć. Nareszcie ten, który telefonował, rzucił z hałasem słuchawkę i - przekrzykując muzykę - zawołał:

- Pan do kogo?

Dopiero teraz uniosły się i pozostałe głowy.

- Dąbski? - powtórzył dziennikarz znad maszyny - a o co chodzi? Coś pilnego? Mógłby pan chwilę poczekać? Właśnie zamykamy magazyn i muszę dać jeszcze jedną wiadomość. - Nie słuchając odpowiedzi, pochylił się znów nad maszyną. - Zaraz będę gotów! - Powiewając arkuszami papieru, zręcznie wydostał się zza biurka, kopniakiem odsunął w bok plik starych gazet i wybiegł z pokoju. Wrócił po kilku minutach, wyraźnie zadowolony.

- Uff - powiedział z odcieniem emfazy w głosie - ale młyn! I to tak cały dzień. Ma pan do mnie jakąś sprawę? - Najwyraźniej traktował Wanackiego jak zwykłego interesanta, jakich masa pęta się stale po wszystkich redakcjach. - Pan pozwoli tutaj - wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka.

- Wolałbym gdzie indziej - odparł Wanacki. - Może w kawiarni? Jest tu gdzieś jakaś niedaleko?

Dąbski spojrział na zegarek.

- Właściwie nie bardzo mam czas, zarezerwowałem studio na nagranie na pierwszą piętnaście, ale na pół godzinki mógłbym chyba wyskoczyć.

Kawiarnia była pustawa. Na dole, w barku, siedziało wprawdzie na wysokich stołkach kilkanaście osób, na piętrze jednak znaleźli mały stolik, wciśnięty w kąt, i tu dopiero Wanacki wyjaśnił Dąbskiemu, z czym przyszedł.

- W oczach Dąbskiego pojawił się wyraz czułości.
- Co pan chce wiedzieć? - spytał.
  - Wszystko.
  - Dlaczego akurat ode mnie? Równie dobrze mógłby pan zasięgnąć informacji u kogokolwiek z redakcji, najlepiej w sekretariacie, gdzie Retmianiak pracowała.
  - Pan przecież załatwił jej to zajęcie...
  - Przesada, przecenia pan moje możliwości. Ja ją jedynie zaprotegowałem, u kogo trzeba.
  - Ktoś pana o to prosił?
  - Owszem.
  - Zelman?
- Palce Dąbskiego zastukały o blat stolika.
- Skoro pan już wie...
  - Pan znał go oczywiście wcześniej? To znaczy wcześniej, niż pan poznał Urszulę Retmianiak?
  - Tak - usta wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie - znałem go.
  - Wiedział pan, że Retmianiak jest jego przyjaciółką, czy też zaserwował panu jakąś bajeczkę?
- Na twarzy Dąbskiego pojawił się wyraz zaskoczenia.
- Jak to? Nie rozumiem. Mówi pan poważnie? - Uniósł się z krzesła.
  - Więc pana też nie wtajemniczył?
- Dąbski zapalił papierosa i uśmiechnął się z goryczą.
- Powiedział mi, że jest znajomym jej matki. Uwierzyłem... w końcu taka różnica wieku... Mogła być jego córką... To bydlę! - rzucił nagle przez zaciśnięte zęby.
  - A sama Retmianiak? Ona też nigdy nic nie wspominała? Przecież spotykaliście się chyba nieraz, choćby w radiu...
  - Pan myśli, że ludzie chętnie zwierząją się ze swego prywatnego życia? Dopiero pan mi otworzył oczy. Nigdy bym nie pomyślał, że ona... i Zelman, nie, to wprost niemożliwe! Mała kłamczucha! I pomyśleć, że...

- Że co?

- No - wzruszył ramionami - że i mnie udało jej się nabrać na te niewinne oczęta i słodkie minki. O mały włos, a - co tu ukrywać - straciłbym dla niej głowę. Wie pan - jego aksamitne oczy zamrugały - nie jestem skory do wzruszeń, ale ogromnie się przejąłem wiadomością o jej śmierci. Prawdę mówiąc, dotarła do nas jedynie masa plotek. Jutro jest pogrzeb.

- Pójdzie pan?

- Nie wiem. Właściwie wypada, ale sam nie wiem... Ciekawe - zastanowił się - czy Zelman też będzie na cmentarzu? Pewnie nie; jeżeli robił z tego taką tajemnicę przedtem, to będzie mu na niej zależało tym bardziej teraz.

- Jakie stosunki pana z nim łączyły?

- Znałem go po prostu. Nic poza tym. Żadnych bliższych kontaktów - zastrzegł się raptownie.

- Bożenę Horn też pan tylko zna?

Dąbski zatrzymał w pół drogi rękę z papierosem. Wanacki niemal dotykalnie wyczuł, jak nagle wewnętrznie zeszytywniał.

- Co to ma do rzeczy?

- Zna pan czy nie?

- Powiedzmy, że tak. Jest piosenkarką, a ja robię programy muzyczne. Muszę ją znać. Niejako służbowo.

- A prywatnie? Korzystał pan razem z nią z garsoniery na Hożej?

Śniada twarz piękniejsia nagle pociemniała, ręce, dotąd żywo gestykulujące, opadły na stolik.

- Nie.

- Panie redaktorze, niechże pan będzie rozsądny. Pan zdaje chyba sobie sprawę z tego, że nie bawimy się w ciuciubabkę. Chce pan, żebym pana zawiózł do komendy i tam puścił taśmę z nagraniem tego, co powiedziała o waszych spotkaniach Bożena Horn? No co, chce pan? Bo jeśli tak, to zaraz

możemy tam pojechać. Mój wóz stoi niedaleko.

Ręce Dąbskiego uniosły się znów obronnym gestem. Nie powiedział jednakże ani słowa.

- Więc jak będzie?
- Muszę się zastanowić. Da mi pan trochę czasu?
- Dwie minuty.

Na twarzy Dąbskiego ukazało się zakłopotanie. Mała, niemalże kobieca dłoń przygładziła sfalowane włosy.

- Byłem. Ale to historia już skończona. W każdym razie z mojej strony na pewno. Tylko kompletny idiota może ciągnąć znajomość, mając na karku zazdrosnego męża. Jeszcze mi droga własna skóra! Pan go zna, tego... Horna? Pan widział, jakie ma oczy? Człowiek zdolny do wszystkiego! - Ładne, kształtnie wykrojone usta Dąbskiego wygięły się w grymasie potępienia.

- Wolał się pan zawczasu wycofać?
- Powiedziałem jej to ostatnim razem w sposób dość jasny i wyraźny.
- Właśnie na Hożej?
- Tak. Spotykaliśmy się tylko i wyłącznie tam.
- Jak zareagowała?
- Najpierw nie uwierzyła i roześmiała mi się w nos. Później, gdy zobaczyła, że nie żartuję, dostała istnego ataku furii. Była wściekła! Uważała, że ją upokorzyłem i ośmieszyłem, uraziłem jej ambicję. Krzyczała, że jeszcze zobaczę i że za wszystkim kryje się jakaś dziewczyna. Wie, kto to jest i się zemści. Ja też jeszcze popamiętam! W ogóle nie dawała mi dojść do słowa. Atak hysterii, rozumie pan? Trudno to było znieść, chciałem wyjść, ale mi nie pozwalała. Zagroziła sobą drzwiami, zaczęliśmy się szarpać. W końcu udało mi się ją odepchnąć i wybiec na dwór. Myślałem, że pobiegnie za mną, ale nie, została w mieszkaniu na Hożej. Od tej pory już jej nie

wiedziałem. Słyszałem tylko, że wybierała się gdzieś, zdaje się do Austrii, na występy.

- A... - zawahał się Wanacki - ta dziewczyna...?
- Która?
- Ta, o której mówiła Bożena. Miała z tym rację?

Powieki Dąbskiego zamrugały. Ręka uniosła się w górę, dłoń przebierała palcami.

- Sama nic panu nie powiedziała? Pewnie nie i pewnie odegrała przed panem niezłą komedię, opowiadając o swoim szalonym powodzeniu wśród mężczyzn i o tym, że zmienia ich jak rękawiczki. Niech pan sobie wyobrazi, że ubzduriała sobie, że niby mnie coś łączy z Urszulą Retmianiak! Zabawne, co? Zwłaszcza po tym, co pan mi tu przed chwilą powiedział o Urszuli i Zelmanie.

- Musiała chyba mieć jakieś podstawy, przypuszczenia?

- Plotki, proszę pana, zwyczajne plotki. Ludzie zobaczą parę razy człowieka z kimś na kawie i zaraz dorabiają do tego cały wątek. Bożena w złości strzelała na oślep. Nie wiem skąd, pewnie od Zelmana, dowiedziała się, że pomogłem w załatwieniu Urszuli pracy w radiu, no i tego także się uczepliła.

- Nie wiedziała, co łączy Urszulę z Zelmanem?

Ciemne, regularne brwi uniosły się w górę wystudiowanym gestem zdziwienia.

- Nie odpowiem, bo nie wiem. Może tak, a może i nie. Natomiast ja - dodał - na pewno nic o tym nie wiedziałem.

## *Rozdział 7*

**P**ierwszy ukazał się ksiądz. Przez chwilę stał w drzwiach kaplicy, czekając, aż z mroku wypłynie pozostała część

żałobnego konduktu. Później ruszył, a w ślad za nim potoczyła się szeroka aleją struga ludzi.

Popychana przez tłum, Elżbieta znalazła się w środku zwartego strumienia, sterowanego przez busołą księdza. Razem z nim dotarła wreszcie na miejsce. Gęsty mur głów nie pozwalał dojrzeć, co dzieje się przed nim; słychać było jedynie śpiewne modły i czyjś płacz.

Ksiądz skończył, ustępując miejsca grabarzom. Rozległ się głuchy łoskot spuszczonej do dołu trumny i odgłos padających na drewno pacyn ziemi. Za kilkanaście minut było już po wszystkim. Na pokrytej wieńcami przyzemie ziemi została jedynie tabliczka: „Urszula Retmianiak, żyła lat...” Tłum zaczął topnieć.

Elżbieta cofnęła się razem z nim, przystając w bocznej alejce. W pewnej chwili skinęła komuś ręką. Z kilkuosobowej grupki oderwała się jakaś postać, sterując w stronę Elżbiety.

Elżbieta położyła palec na ustach.

- Nie tutaj - szepnęła - chodźmy gdzieś dalej, tam, gdzie nikt nas nie zobaczy...

Drobna, ciemnowłosa dziewczyna zadrżała.

- Boję się - szepnęła. - Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

- Musisz! Słyszysz? Musisz!

- Inaczej nie można? - Głos był błagalny, a oczy jeszcze mokre i spuchnięte od płaczu.

- Sama przecież wiesz...

- Ale jak? Jak to zrobić? - zawahała się dziewczyna.

Elżbieta pociągnęła ją za sobą w stronę drewnianej, wilgotnej ławki.

- Jest jeden sposób - rzekła.

Horn wprowadził samochód do garażu, otworzył bagażnik i wyjął stamtąd teczkę. Poszedł po schodkach w górę. Idąc

garbił się i wciągał głowę w chude ramiona. Zawsze tak robił, kiedy nikt na niego nie patrzył.

Przeszedł ciemny przedpokój, znalazł się w pokoju. Nawet nie zdejmując kurtki rzucił się na tapczan. Leżał, bezmyślnie wpatrzony w okno, za którym widniało beznadziejnie szare, późnojesienne niebo. Nareszcie wstał, zaciągnął grubą, nieprzezroczystą zasłonę, otworzył teczkę i wyjął kilka płaskich, tekturowych pudełek. Przez moment przeglądał ich zawartość, następnie skrupulatnie po dawnemu ułożył, przeliczył, włożył do tecki i wrócił do garażu.

Po przyjeździe z powrotem, wyjął z lodówki butelkę z dżinem, nalał kieliszek, nadpił trochę. Postawił wszystko na blacie ciemnego, masywnego biurka i otworzył jedną z szuflad. Znalazł tu to, czego szukał - pudełko po zapalniczkach. Jeszcze się zawahał. Zdawał sobie sprawę, że to, co teraz robi, w gruncie rzeczy nie ma najmniejszego sensu. W końcu dobrze przecież wiedział, co tkwi wewnątrz. A jednak pragnienie ujżenia tego jeszcze raz okazało się silniejsze od rozsądku.

Wychylił kieliszek do dna, rozsunął pudełko, wyjął złożoną wewnątrz bibułę, rozwinął. W środku znajdował się nieduży przezroczysty zielony kamień. Wyglądał jak oczko od pierścionka lub kamyk od broszki.

Horn położył go przed sobą. Gdy patrzył, oczy miał suche, zawzięte. Nagle gwałtownym ruchem zniósł bibułę i wrzucił ją, razem z zielonym kamieniem, znów do pudełka. Nalał sobie kolejny kieliszek dżinu, otworzył notes i poszedł zatelefonować.

W garażu śmierdziało olejem i spalinami. Balcerzak wylazł spod samochodu, otarł pot z twarzy usmarowanymi rękami. Wyglądał zabawnie, ale bynajmniej nie rozśmieszył Zelmana.

- Więc chciałbyś wyjechać? - zapytał. W ciągu kilku ostatnich dni postarzał się i jakoś wewnątrznie oklapł. - Kiedy?

- Jutro.
- A można wiedzieć, dokąd?
- Można. Do Zakopanego.
- Z gestem, co? No a pieniądze masz?
- Nie mam.
- Więc?

Balcerzak ze skupieniem obejrzał własne dłonie, wziął ciśnieniomierz i z równym skupieniem zaczął manipulować nim przy wentylach kół.

- Ty mi je dasz.
- O, skąd ta pewność?
- Stąd, że mam coś do sprzedania.
- I przypuszczasz, że to od ciebie kupię?

Balcerzak oderwał się od opon. Wyciągnął butelkę siluxu, polał nim przednią szybę, wycierając ją starannie.

- Wcale nie przypuszczam. Wiem.
- A... co to ma być?
- Wiadomość. Idę o zakład, że cię zainteresuje. No i będzie ci lżej, gdy się dowiesz.

Zelman potarł palcami brodę.

- W ciemno nie kupuję.
- Kto mówi o kupnie w ciemno?

Zakręcił butelkę z siluxem, postawił w kącie garażu i uśmiechając się krzywo, dodał:

- Chodzi o ciebie i twoją znajomą - Urszulę...

Po pogrzebie Urszuli Dąbski nie wrócił już do radia, tylko wstąpił do knajpy na Powązkach i teraz, jadąc autobusem do domu, wpadł w ponurego kaca.

Matka przywitała go zwykłą porcją gderania. Narzekała



na wszystko, począwszy od kolejek w sklepach i braku mięsa, skończywszy na fatalnej pogodzie i nieuprzejmej sąsiadce. Popołudnie szło więc utartym trybem. Dąbski jadł obiad, nawet nie siląc się na udawanie, że słucha. Matka krzątała się w kuchni, a słowa jej przelatywały mu koło uszu niczym brzęczące pszczoły. Zaraz po obiedzie wyciągnął maszynę i zabrał się do pracy. Musiał przygotować tekst do audycji o Duke'u Ellingtonie, zaplanowanej za dwa tygodnie.

Na półkach przy ścianie stało duże, nowoczesne radio z adapterem, niżej magnetofon. Taśmy leżały osobno, poukładane w wysokie stopy.

Matka bacznie obserwowała przygotowania.

- Znów będziesz hałasować? - jęknęła. - Myślałam, że się trochę zdrzemnę...

Dąbski rozłożył ręce.

- Muszę. Sama mama rozumie...

- No to pójde się przejść. Za godzinkę skończysz?

- Jak dobrze mi pójdzie, chyba tak. - Wziął jedną z płyt, manipulując przy adapterze. Muzyka zagłuszyła trzask zamkniętych drzwi.

Po półgodzinie pisania Dąbski poczuł się senny i zmęczony. Wstał od maszyny, wyłączył adapter i zrobił sobie kawę. Z filiżanką w ręku wyszukał nowe taśmy, wypisał tytuły utworów. Później sięgnął po papierosa.

Pudełko było puste. Ze złością rzucił na podłogę zmiętą papierową kulę. W biurku znalazł jedynie dwa pety i rozkruszonego papierosa, który nie nadawał się już do palenia. Otworzył więc szafę, sięgnął do kieszeni marynarki i - zaklął. Skaleczył się czymś, co znajdowało się w podszewce marynarki. Podniósł zakrwawiony palec do ust. Później sięgnął raz jeszcze - i odpiął od materiału broszkę, na której zielone kamienie układały się w zarys kwiatu.

Naraz zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Ty draniu! - powiedział czyjś przytłumiony, niewyraźny głos. - Myślisz, że nie wiem, ale się przeliczyłeś! Wiem wszystko! Słyszysz - wszystko!

Połączenie zostało przerwane. Dąbski odłożył słuchawkę i zadygotał wewnątrz. Powoli usiadł za biurkiem. W dłoni wciąż trzymał broszkę z zielonych kamieni. Przez chwilę przyglądał się jej pełen niezdecydowania. Później zapakował klejnot w bibułkową serwetkę i pospiesznie wybiegł z domu. Gdy wrócił, był już znacznie spokojniejszy. Wreszcie załatwi sprawę, z którą uporać się chciał już dawniej, lecz wciąż mu brakowało na to sił. Teraz jednak sytuacja się zmieniła.

- Teraz? - powiedział do słuchawki Giziński. - Ależ to niemożliwe! Absolutnie wykluczone! Dlaczego akurat dziś? Dogadać się zawsze można. Ale interes musi iść. - Ton, dotąd pojednawczy, zabrzmiał naraz twardo. - Zresztą istnieją jeszcze inne sposoby. Ja nie straszę, ja tylko ostrzegam. Szkoda jednak tak pięknie zapowiadającego się życiorysu. - Ściany pokoju odbiły głośny, tubalny śmiech. - Więc radzę się namyślić...

Powoli odłożył słuchawkę. Tłuste policzki obwisły. Idąc, Giziński powłóczył nogami. Był starym, grubym, zmęczonym człowiekiem i gdyby wszystko miało zależeć tylko od niego samego, dawno by już się wycofał. Istniały jednak córki...

Latarką oświetlił drogę do zakładu. W furtce radośnie skoczył na niego pies. Odsunął go, wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi na klucz. W jednym z pomieszczeń pochylił się nad podłogą, podważył płytki, odsłaniając w ten sposób ułożone pod spodem niewielkie tekturowe pudełka. Niemal wszystkie puste...

Wanacki nie poszedł na pogrzeb Urszuli Retmianiak, choć wysłał tam fotografa. Sam natomiast zabrał się nareszcie do studiowania sporej listy przedmiotów, które z kawalerki na Hożej dostarczono do badań kryminalistycznych. Znajdowały się wśród nich naczynia i sztuce, butelki po coca-coli i koniak, niedopałki papierosów, zawartość kosza na śmieci, zmiotki z podłogi, bielizna pościelowa, okruchy potłuczonego szkła, magnetofon z taśmami.

Jeden z noży był znacznie wyszczerbiony, a przy jego ostrzu widniała niewielka ciemna plama. Tak przynajmniej głosił opis. W śmieciach nie znaleziono nic interesującego, w zmiotkach z podłogi również. Taśmy magnetofonowe zawierały prawie wyłącznie nagrania sentymentalnych tang. Jedna z nich znajdowała się w osobnej kopercie. Napis na kopercie informował, że ta właśnie taśma nie została, jak inne, zabrana ze stołu w kawalerce na Hożej, ale z torebki denatki.

Wanacki założył taśmę, włączył magnetofon, lecz - zamiast upojnego tanga - usłyszał kobiecy głos:

- Muszę ci teraz powiedzieć coś ważnego. Coś bardzo ważnego, czego nie chciałam i nie mogłam powiedzieć ci obojczyście.

- Gdzie matka? - spytał Zelman. Ze złością wyłączył głośny telewizor.

Balcerzak uniósł głowę znad kolorowych, reklamowych prospektów samochodów, leniwie powiódł wzrokiem po pokoju.

- Nie wiem - mruknął - chyba znów u siebie w pokoju. Nie szkoda ci jej? - dodał z przekąsem. - Teraz się czujesz winny, co? - W jego głosie zabrzmiała złośliwa satysfakcja. - Pomyśl więc, jak czuła się ona! Na pewno się domyślała... może nawet wiedziała.

Zelman postąpił parę kroków. Zatrzymał się obok fotela. Z trudem tłumił wściekłość.

- Tyś jej powiedział, co? Ty mały draniu! Ty... - aż się zakrztusił - a gdyby nie ja, to byście głodem przymierali!

Balcerzak pokręcił z niedowierzaniem głową.

- I znów to samo - rzekł powoli - włącz nową płytę, wysił się na oryginalność, bo tę znam na pamięć. Wiesz dobrze, że nie zależy mi na twojej forsie.

- Aha, nie zależy! A willa, studia, samochód?

- Napraszałem się niby o to? Sam chciałeś, sam dawałeś. Dobrze zresztą wiesz, dlaczego. Wóz zapisany na mnie, kilka książeczek na matkę - w razie ewentualnej wpadki czy pretensji wydziału finansowego zawsze sposób na uchronienie chociaż części majątku.

- Co cię ugryzło?

- Nic. Po prostu nagle przejrzałem i zobaczyłem ciebie takiego, jakim naprawdę jesteś. A teraz - daj mi spokój! Idź, wypłac swoje żale u kochającej żony. O ile cię oczywiście wysłucha. - Odwrócił głowę, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną i zatopił się w lekturze.

Zelman chciał jeszcze coś dodać, lecz zagryzł usta i powlókł się na górę. Od śmierci Urszuli odczuwał rodzaj dziwnej apatii. Nic go nie cieszyło ani nie bawiło. To, co powiedział mu niedawno jego własny pasierb, Janusz Balcerzak, i co kosztowało Zelmana trzy tysiące, ani nim wstrząsnęło, ani przerwało ów półletargiczny jakby stan, w jakim obecnie się znajdował. Chęć działania rozpierała go wówczas jedynie przez pierwsze chwile.

Wtedy właśnie zatelefonował. Gdy jednak odkładał słuchawkę, był znowu tak samo oklapnięty, jak poprzednio. A Janusz to pewnie zauważył. Inaczej na pewno nie pozwałałby sobie na podobne bezczelne wyskoki. Sam przed sobą Zelman

przyznawał, że zachowanie pasierba niepokoi go. Dalej tak być nie może. Janusz musi wiedzieć, gdzie i jakie jest jego miejsce. Zadzwoił telefon.

- Pan Zelman? - upewnił się męski głos. - Proszę zaraz przyjechać do Komendy Stołecznej. Zgłosi się pan w biurze przepustek.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz połączenie zostało przerwane. Wyszedł z pokoju i zajrzał do Aliny.

Pokój żony wyglądał tak, jak gdyby przeszedł tamtędy tajfun. Wokół podsuwanych mebli wałała się garderoba z szafy. Na podłodze leżała zawartość toaletki. Alina siedziała w środku tego całego bałaganu. Obrzuciła Zelmana dziwnym, błędnym nieomal wzrokiem.

- Co się stało? - zdumiał się.

Podniosła się z klęczek, powoli, niczym lunatyczka, otrzępała kolana i powiedziała nieswoim, drewnianym głosem:

- Zgubiłam broszkę.

Zelman roześmiał się.

- Ależ kochanie - odparł ze sztucznym spokojem w głosie - kupię ci nową, naprawdę. Nie martw się.

- Zgubiłam broszkę - powtórzyła.

Zelman zaparkował wóz na Nowolipkach i - krocząc powoli wzdłuż klasycystycznego budynku - dotarł wreszcie do jego bramy od frontu. Dziewczynie siedzącej w okienku biura przepustek powiedział tylko nazwisko. Zadzwoiła gdzieś i zaraz zjawił się ten sam facet, który go poprzednio przesłuchiwał. Był znów po cywilnemu, w skórzanej marynarce i jasnej koszuli.

Przeszli pod łukiem bramy, weszli na szerokie, zabezpieczone siatką schody. Przed jednym z pokoi, którego numeru Zelman nawet nie zauważył, zatrzymali się. Był to chyba

jakiś inny pokój niż poprzednio - zamiast dwóch, znajdowało się w nim tylko jedno biurko. Obok stała duża donica z palmą i ciemnozielona, metalowa szafa. Na małym, podłużnym stoliku, stoliku-jamniku, Zelman dostrzegł magnetofon.

- Chciałbym, żeby pan czegoś posłuchał - rzekł mężczyzna w skórzanej marynarce.

Taśma ruszyła, zabrzmiała kobiecym głosem: „Muszę ci teraz powiedzieć coś ważnego. Coś bardzo ważnego, czego nie chciałam i nie mogłam powiedzieć ci osobiście...”

Wanacki nacisnął klawisz, zatrzymał szpulę.

- Poznaje pan?

Zelman zaprzeczył. Naprawdę nie poznawał. Głos, nawet jeśli znajomy, musiał być zmieniony.

- A teraz?

Taśma znowu się przesunęła: „...dlatego nie gniewaj się, że robię to w taki sposób. Po prostu inaczej nie mam odwagi. No cóż, muszę ci to wreszcie powiedzieć - zakochałam się...”

- Istny melodramat - rzekł Zelman. - Co pan chce ode mnie usłyszeć?

- Niech pan wysłucha do końca.

- „...Kiedy cię poznałam, wydawało mi się, że to właśnie jest miłość. I nie oszukiwałam cię, kiedy mówiłam, że tak. Że cię kocham. Teraz wiem, że tylko mi się tak wydawało. Byłeś zresztą wspaniały pod wieloma względami - i było mi z tobą dobrze. Później jednak pojawił się inny. Pojawił się on. Nazwisko nie odgrywa żadnej roli, więc niepotrzebne... No i nasze dzisiejsze spotkanie musi być spotkaniem ostatnim. Rozumiesz? On zresztą o tobie nic nie wie i nie chcę, żeby się kiedykolwiek dowiedział. To wszystko. Całuję cię i przepraszam, Ula”.

- Teraz pan już wie?

- I tylko po to - zapytał, jakby odpowiedź na poprzednie pytanie była sama przez się zrozumiała - mnie tu pan wezwał? Czego się pan właściwie po mnie spodziewa? Że w głos się rozszlocham? Jeśli już koniecznie chce pan wiedzieć, domyślałem się tego od dawna.

- Rzeczywiście? - udał zdziwienie Wanacki. - Wydawało mi się, że mówił pan przedtem coś innego. Poza tym - wzrokiem poszukał oczu Zelmana - skąd pan właściwie wie, że taśma była przeznaczona akurat dla pana?

Zelman zawahał się.

- To bardzo proste - rzekł po chwili. - Urszula przyniosła na Hożę kilka taśm. Domyślam się, że skoro pan żądał, bym wysłuchał akurat tej jednej, musiała ona znajdować się razem z innymi.

- No, no - powiedział Wanacki - trafnie się pan domyśla. Może więc wie pan coś jeszcze na ten temat?

- Nie - odparł Zelman.

Na ulicy rozległ się hałas. Początkowo był to wściekły pomruk silnika, potem, gdy warkot umilkł, odezwały się podniesione męskie głosy.

Bożena Horn wyjrzała przez okno, lecz wzrok jej napotkał jedynie ciemną ścianę milczącej kamienicy naprzeciwko. Z nastaniem popołudnia dom ten wyrzucał z siebie grupki urzędników. Później sklepy i antykwariaty z parterów - swoich ostatnich klientów. Na posterunku zjawiał się wtedy nocny stróż, którego Bożena widywała, wracając nad ranem z występów.

Przechyliła się bardziej, niemal zwisając górną połowę ciała za parapet. W świetle latarni ujrzała dwa rozbite samochody. Ich właściciele toczyli między sobą mało uprzejmy dyskurs, z którego nie rozumiała wprawdzie ani słowa,

domyślała się jednak, w czym rzecz.

Ulica, przy której znajdował się hotel, dotykała do szerokiej, śródmiejskiej Am Graben i stanowiła pełen pułapek labirynt. Najstraszliwszą z nich był niewątpliwie nagły zakręt, prawie pod kątem prostym i - zaraz za nim - zakaz wjazdu. Kierowca, który raz się tu zapuścił, długo musiał błądzić po bocznych zaułkach, zanim udało mu się wreszcie wydostać. Omijał potem te strony z daleka, zadowolony, że nie napotkał na swej drodze innego pojazdu. Nie wszyscy mieli jednak szczęście, toteż samochodowe kolizje zdarzały się tu tak często, że zdołano się do nich niemalże przyzwyczaić.

Odrobinę więc rozczarowana, Bożena odeszła od okna. Zerknęła na zegarek. Do występu na Grinzingu pozostawało jeszcze parę godzin, jednakże przez ten czas musiała się wykąpać, przygotować odpowiednią toaletę, umalować i ubrać. Występ zaczynał się o dziewiątej, powinna być punktualnie, a ze śródmieścia Wiednia na Grinzing było daleko. Na szczęście miała ze sobą samochód - gdyby nie to, w ogóle nie wyobrażała sobie, jak by się mogła poruszać po mieście.

Otworzyła szafę, krytycznie przypatrując się wiszącym strojom. Część z nich przywiozła z Polski, część dokupiła już w Wiedniu, w jednym z domów towarowych na Kaertner Strasse, gdzie było w miarę wytwornie, w miarę jednak i tanio. Po krótkim namyśle zdjęła z ramiączka długą, lejącą się, jasnozieloną sukienkę z ekscentrycznie wyciętym dekoltem.

Trzymając suknię w obu rękach podeszła do lustra, umocowanego po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Szafa była stara, dosyć tandetna, jak zresztą cały hotel, w którym mieszkała. Na inny jednak nie było jej stać.

Pogwizdując cicho, rozsunęła długi zamek błyskawiczny, przymierzyła suknię. Kupiła ją sobie celowo właśnie na dziś. Dziś bowiem - o czym została uprzedzona wcześniej - na sali



miał być jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa, zarządzającego siecią restauracji, w tym również tą, w której występowała Bożena. Od niego zaś zależało, czy obecny kontrakt będzie przedłużony lub podpisany w roku następnym.

Suknia leżała znakomicie, uwydatniając to, co trzeba, i podkreślając zalety figury. Bożena obróciła się kilka razy, włożyła błyszczące, zielone rękawiczki, mające ukryć jej brzydkie ręce i spojrzała w lustro. Dopiero teraz zauważyła, że przy dekolcie przydałaby się jakaś ozdoba. Ot, choćby broszka. Broszka z zielonych kamieni, układających się we wzór kwiatu. Taka, jaką kiedyś dostała od Zelmana, umięjącego - musiała to przyznać - odpowiednio wynagrodzić gorycz rozstania.

Powinna ją mieć w przywiezionej z Warszawy szkatułce z biżuterią. Sięgnęła na półkę. Otworzyła wieczko. Niczego nie brakowało - z wyjątkiem broszki.

Przerzuciła wszystko raz jeszcze. Nie, nie myliła się. Może jednak broszka wysunęła się ze szkatułki podczas rozpakowywania rzeczy? Może leży teraz w którejś z kieszeni walizki lub na jej dnie?

Jednakże - oprócz kilkunastu jednakowych, niewielkich, płaskich pudełek - w walizce nie było już niczego...

## *Rozdział 8*

**P**o dwóch dniach gorączki, którą lekarka po trosze przypisywała przeziębieniu, po trosze zaś - mimo wszystko - skaleczonej ręce, Wanacki zwłókł się z łóżka, posępnie stwierdzając, że jego własne ciało stało się sflaczałe, a nogi - miękkie. Trzeciego dnia tak długo kręcił się bezmyślnie po mieszkaniu, że

nawet sama Kamila zaczęła go namawiać, by poszedł do komendy.

W komendzie leżała na blacie biurka duża, brązowa koperta, wypchana fotografiami. Wanacki rozłożył zdjęcia. Jedno pokazywało Jolkę, uchwyconą w momencie, gdy stała, wraz z grupą dziewcząt, przypuszczalnie koleżanek Urszuli, z chusteczką przy oczach. Na drugim było widać Marcina Dąbskiego. Kolejna odbitka zdziwiła Wanackiego. Cóż bowiem robiła na cmentarzu Marcjanna Wierzbicka, która w ogóle nie знаła Urszuli Retmianiak? Co ją tu, u licha, przywiodło i skąd w ogóle wiedziała, czyj pogrzeb miał się odbyć?

Następne dwie fotografie Wanacki zatrzymał w dłoniach znacznie dłużej. Dłużej, niżby w ogóle należało. Na obu poznał bowiem natychmiast Elżbietę. Na pierwszym kamera uchwyciła ją wśród tłumy, rozglądającą się niespokojnie. Na drugim stała w bocznej alejce, między rzędami grobów, oparta o drzewo, w pozie wskazującej, że na kogoś czeka. Z pliku odbitek Wanacki wyłowił jeszcze jedną. Znajdowały się na niej tylko dwie osoby. Jedną z nich znów była Elżbieta. Drugą natomiast - dziewczyna Balcerzaka, Jolka.

Rzucił odbitki na stół. Nie było żadnych wątpliwości. Rzeczywiście Elżbieta! Elżbieta posiadająca osobliwy dar wpływania się w dziwaczne historie. Dopóki nie zobaczył jej razem z Jolką, mógł się łudzić, że przyszła na pogrzeb jedynie ze współczucia. Lecz teraz? Zakład Medycyny Sądowej, w którym pracowała, wykonywał przecież sekcję zwłok Urszuli. Znała więc jej nazwisko, wiedziała, dlaczego umarła. Mogła pójść ze zwykłej ciekawości. Ale co może łączyć Elżbietę z Jolką? Jedynie znajomość? Przypomniał sobie historię, opowiedzianą mu kiedyś przez Elżbietę. Koleżanka siostry koleżanki, dziewczyna, która się bała... Bała się, że ktoś ją zabije. „To już nieaktualne” - powiedziała Elżbieta.

Musiał się pilnie z nią rozmówić.

Telefon w zakładzie milczał. Dopiero po dłuższej chwili podniósł słuchawkę ktoś Wanackiemu nie znany.

- Pani doktor Ambroziak? Zaraz sprawdzę... Niestety, proszę pana, doktor Ambroziak wzięła parę dni urlopu. Nie ma jej w pracy i przez najbliższe dni nie będzie.

- Wyjechała?

- Nie wiem, proszę pana. Nic nie mówiła.

Wanacki rzucił z wściekłością słuchawkę. Zgarnął zdjęcia, byle jak upychając w teczce, i pojechał szukać Elżbiety lub Jolki.

Mieszkanie Elżbiety znajdowało się w przedwojennej kamienicy na Powiślu. Na dzwonicie Wanackiego nikt się nie odezwał.

Do Jolki musiał jechać aż na Mokotów. Drzwi otworzyła starsza, tęga pani, najwidoczniej matka.

- Do Joli? - upewniła się. - Niestety, wyjechała.

- Dokąd? - zapytał. - Dokąd pojechała?

- Na wieś, gdzieś w Poznańskie. Córka studiuje na Akademii Medycznej, a teraz mają podobno akcje, masowych badań na wsi. Zresztą nie wiem dokładnie. Obiecała, że zaraz po przyjeździe napisze do mnie.

Wanacki podał numer telefonu.

- Jak wróci, niech natychmiast zadzwoni - powiedział. - W pilnej sprawie.

- Jak pan z milicji - rzekła starsza pani - to się domyślałam, że pewnie chodzi o Ulkę, koleżankę mojej Joli. Nie powiem, przyjaźniły się, jeszcze w szkole, chociaż ostatnio widywały się coraz rzadziej. Prawdę mówiąc, byłam nawet zadowolona, że poprzednia znajomość zaczęła się kończyć. O umarłych nie powinno się wprawdzie źle mówić, ale Ulka nie była odpowiednim towarzyszem dla mojej córki. Już w szkole sprawiała wrażenie trochę narwanej, poza tym w głowie

tylko ciuchy i chłopcy. Później córka mi wspomniała, że Ulka ma jakiegoś bogatego przyjaciela. Pan sobie wyobraża - w tym wieku i przyjaciela! Powiedziałam wtedy Joli, że jak tu kiedyś przyprowadzi tę swoją koleżankę, obie wylecą za drzwi i zabroniłam dalszej znajomości. No i co? Nie miałam racji?

Z Mokotowa Wanacki pojechał na Akademię Medyczną. Dziekanat Wydziału Lekarskiego mieścił się w starym gmachu, obrośniętym dzikim winem.

- Na akcję? - zdziwiła się sekretarka. - Nic o tym nie wiem. Zaraz jednak sprawdzę. - Przerzuciła jakieś papiery. - Jolanta Orłowska, tak? Ma tydzień zwolnienia lekarskiego.

Wanacki powrócił do komendy w nie najlepszym nastroju. Dlaczego Jolka okłamała matkę? I dokąd wyjechała? Może razem z Elżbietą?

Nazajutrz rano wezwał go Stępień. Przyszły dodatkowe wyniki badań kryminalistycznych, o które Wanacki prosił.

Więc nóż; ciemne plamki na ostrzu zawierały ślady oraz resztki izolacji z jakiegoś przewodu, najprawdopodobniej elektrycznego. Podobne cząstki znaleziono i w pozornie przedtem nieinteresujących zmiotkach z podłogi. Z jednego z przewodów lampy w kawalerce na Hożej częściowo usunięto izolację. Pozbawione jej miejsce - długości około 1 cm - dotykało metalowej podpórki lampy, wewnątrz której biegły przewody do żarówki. W ten sposób metalowa obudowa lampy znalazła się, po włączeniu przewodu do kontaktu, pod napięciem. Jednoczesne dotknięcie przez denatkę obudowy, będącej pod napięciem, i elementu dobrze uziemionego, jakim mógł tutaj być mocno zardzewiały kaloryfer, wywołało porażenie prądem. Poza tym Urszula Retmianiak była mokra,

bosa, a także pod wpływem alkoholu; we krwi stwierdzono znaczne jego stężenie. Spotęgowało to skutki porażenia. Nastąpił więc szczególnie zbieg okoliczności. Jednakże przyjąc należy, iż lampa uszkodzona została umyślnie, przez osobę obeznaną z tajnikami elektryczności, właśnie w celu wywołania porażenia.

Wanacki pomyślał o Zelmanie. Tylko on przecież stale dysponował kluczem do kawalerki przy Hożej. Mógł, kiedy tylko chciał, uszkodzić lampę. Miał motyw - na co wskazywałyby taśma magnetofonowa, przeznaczona przez Urszulę najprawdopodobniej właśnie dla niego. Może nastawiła mu ją już wcześniej albo też z innych oznak zorientował się, że związała się z kimś innym? A jeśli uczucie, o którym tyle mówił Wanackiemu, było równie wielkie, jak zazdrość? Mógł uszkodzić lampę, następnie podać Urszuli duże ilości alkoholu, namówić ją do kąpeli, później zaś powiedzieć po prostu: „Zapał światło” i liczyć na to, że - po pijanemu - mając trudności z utrzymaniem równowagi oprze się dłonią o metalową podpórkę lampy. Lecz przecież nie można mu było nic udowodnić, a same, do tego wątle poszlaki nie wystarczyły.

A więc? Więc należało rozważyć i inne przypuszczenia. Czy zabójcą Urszuli mógł być ktoś z listy osób, korzystających z garsoniery na Hożej? Założenie wprawdzie dość ryzykowne, ale i niewykluczone. Tylko... zaraz. Skądże chwilowy posiadacz klucza wiedziałby, kto padnie ofiarą zasadzki? Zakładał, że uszkodzonej lampy dotknie bosa, mokra i pijana dziewczyna? W końcu był to tragiczny zbieg okoliczności. Przewidzieć go nie mógł. Jedyne możliwe rozwiązanie: przestępca uszkadza lampę po to, by spowodować śmiertelne porażenie prądem, jednakże nie wie, że wywołać je może tylko szczególnie zbieg okoliczności. Konkluzje: jego wiedza,

powiedzmy, fachowa, jest stosunkowo niewielka. Usuwa to więc z listy podejrzanych na przykład Balcerzaka, studenta Wydziału Elektrycznego Politechniki. Jego zasób wiadomości z dziedziny elektryczności pozwoliłby zastawić pułapkę pewną.

Cóż zresztą za pretensje mógł mieć Balcerzak do Urszuli - dziewczyny, którą, jeśli nawet znał, to zapewne przelotnie, przez Jolkę? Poza tym już przedtem wiedział o różnych miłośkach swego ojczyma. Dlaczego akurat ta miałaby mu przeszkadzać? A może jednak zemsta - za matkę? Oboje mogli dojść do wniosku, że akurat ta miłośka Zelmana może się okazać niebezpieczna dla ich dalszej materialnej egzystencji. Zelman wspominał o ewentualności rozwodu. Jego żona lub pasierb mogli już o tym wiedzieć - albo się domyślać.

Czy Balcerzak mógł wcześniej przewidzieć, że zabije nie kogo innego, ale właśnie Urszulę? A może brał pod uwagę nie Urszulę, lecz swojego ojczyma?

Z kolei przecież Zelman był tym, któremu zarówno Balcerzak, jak i jego matka zawdzięczali dobrobyt. Wraz z jego śmiercią skończyłyby się i pieniądze. Chyba że... Chyba że to, co zostawiłby, wystarczyłoby im na co najmniej dostatnie życie przez wiele lat.

Nie - znowu nie tak. Zakładając, że Balcerzak wiedział o spotkaniach swego ojczyma na Hożej z kobietami, nie mógł przewidzieć akurat śmierci Zelman. Przesłębcy zaś nieobojętne chyba było, kto zginie.

Marcjannę Wierzbicką Wanacki wykluczał jako podejrzaną o tę zbrodnię, choć z drugiej strony dziwiła go obecność starszej pani na pogrzebie nieznajomej dziewczyny.

Pozostawiali Giziński, Dąbski, Bożena Horn oraz jej mąż - Leszek. Horn zaprzeczał co prawda energicznie, że zna kawałkę na Hożej, jednakże Wanacki nie widział przyczyny,

dla której Zelman kłamałby akurat w tym punkcie. Raczej Horn nie mówił prawdy.

Horna, Gizińskiego oraz Bożenę łączyły z Zelmanem wspólne interesy. Może od jakiegoś momentu te interesy przestały łączyć, a zaczęły dzielić? Wanacki przypomniał sobie scenę przed zakładem Gizińskiego. Co przywiózł wówczas Horn? Co ukrywała teczka? Bo przecież nie taśmy, które tak skwapliwie pokazał Giziński, a na których znajdował się kurz świadczący, iż musiały leżeć w owej szufladzie od dłuższego czasu.

Podobną teczkę Wanacki dostrzegł niedawno w bagażniku samochodu Bożeny Horn. Marcjanna Wierzbicka również opowiadała o czarnej teczce, tym razem z mieszkania na Hożej. Może i знаła - mimo energicznych zaprzeczeń - jej zawartość?

Czy Bożena Horn albo Marcin Dąbski mogli pragnąć śmierci Zelmana? Dąbski wydawał się tylko jednym z jego znajomych. Bożena Horn utrzymywała wprawdzie niegdyś z Zelmanem bliższe kontakty, nic jednak nie wskazywało, aby rozstanie przeżyła boleśnie. Wprost przeciwnie - bardzo szybko pocieszyła się Dąbskim.

Co prawda na trop tej znajomości mógł wpaść mąż Bożeny. Śledząc żonę, zorientował się, gdzie się spotyka z Dąbskim. Albo też Zelman niechący - lub umyślnie - wygadał się, że daje klucz również i Bożenie. Sama myśl jednak, że to właśnie Horn uszkodził lampę, by przygotować pułapkę na Bożenę i jej amanta, wydawała się trochę niedorzeczna. W końcu i on również musiał brać klucz od Zelmana, a więc obawiałby się, że ofiarą może paść osoba przypadkowa. Chyba że tak go zaślepiła zazdrość, iż się w ogóle nie zastanawiał nad skutkami.

No, a Elżbieta i jej zadziwiające kontakty z Jolką? Straszliwie pogmatwana cała ta historia!

Wanacki postanowił zacząć od nowa, tym razem od Gizińskiego, i pojechał tam. W dziennym świetle wytwórnia pocztówek dźwiękowych prezentowała się gorzej niż nocą. Był to długi, parterowy, nawet nie otynkowany budynek z szarych pustaków. Z otwartych okien wylewał się hałas maszyn oraz gryząca woń chemikaliów. Na podwórku stała duża skrzynia z piaskiem, nad którą wisiał gruby, gumowy wąż, duża strażacka siekiera oraz kilka czerwonych wiader. Obok zaparkowała furgonetka. Jej kierowca rozmawiał z wychylającym się przez okno, potężnie zbudowanym mężczyzną.

Mężczyzna okazał się portierem-dozorcą. Obrzucając Wanackiego mało przychylnym spojrzeniem, zaprowadził go jednak do biura i mruknął, że zaraz poszuka szefa.

Giziński przyjeżdżał razem z Hornem. Obaj nosili takie same szare, robocze, zapinane z przodu fartuchy z długimi rękawami i obaj wnieśli ze sobą do pokoju zapach środków chemicznych.

Twarz Gizińskiego zdradzała panujące w hali produkcyjnej gorąco. Po policzkach rozlała się czerwona siatka spękanych żyłek, ręka, jowialnie wyciągnięta do Wanackiego, była spocona i miękka.

Horn trzymał się tak sztywno, jakby połknął kij. Znieruchomiała również głowa oraz mięśnie twarzy. Kontrast między tymi dwoma mężczyznami, z których pierwszy prezentował niespokojną ruchliwość, natomiast drugi sztuczny spokój, był tak uderzający, że nawet niechcący nasuwał pytanie, co i jakie okoliczności ich złączyły?

Wanacki rzucił kilka nic nie znaczących zdań, zagadnął, jak idą interesy, jakie szlagiery będą na pocztówkach, przez cały czas obserwując napięcie, towarzyszące rozmowie. Zarówno Horn, jak i Giziński zdawali sobie sprawę z tego, że



nie pojawił się tu dla towarzyskiej pogawędki. W miarę przeciągania się dyskursu, ruchy ich poczęły zdradzać niecierpliwosć. Dopiero wtedy Wanacki przeszedł do właściwego tematu i powiedział o wypadku na Hożej, który wcale - jak teraz się okazało - nie był wypadkiem, lecz zbrodnią.

- Nie mam z tym nic wspólnego - rzekł szybko Horn. Nerwowym ruchem szarpnął kołnierzyk koszuli. Wyglądało to tak, jak gdyby nagle zaczął być dla niego za ciasny. - Nie znam żadnej Urszuli Retmianiak. - Rozluźniwszy kołnierzyk, spojrzał na Wanackiego. - Zelman mnie w to wrabia?

Wanacki pokręcił głową, a ruch ten Horn zrozumiał jednoznacznie.

- Zgadza się?

Na jego bladych dotąd policzkach pojawiły się plamy wypieków.

- Przysięgam, że i ja też nie mam z tym nic wspólnego! - odezwał się naraz Giziński. Jego dłoń zwinęła się w kułak, uderzając w tłustą, masywną pierś.

Horn sprawiał wrażenie, jak gdyby wtřęć Gizińskiego w ogóle nie dotarł do jego uszu.

- A może chciałby się pan dowiedzieć, dlaczego zamierzam mnie w to wrobić?

Giziński usiłował go powstrzymać ruchem dłoni, lecz Horn nie zwrócił na niego uwagi.

- Powiem panu! Ta świnka ma ochotę przespać się z moją żoną! Już nieraz próbował, wiem o tym dobrze, i nie od dziś! Ale jest jeszcze mąż! I oto nadarza się dobra okazja. Najpierw usuwa się dziewczynę, która zawadza, potem wrabia w to męża innej. W ten sposób na jednym ogniu piecze się dwie pieczenie! Nie ma dziewczyny, nie ma męża - droga wolna!

- Chwileczkę! - powstrzymał go Wanacki. - Jeśli pan

dziewczyny w ogóle nie znał, skąd pan wie, że zawadzała Zelmanowi?

Horn zacisnął usta.

Czyżby powiedział za wiele i teraz nie wie, jak z tego wybrnąć?

- Ja...? - zawahał się. - Tak przypuszczam. Bo niby jak załatwił swoją pierwszą żonę? Wypadek, co? Niepotrzebna mu już była, za to potrzebna forsa! Taki sam wypadek, jak i ten teraz!

- Ależ... - Giziński wtrącił pospiesznie - niechże pan nie bierze tych słów na poważnie! Leszek i Alek nigdy się za bardzo nie lubili. Ja wiem - dodał - szło przede wszystkim o Bożenę. Leszek jest piekielnie zazdrosny i zaraz dopatruje się Bóg wie czego. I mówi pan - zapytał z nagłym zainteresowaniem - że Alek, to znaczy Zelman, wrabia teraz Leszka w tę historię? Niech pan temu nie wierzy! O, żeby tak Zelmiana zamordowano, to nawet bym powiedział, że Leszek mógł mieć z tym coś wspólnego. - Naraz zorientował się, że coś nie tak, i szybko wybrnął: - Ach, ta męska zazdrość! - westchnął z udaną afektacją. - Ale jakąś tam smarkulę, której żaden z nas nawet nie znał? Po co, dlaczego?

Po chwilowym wybuchu Horn zamilkł i znów siedział sztywny, jak przedtem.

- Jak często przywozi pan wieczorem taśmy do zakładu?  
- zapytał go nagle Wanacki.

Rozlane rysy Gizińskiego naraz stężyły, w całej postaci pojawiło się oczekiwanie. Wanacki instynktownie czuł, że trafił na słaby punkt, lecz nie spodziewał się łatwego wyjaśnienia. Giziński miał sporo czasu, ażeby zawiadomić Horna, o co go już pytano. Toteż i Horn zawahał się jedynie przez chwilę. Następnie, z pozorną lekkością w głosie, odpowiedział:

- Nie, nieczęsto. Tylko wtedy, kiedy jest jakieś pilne

zamówienie i gdy produkcja musi iść już od wczesnego rana.

- Tak było właśnie wtedy?
- Tak.
- Przyniósł pan taśmy w teczce? - kontynuował Wanacki.

Horn skinął głową.

- Może w tej samej, którą wasz wspólnik, Zelman, zоставił niedawno na Hożej?

Milczenie, jakie zapadło, równie dobrze oznaczać mogło banalne zaskoczenie, jak i to, że właśnie tutaj kryła się przy-najmniej część zagadki.

- Nic nie wiem o żadnej takiej teczce - z wysiłkiem od-rzekł Horn.

Na twarzy Gizińskiego odmalowała się wyraźna ulga i na-tychmiast przytwierdził to samo.

- A o broszce z zielonych kamieni, podarowanej przez Zelmiana z wdzięczności za znalezienie teczki?

- O broszce z zielonych kamieni? - powtórzył powoli Horn. Rzucił Wanackiemu twarde, zawzięte i pełne nienawiści spojrzenie.

Giziński nerwowo przebierał tłustymi paluchami.

- Nie - rzekł szybko - o broszce też nic nie wiemy. - Najwyraźniej nie chciał dopuścić Horna do głosu.

Horn zrozumiał to zresztą właściwie, skoro, zwiesiwszy nagle głowę, dorzucił:

- Nie, nic, zupełnie nic.

Wanacki był jednak przekonany, że kłamie.

Wanacki odnalazł Dąbskiego w dwupokojowym mieszka-niu w nowym bloku na peryferiach miasta.

Wiadomość o tym, że wypadek w kawalerce na Hożej był zaplanowaną wcześniej zbrodnią, wyraźnie wytrąciła go z równowagi. Dąbski po prostu bał się. Drżał wewnętrznie ze strachu i jeśli Wanacki mógł się spodziewać jakichkolwiek

sukcesów, to chyba tylko tutaj. Musiał jednak trafić w najsłabszy punkt.

Lecz jak nań trafić? Dlaczego Dąbski tak bardzo przejął się faktem wykrycia morderstwa? Nie mogło to być przecież jedynie poruszenie, wywołane tragiczną śmiercią redakcyjnej koleżanki. Nie, ten strach oznaczał zupełnie coś innego i inne też musiał mieć przyczyny.

A mimo to Wanacki przegrał. Do końca nie udało mu się przełamać owej wewnętrznej bariery, która dzieliła go od wydobycia na jaw prawdy. Dwukrotnie był chyba bardzo blisko - po raz pierwszy w momencie, gdy zapytał Dąbskiego, czy wiadomo mu coś na temat wytwórni pocztówek dźwiękowych, systemu jej pracy oraz dostarczania taśm, służących do nagrywania płyt. Zapewnienie przyszło zbyt gwałtownie i było zbyt natarcywe; za bardzo Dąbski chciał go przekonać, że jego znajomość z Zelmanem to jedynie luźny kontakt, ażeby można mu było bez zastrzeżeń uwierzyć. Drugi raz nastąpiło to w momencie, kiedy Wanacki poruszył sprawę teczki, pozostawionej przez Zelmana na Hożej.

O broszce z zielonych kamieni, подарowanej przez Zelmaną Wierzbickiej, wspomniał właściwie przypadkowo i chyba tylko ze względu na osobliwą reakcję Horna oraz Gizińskiego.

Dąbski zachował się nieco inaczej, ale dość dziwnie. Przez dłuższą chwilę wypytywał Wanackiego o wygląd broszki; o to, jaki był jej kształt i ułożenie kamieni. Na jego twarzy malował się wyraz trwożnego oczekiwania.

- Zainteresowała pana, widzę, ta broszka... - nie wytrzymał wreszcie Wanacki. W duchu miał nadzieję, że może właśnie teraz odstąpi przed nim rąbek tajemnicy. Jednakże Dąbski tchórzliwie zrejterował.

- Ach nie, ja tylko tak sobie... - pospieszył z zapewnieniem.

- A może pan ją kiedyś widział? - spróbował jeszcze raz Wanacki. Oczekując na odpowiedź, rozglądał się po pokoju.

Mieszkanie umeblowane było w sposób standardowy, z typowym regałem i równie typową wersalką. W rogu pod oknem, a naprzeciw telewizora, stały dwa fotele. Obok przy ścianie znajdowała się półka, zarzucona najróżniejszymi szpargałami. W środku królował magnetofon, nie opodal leżały pudełko oraz kasyety z taśmami.

- Ależ nie, nigdy! - zapewnił znów Dąbski. Jego oczy wędrowały za wzrokiem Wanackiego i w pewnym momencie zatrzymały się na półce z taśmami.

- Interesuje pana muzyka? - spytał, najwyraźniej z zamiarem zmiany tematu. - Mam sporo taśm z zupełnie niezłymi szlagierami.

Wanacki podszedł do półki. Wziął parę kaset, patrząc na kolorowe tytuły.

- Kupuje pan?

Nie wiadomo dlaczego, Dąbski zmieszał się.

- Trochę kupuję, trochę sam nagrywam.

Wanacki odłożył kasyety. Niechcący spojrzął niżej. Oparta o tył głębokiego fotela, stała czarna, skórzana teczka. Doznał jednak rozczarowania. Teczka była pusta...

Marcjanna Wierzbicka jako następna z kolei osoba powiadomiona o wykryciu morderstwa na Hożej, przyjęła słowa Wanackiego z mieszaniną nie ukrywanego podniecenia i zaniepokojenia. Najbardziej interesowało ją, kiedy będzie mogła dostać się do garsoniery i na nowo ją wynająć. Słuchała więc Wanackiego nieuważnie, od czasu do czasu dotykając pieszczołtliwie podarowanej przez Zelmę broszki z zielonych kamieni.

Miała ją bowiem znów na sobie; tym razem przypiętą do ciemnej sukni, od której odbijała ostrymi błyskami. Wanacki przyglądał się broszce z wzrastającym zainteresowaniem. Była, musiał to jeszcze raz przyznać, rzeczywiście piękna, chociaż kamienie wyglądały na sztuczne. Harmonię symetrycznie ułożonego kwiatu psuł jednak brak jednego z nich. Wanacki dużo by dał za to, ażeby dowiedzieć się, jaką tajemnicę może kryć w sobie ów klejnot i dlaczego rozmowa na jego temat z trzema już przecież osobami wywołuje tak osobliwe reakcje.

- Pożycz mi pani na jakiś czas broszkę? - zaproponował nagle.

Wierzbicka zachnęła się, jej zwiędła i pomarszczona twarz zmieniła się w wielki znak zapytania.

- Po co to panu? Czy myśli pan, że ona... - zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu - ma jakiś związek z...?

Wanacki zastanowił się.

- Może... - powiedział równie tajemniczo.

Starsza pani, początkowo najwidoczniej mało skłonna do rozstania się z ulubioną chyba ozdobą, natychmiast skapitulowała. Wątpliwe ręce sięgnęły po klejnot, odpięły od sukienki. Wanacki wypisał pokwitowanie, schował broszkę do portfela i zapytał:

- No i cóż, powie mi teraz pani, co było w teczce? Wierzbicka spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Przecież mówiłam, była zamknięta...

- Ale miała ją chyba pani w rękach - odpowiedział Wanacki. W duchu liczył, iż właśnie teraz, gdy właścicielka broszki chwilowo się z nią rozstała i gdy on sam sugerował, że klejnot może być związany z morderstwem na Hożej (choć prawdę mówiąc nie widział żadnego na razie związku), Wierzbicka okaże się mniej skłonna do lojalności wobec ofiarodawcy, za to bardziej skłonna do zwierzeń.

Czubkiem wskazującego palca starsza pani podrapała się w rzadkie, siwe włosy.

- Bo ja wiem... - powiedziała, jeszcze z ociąganiem w głosie - mieć, niby miałam. Ale - dodała z nagłym ożywieniem - mnie się wydaje, że wcale nie było tam żadnych papierów. Wcale! Tam były chyba pudełka. Ale blaszane, albo plastikowe. Przez skórę nie dawało się wyczuć, na pewno jednak były to pudełka twarde, nie tekturowe.

- Więc sam pan widzi - rzekł Wanacki - nie ma co ukrywać: sprawa wygląda kiepsko. Morderstwo to nie to samo, co nieszczęśliwy wypadek. Lampę uszkodzono umyślnie, a pan na przykład miał dosyć czasu oraz okazji, by to zrobić.

Zelman podniósł głowę, wpatrując się intensywnie w jakiś niewidoczny punkt na ścianie.

- A powód? - zapytał.

- Powód też by się znalazł. Nawet nie jeden. Dziewczyna mogła okazać się zbyt natrętna i zbyt wymagająca. Może dowiedziała się o panu czegoś, czego dowiedzieć się nie powinna i stała się dla pana niebezpieczna? A może uczucie, którym pan ją darzył, było rzeczywiście tak wielkie, iż nie mógł pan znieść myśli o nastaniu?

- Jedno przeczy drugiemu - wtrącił sucho Zelman.

- Bo też są to dwie różne wersje. Panie Zelman - w głosie Wanackiego zabrzmiał nagle konfidenalny ton - niechże pan powie wreszcie, jak naprawdę było!

Jeśli nawet przez chwilę liczył na moment psychicznego załamania - to się pomylił.

Tak jak poprzednio, kiedy oznajmił Zelmanowi o wykryciu uszkodzenia lampy i o tym, że śmierć Urszuli nie była

przypadkiem, tak również teraz siedzący naprzeciw mężczyzna nie stracił nic ze swego sztywnego opanowania. Być może, było ono nawet i sztuczne, lecz w żadnym wypadku nie przypominał obecnie poprzedniego, roztrzęsionego nerwowo człowieka, którego poznał Wanacki. Co prawda od tamtego czasu upłynęło już kilka dni, lecz mimo wszystko zadziwiająca była owa wewnętrzna dyscyplina i samokontrola.

- Już powiedziałem - odparł pospiesznie, a jego wzrok przesunął się z punktu na ścianie na zasłonięte firanką okno, za którym stał piękny, srebrny świerk.

Wanacki popatrzył w ślad za nim. Przez krótki moment wydawało mu się, że tuż za oknem przesunął się jakiś cień. Przy mglistym zmierzchu mogło to być jednak po prostu złudzenie lub poruszenie gałęzi drzew. Za chwilę zresztą cień zniknął - drzewo stało spokojnie, jak przedtem. Gałęzie pokrywała cieniutka warstwa świeżo spadłego śniegu.

Zelman odwrócił głowę.

- Nie zabiłem jej! Nie mam pojęcia, kto to zrobił! Komu mogło zależeć na jej śmierci?

- Jeżeli nie zrobił tego pan - rzekł spokojnie Wanacki - w grę może wchodzić tylko jedna z osób, którym pożyczał pan klucz do mieszkania na Hożej. - Zamierzał wciągnąć go do osobliwej gry. - Niechże pan więc pomyśli: kto? Może piosenkarka?

- Bożena? - W głosie Zelmana zabrzmiało niedowierzanie. - Dlaczego właśnie ona?

- Utrzymywał pan z nią swojego czasu bardziej, hm... bardziej intymne kontakty.

Przez twarz Zelmana przebiegł grymas. Był ledwie dostrzegalny i zaraz też przybrała ona swój poprzedni wyraz.

- Pani Horn mogła być zazdrosna. Zdaje się, że niezbyt lubi konkurencję.



- Ach - rzekł z wyraźną ulgą Zelman - więc to pan ma na myśli... Już ktoś panu opowiedział. Ale to stara historia... No i Bożena szybko pocieszyła się Dąbskim. - Podniósł dłoń, przyglądając się szerokim, krótko obciętym paznokciom. - Zupełnie nieprawdopodobne!

Wanacki nie rezygnował tak łatwo.

- Rozmawiałem z nią przed jej wyjazdem do Austrii.

- Tak? - Zelman wyraźnie się tym zainteresował. - No i... co?

Wanacki udał chwilowe zamyślenie. Zelman musiał to zrozumieć właściwie, skoro skapitulował. Jedyne lekkie skrzywienie sprężyn fotela zdradzało niepokój siedzącego na nim człowieka.

I znów Wanacki postłyszał lekki szmer; odniósł wrażenie, że ktoś niewidoczny porusza się na palcach za drzwiami.

Odczekał chwilę, szybko zbliżył się do progu i nacisnął klamkę. Przedpokój był ciemny i - chyba - pusty. W każdym razie nie dostrzegł tam nikogo.

Musiało mi się zdawać - pomyślał - tak jak z cieniem za oknem, powstałym zapewne przy poruszeniu się gałęzi świerku.

Wrócił. Zelman spojrzał pytająco.

- Sprawdzał pan, czy nikt nie podsłuchuje? Nikogo nie ma w domu. Żona wyszła do fryzjera, jeszcze przed pana przyjściem, i nie słyszałem, by wróciła.

- No więc kontynuujmy - rzekł Wanacki. W pokoju było ciepło, fotel, na którym siedział, miękki i wygodny, pozwalający ciału łagodnie zapaść się w wybite skórą wnętrze, sprzyjający drzemce i marzeniom, nie zaś kłopotliwym indagacjom. - A pański pasierb, Janusz Balcerzak?

W oczach Zelmiana pojawiła się niechęć.

- Taak - przeciągnął. - Urszulę znał jedynie przelotnie.

Bliżej natomiast znała ją jego dziewczyna, Jolka. Podobno były niegdyś przyjaciółkami... Może istniały między nimi jakieś nieporozumienia?

- Wie pan coś na ten temat?

Zawahała się. Niezdecydowany ruch ust, które najpierw się otworzyły, lecz w chwilę później na nowo zacisnęły, zdradził, że chyba chciał coś powiedzieć. Zaraz jednak ten zamiar zastąpił inny. Wanacki usłyszał jedynie lakoniczne: „Nie”, ujrzał ruch głowy, mający wzmocnić zaprzeczenie.

Coś wie - pomyślał - wie coś, lecz nie chce mi powiedzieć. Ale dlaczego nie chce? Czyżby z obawy, że to coś może obrócić się także przeciw niemu samemu?

- Zostaje nam Giziński...

- Nie znał Urszuli, nawet o niej nie wiedział.

Wanacki zmienił taktykę.

- Ale zna pana... - Ciekawiło go, jak Zelman się zachowa i jak zareaguje. Co powie o swym współniku? - Może pan miał z nim jakieś nieporozumienia? Natury zawodowej czy osobistej?

Zrozumiał - pomyślał, widząc wyraz twarzy Zelmiana. - Teraz powinien mnie zapytać i zaraz zobaczę, czy zgadłem.

- Myśli pan, że on...? Że on mógłby... nie Urszulę, tylko mnie...?

Zgadłem - skostatował nie bez satysfakcji Wanacki. - Ziarno nieufności zasiane, tak jak posiałem je przedtem, mówiąc Hornowi i Gizińskiemu o morderstwie. Teraz będą w stosunku do siebie podejrzliwi i będą uważać na każdy swój krok. Jeśli któryś z nich miał coś z tą śmiercią wspólnego, nieufność i podejrzliwość mogą się okazać pomocne w rozwikłaniu zagadki.

Powieki Zelmiana opadły na moment w dół, ukrywając prawdziwy wyraz oczu.

- Nie mogę w to uwierzyć... - Dopiero zaczęła przetrwać

w sobie tę wiadomość i trudno mu było zdecydować się od razu, jaką obrać taktykę. - Nie mieliśmy właściwie żadnych większych nieporozumień...

Więc tak - myślał Wanacki. - Rozumiem go. Wspólny interes i wspólne też dochody. W takiej sytuacji niebezpieczny może być każdy konflikt. Zewnętrzna fasada musi pozostać nie zmieniona. Co jednak rozegra się poza nią?

- No, może trochę... - poprawił się Zelman. - Jak to między współnikami...

- A jak się układały stosunki z Hornem?

Zelman zmrugał oczy.

- Zwariowany facet! - powiedział z irytacją w głosie. - Stale miał do mnie pretensje. Wie pan - spojrzał konfidencjonalnie na Wanackiego - o żonę... Tak jakby babka była z cukru!

- Lecz mimo to pożyczył mu pan klucz? Na pewno pan pożyczył?

Zelman zachnął się.

- Oczywiście!

- On twierdzi inaczej.

- Kłamie! A jeśli kłamie, to... - urwał - to... może właśnie on...? - niby nie skończył, lecz jego ton wyraźnie zdradzał, co zamierza zasugerować. - Urszuli co prawda nie znał. Ale znał mnie! Pan sam dał mi wyraźnie do zrozumienia, że mogło tu chodzić właśnie o mnie! Bo, wie pan, zwrócił mi klucz z osobliwym wyrazem twarzy. Myślę, że gdyby mógł, zabiłby mnie wzrokiem. Czyżby to on...? Może się dowiedział, że kiedyś spotykałem się tam z jego żoną? Myślał, że się widuję nadal i chciał zastawić na mnie pułapkę? Nie wydaje się to panu prawdopodobne?

Tym razem była to już cała koncepcja. Przeciwna do tej, jaką zaprezentował niedawno Wanackiemu Horn, lecz jednak też koncepcja. Kolejna hipoteza...

- Ta... jak pan określa... nienawiść nie przeszkadzała wam obu w pracy?

- W zakładzie każdy z nas ma swoją robotę, swoje obowiązki.

- Czy to w ramach tychże obowiązków Horn dostarczał taśmy?

Zaskoczenie w oczach Zelmana.

- Widzę, że i to pan już wie - powiedział po chwili. - Owszem, tak było - przyznał. - Każdy z nas musi się troszczyć zarówno o zbyt pocztówek, jak i o taśmy. Inaczej produkcja by stanęła. Poza tym powinniśmy posiadać dużo taśm, żeby dokonywać wyboru. Nasza wytwórnia pracuje trochę odmiennymi metodami niż inne, podobne zakłady. Tamci idą drogą najmniejszego oporu, tłocząc jedną i tę samą melodię w tysiącach egzemplarzy. Rynek jednak szybko się nasycy, piosenka wychodzi z mody i wtedy pocztówki pozostają nie sprzedane. My od początku przyjęliśmy inną zasadę. Nagrywamy jednocześnie wiele różnych kawałków. Klient ma wtedy lepszy wybór, więcej też kupuje. Jest to co prawda droższe, ale daje gwarancję, że wszystkie pocztówki pójdą i nie będzie strat. Nie mamy więc specjalnych kłopotów z odbiorcami, bo wiedzą, że jak wezmą pocztówki od nas, nie zaryzykują.

- A z taśmami? Skąd bierzecie te atrakcyjne, jak pan powiada, nagrania?

- Trochę się kupuje, trochę nagrywa z radia; różnie. Najczęściej korzystamy jednak z taśm gotowych, ponieważ jakość tych nagrywanych z radia nie jest dobra. Nie da się usunąć różnych szmerów, zgrzytów i trzasków, które zwykle towarzyszą muzyce, a na pocztówce - jeśli się do tego dysponuje nie najlepszej jakości materiałem do tłoczenia, a tak przeważnie bywa - wszystko się potęguje. Ale - ocknął się naraz - dlaczego pan o to pyta?

Wanacki nie odpowiedział, lecz ciągnął dalej.

- Domyślam się, że takie kasety i taśmy znajdowały się również w teczce, pozostawionej przez pana na Hożej?

W pokoju zapadło raptowne milczenie, a z tego milczenia słuch Wanackiego po raz wtóry wyłowił szmer. Tak jak poprzednio, dochodził on zza drzwi i jak wtedy umiejscowiony był chyba tuż za nimi. Coś, jak gdyby delikatne zaszuraanie pantofla, stłumione chrząknięcie. Wanacki nie zamierzał jednak blamować się przed Zelmanem i - zrywając się z miejsca - sprawdzać, kto jest za drzwiami. Musiał mieć pewność.

- Właściwie - rzekł naraz Zelman - nie ma tu nic do ukrywania.

- Wyobrażam sobie - zauważył Wanacki z roztargnieniem, ponieważ nadal nasłuchiwał, czy nie powtórzy się szmer za drzwiami - jak bardzo ucieszył się pan z odnalezienia teczki...

- Naturalnie! Te kasety i taśmy kosztowały mnie masę pieniędzy!

- Tak wiele, że aż ofiarował pan Wierzbickiej drogą broszkę? Byłaby chyba jeszcze piękniejsza, gdyby nie brakowało w niej jednego z tych efektownych, zielonych kamieni. Skąd pan ją...?

Wanacki nie dokończył. Raptownie otworzył drzwi.

- O, przepraszam! - wykrzyknął. - Nie chciałem pani uderzyć!

Zelmanowa trzymała się za obolały policzek. I tylko ten gest wyłowiło na razie światło. Przedpokój był bowiem ciemny. Szersze otwarcie drzwi sprawiło, że jasna smuga wydobyła z mroku dalsze szczegóły: kapelusz, krótkie futerko, długą spódnicę oraz wysokie boty. Na podłodze leżała torebka, wytrącona najwidoczniej z ręki gwałtownym pchnięciem drzwi. Była otwarta, część jej zawartości rozsypała się. Przez pierwszą chwilę Zelmanowa stała nieruchomo. Naraz, jak gdyby

pod wpływem nagłego impulsu, uklękała. Pospiesznie wpychała porzucane przedmioty do środka.

- Podśluchiwałaś?! - ryknął Zelman.

I on również znalazł się obok. Jego twarz pociemniała, jasne brwi stały się niemal niewidoczne, czerwona, miedziana barwa doszła do linii włosów. - Nie byłeś u fryzjera, tylko podśluchiwałaś?

- Ależ skąd! - broniła się Zelmanowa. - Dopiero co przyszałam.

Z przestraczem w oczach wepchnęła, najwyraźniej rozczochrane, rudawe kosmyki włosów pod kapelusze. Zelman naciśnął kontakt. Zabłyśło światło.

Zelmanowa zebrała wszystko do torebki, podniosła się z klęczek i drobnymi kroczkami usiłowała wycofać się w głąb mieszkania. Wzrok Zelmiana zatrzymał ją jednak w miejscu.

- Właśnie chciałam... - wyjąkała - chciałam... - trudno jej było wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Nareszcie znalazła rozwiązanie. - Myślałam - zwróciła się wprost do Wanackiego, unikając wzrokiem swego męża - że może chciałby pan... tak - podjęła pewniejszym głosem - chciałby się pan widzieć z moim synem?

Rzuciła pierwsze lepsze pytanie, pierwsze lepsze wytłumaczenie, jakie jej przyszło do głowy, choć przecież wcale nie wiedziała o zamierzonej wizycie Wanackiego. Mogła go jednak zobaczyć, gdy wchodził do willi na Ateńskiej lub poznać jego samochód.

- No i... - ciągnęła desperacko dalej - chciałam pana zawiadomić, że syna nie ma. Wyjechał do Zakopanego, wróci dopiero za kilka dni.

Jeszcze jeden dziwny zbieg okoliczności - pomyślał Wanacki - wyjechał właśnie wtedy, kiedy zniknęła Jolka. A także Elżbieta.

- Szkoda - odrzekł. - Dawno wyjechał?

- Trzy dni temu. Na tydzień się wybrał, samochodem. - Z oczu nie znikają niespokojne błyski.

- Tak w trakcie roku akademickiego?

- Ma teraz krótką przerwę. Jego grupa pojechała na parę dni ćwiczeń wojskowych, a syn jest zwolniony ze Studium Wojskowego z powodu przebytej gruźlicy.

- Choruje?

- Chorował, i to ciężko. Nie zawsze powodziło się nam tak, jak teraz. A kiedy się nie dojada, bo matka nie może nastarczyć z jednej pensji, to i choroba łatwiej się przyplącze. Dostał grypy, później zapalenia płuc, wystarczyło.

Oparty niedbale o drzwi, Zelman przysłuchiwał się temu dialogowi pozornie nieuważnie.

- Zostawił adres?

- Adres? - zająknęła się Zelmanowa. - A po co panu?

- Sama się pani przecież domyśliła, że chcę się z nim zobaczyć.

Zupełnie niespodziewanie oczy Zelmanowej napełniły się łzami.

- Bo ja tak... - wyszeptła - ja tak właściwie... niechący. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pan mnie zastał w takiej sytuacji; było mi głupio... Nie znam adresu. Janusz też go nie znał, jak wyjeżdżał. Jechał na ślepo, powiedział, że dopiero na miejscu coś wynajmie.

Tam zawsze przed dworcem krążą różni ludzie i Janusz powiedział, że nie zginie. Zresztą zatelefonował później do mnie z poczty, że ma już kwaterę; mieszka u jakiegoś górala. Ale adresu nie podawał - bo i po co, jak wraca za parę dni?

W jej wzroku znowu pojawił się trwożny przestrach. Przypominała kwokę, trzęsącą się nad kurczęciem. Tylko że Janusz Balcerzak już dawno przestał być kurczęciem...

## *Rozdział 9*

**B**iałe volvo tkwiło nie opodal piaszczystej drogi, kołami zaryte w mech, maską wbite między karłowate choinki i akacje. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś rozpędził wóz i skręcił raptownie w las. Za samochodem zostały połamane gałęzie i pozrywane z ziemi płaty darni.

Wokół ponuro, ciemno i wilgotno. Wieczorem spadło Wprawdzie trochę mokrego śniegu, obecnie jednak topniał, zamieniając się w ciężką, brudną maź, uporczywie lgnącą razem z gliną i piachem do butów. Z gałęzi i igieł staczały się krople, padając bezgłośnie na ziemię. Od sosen biła woń wilgotnej kory; parze, unoszącej się wokół ludzkich ust, światło dodawało tęczowych obwódek.

Było to światło jaskrawe, zimnoniebieskie, jakby upierne. Tuż za jego zasięgiem czaiły się ciemne kształty samochodów.

Milicyjni technicy dopiero co zabrali się do pracy. Opryskiwali volvo oraz jego wnętrze chemikaliami, pozwalającymi utrwalić odciski palców. Na maskach samochodów leżały pootwierane walizki, z których co i raz ktoś brał potrzebne narzędzia lub aparat. W mchu i na piaszczystej drodze daremnie szukano odcisków stóp. Wieczorny śnieg, a po nim woda zmyły, zatarły ewentualne ślady.

Wanacki wynurzył się z mroku i, początkowo oślepiony blaskiem reflektorów, a także nadal błyskającymi fleszami, zajrzał jednak do środka.

Na tylnym siedzeniu leżał gruby, włochaty kapelusz, obok otwarta damska torebka oraz para rekawiczek, ich właścicielka miała piękną, znieruchomiałą twarz o martwych oczach. Głowa odchylona była do tyłu. Na szyi rysowała się głęboka, sina bruzda.



Wanacki pomyślał, iż jeszcze do wczoraj nawet nie wiedział, że Bożena Horn wróciła z zagranicy. Dopiero w nocy, kiedy zadzwonił telefon...

Słuchawkę podniosła Kamila - zawsze budziła się w takich wypadkach wcześniej i oddając mu ją, szepnęła:

- Stępień.

Już po pierwszym, gniewnym sapnięciu Wanacki zrozumiał, że jego szef jest w nie najlepszym humorze.

- Pokiłeś sprawę, co?

Krew uderzyła Wanackiemu do twarzy. Zrobiło mu się gorąco. Z ukosa popatrzył na Kamilę, sprawdzając, czy jest świadkiem chwili słabości, ale zanurzona w poduszkę głowa nie uniosła się ani na chwilę.

- Wysłałam ci wóz z kierowcą - podjął Stępień. - Przyjeżdżaj natychmiast! Czekam cię piękny pasztet! - dodał, nie wiadomo, czy bardziej z gniewem, czy z gryzącą ironią. - Bożena Horn, piosenkarka, mówi ci coś to nazwisko? - Nie czekał na odpowiedź. - Bo jeśli mówi, przyjmij do wiadomości, że nie żyje. A tak! Zamordowana, rozumiesz? Właśnie ją znaleziono. Za - mor - do - wa - na - przesyłabizował. - Udu-szona.

- Posłałście psa?

- Oczywiście, choć bez skutku. Doszedł do dworca. Na peronie stracił trop.

- Aha - rzekł bezmyślnie Wanacki. - No to już schodzę...

Ktoś zbliżył się cicho do samochodu. Wanacki nie usłyszał kroków, tylko głośny, sapiący oddech za plecami. Odwrócił się, rejestrując milczący wyrzut na czerwonej z wysiłku i zmęczenia twarzy Stępnia. Brudna od śniegu i piachu dłón

przetarła czoło, opadając zniechęconym ruchem w dół, ku głębokiej kieszeni w rozpiętej jesionce. Zmięta kula chusteczki podniosła się ku ustom, przetarła je kilka razy i powiała nad raptownie wyciągniętym ramieniem.

Na ten znak wynurzyło się z ciemności trzech ludzi. Dwóch z nich niosło nosze, trzeci prześcierało. Stępień otworzył drzwi samochodu i w chwilę później ciało Bożeny Horn stało się białym, podłużnym pakunkiem. Wymienił jeszcze kilka uwag z lekarzem, karetka ruszyła. Reflektory płonęły nadal.

Gdzieś poza nimi stał mały, brudny, zapijaczony człowieczek w przekrzywionym berecie. To on właśnie, wędrując nocą do domu z knajpy, poszedł na skróty przez las, by było szybciej, i wówczas odnalazł białe volvo z trupem w środku. Człowieczek nazywał się Marian Rybak. Od dziesięciu dni pracował w wytwórni pocztówek dźwiękowych Gizińskiego i Zelmana.

Niby w samym fakcie nie było nic zastanawiającego. Peryferie tej, dawniej typowo lotniskowej, podwarszawskiej miejscowości stanowiły region ubogi; z przegniłymi, drewnianymi „letniakami”, zamieszkanymi przez mężczyzn o zaciętych twarzach, pyskate kobiety i chmary dzieci. Dzień w dzień, gdy nawet jeszcze nie zaczęło świtać, ludzie ci pojawiali się na piaszczystych drogach, kilometrami ciągnąc przez las do stacji i zatłoczonych pociągów jadących do Warszawy. Wieczorem wszystko się powtarzało, tyle że w odwrotnym kierunku, że twarze naznaczone były zmęczeniem, ramiona opadały w dół pod ciężarem wyładowanych toreb i siatek z zakupami.

Taka była tutejsza rzeczywistość, w której egzystencja najmniejszego nawet, lecz dającego pracę na miejscu zakładu przyjmowana była z wdzięcznością, Giziński i Zelman wybrali więc teren bezbłędnie, unikając kłopotów, które

mają gdzie indziej inni i zapewniając sobie wszechstronne poparcie. Tych, którym na pracy zależało, a także tych, którym zależało, by tamci ją otrzymali.

Tak właśnie wyłuszczył to Wanackiemu chudy jak tyka komendant tutejszego komisariatu, ubrany w przepisowy płaszcz i czapkę, z ciemnym, nastroszonym niby szczoteczka, drgającym z przejęcia wąsikiem.

Miejsce, w którym odnaleziono białe volvo, było odległe od wytwórni pocztówek dźwiękowych oraz od willi Gizińskiego zaledwie o kilkaset metrów i znajdowało się przy sąsiedniej drodze - tej samej być może, w którą nie tak dawno wjechał, błędząc, Wanacki. Jasne światło reflektorów powodowało jednak, że teraz wszystko wyglądało inaczej.

Ekipy techniczne zakończyły pracę, pozostawiając po sobie przenikliwy zapach chemikaliów. Ulotnili się gdzieś lekarz oraz fotograf i tylko prokurator trwał niezamordowanie na posterunku.

Stępień wsunął się do wnętrza samochodu. Jego krępa, mała postać o szerokich ramionach zniknęła Wanackiemu z oczu.

W stacyjce tkwił kluczyk, wytarty z jakichkolwiek śladów. Gdzie indziej - na siedzeniach, na skrytce, na kierownicy i lewarku od biegów było ich wprawdzie mnóstwo, lecz Stępień powątpiewał, by którykolwiek z odcisków palców mógł należeć do mordercy. Pewne nadzieje wiązał natomiast z analizą mikrośladów. Ofiara musiała się chyba bronić. Na obcasach butów albo na płaszczu piosenkarki mogły tkwić włókna odzieży, za paznokciami - strzępki skóry albo włosy. A jeden tylko włos wystarczy, aby określić płeć i przypuszczalny wiek zabójcy.

Wanacki nie kwestionował wprawdzie znaczenia tych

badań, ale też ich nie przeceniał. Sam skłonny był raczej do przypisywania im pewnej roli dopiero w ostatniej fazie dochodzenia - to znaczy wówczas, kiedy się ma już sprawcę w rękę, lecz trzeba zebrać wystarczającą liczbę dowodów na to, by móc powiedzieć: „Ty - i tylko ty - pasujesz do nich idealnie”. Od tego etapu byli jednak jeszcze dość daleko.

Gestem ręki, zawisłej nagle w otwartym oknie, Stępień wskazał Wanackiemu tył auta. Wanacki posłusznie otworzył bagażnik i zamarł ze zdumienia. Wewnątrz, obok niedbale rzuconych narzędzi, leżała mocno wypchana skórzana teczka, zamknięta na kluczyk. Zamek odskoczył łatwo. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt ciasno ułożonych, plastikowych pudełek.

- Jest coś? - dobiegł Wanackiego głos Stępnia.

Wanacki podszedł, podał jedno z pudełek.

Stępień obrócił je w rękach i - ze sceptycznym skrzywieniem - spytał:

- Wszystkie takie same?

Wanacki wyjął kilka następnych.

- Wygląda, że tak.

Stępień oddał pudełka.

- Zwykle kasety do magnetofonów. Chyba oryginalne. I tak je musimy przegrać. Tylko czy coś to nam da? Mówi ci to coś? Masz jakąś koncepcję?

Wanacki w zadumie przyglądał się otwartej teczce.

- Bo ja wiem? - powiedział wreszcie. - Widocznie ona również, jak i tamci, troszczyła się o taśmy. Może przywiozła je ze sobą z zagranicy i zamierzała dostarczyć do zakładu? Po cóż inaczej woziłaby je w bagażniku? I w jakim celu pchałaby się w te strony? Ot, tak sobie, żeby się przejechać? Akurat tutaj? Chyba nie. Załóżmy więc, że jechała do wytwórni. Albo z wytwórni - wszystko jedno. Ktoś się z nią zabrał, skorzystał z samochodu. Ktoś, kogo nie tylko znała, ale i kto nie budził

żadnych podejrzeń. Poza tym musiał dobrze się orientować w tym terenie; wiedzieć, że część drogi prowadzi przez las.

- Koncepcja czy hipoteza? - spytał Stępień.

- To pierwsze. A wiesz, na czym oparta? Na tym, że Bożena Horn chciała mi powiedzieć coś ważnego i nie zdążyła. Może właśnie po to, by nie powiedziała zamordowano ją?

Wanacki zatrzasnął bagażnik i Stępień rozsiadł się na tylnym siedzeniu volvo. Poły jesionki opadały w dół, dłonie zanurzały się w otwartej torebce Bożeny Horn, wydobywając coraz to nowe przedmioty.

Dwa z nich zainteresowały go szczególnie. Mały kalendarzyk z notatkami oraz karteczka z pocztą, awizująca nadejście przesyłki polecanej dla Bożeny Horn.

## *Rozdział 10*

**W**illa Gizińskiego wyglądała jak uśpiona. Na dworze panowała ciemność i ciemne były również okna. Przez pół nocy Jan Giziński przewracał się z boku na bok, nie mogąc zmruzzyć oka. Gdzieś po lewej stronie klatki piersiowej pojawił się uporczywy, dławiący ciężar, który bardzo szybko przewędrował do gardła i tam już pozostał, skracając i utrudniając oddech.

Giziński bał się, że to serce. Niedawno zaczęło mu dukać, a ostatnie dni kosztowały go stanowczo zbyt wiele nerwów. W tym wieku człowiek powinien się oszczędzać.

W myśli przeklął Zelmę, od którego zaczęły się wszystkie kłopoty. Gdyby nie one, spałby teraz mocno, bez niespokojnych myśli, bez lęków i obaw, zlewających go na przemian nagłym gorącem i zimnym potem. Gdy wszystko już się

skończy, postara się wyjechać. Nie będzie wówczas bezsen-  
nych godzin. Obecnie jednak też należało się wziąć w karby  
zamiast bez oporów wydawać się na pastwę własnych słabości  
- serca i nerwów.

Po omacku sięgnął do szuflady szafki obok łóżka i, nawet  
nie popijając wodą, przełknął dwie małe tabletki.

Zapał po nich w sen ciężki, męczący i tak mocny, że mi-  
nąć musiało chyba dobre kilka minut, zanim wreszcie dosły-  
szał przenikliwy dźwięk dzwonka. Serce znów podskoczyło w  
ohydny sposób do gardła, zmuszając do gwałtownego otwo-  
rzenia ust. Giziński zakrztusił się raptownie wciągniętym po-  
wietrzem. Wstał z łóżka i dosłownie powłókł się z piętra w  
dół, w stronę drzwi. Zdławionym głosem zapytał:

- Kto tam?

Za drzwiami panowała cisza.

Dziwne - pomyślał - dlaczego Ben nie szczeka? Dlaczego  
nie szczeka?... Przed oknem przesunął się naraz jakiś cień.

- Kto tam? - powtórzył Giziński, czując dreszcz przera-  
żenia.

Ostrożnie podszedł do okna i - gwałtownie odskoczył. Bar-  
dziej podświadomie aniżeli zmysłami zarejestrował brzęk  
tłuczonyj szyby.

- Otwieraj! - powiedział czyjś nienaturalnie wysoki,  
prawie piskliwy głos. Jedynie z trudem Giziński poznał Horna.

Światło samochodowych reflektorów rozjaśniło na moment  
ciemną ulicę, omiotło drzewa, oparło się o dom, wydobyło z  
mroku zarys srebrnego świerka w ogrodzie, by wreszcie zga-  
snąć.

Janusz Balcerzak wysiadł z wozu. Renault było brudne

i zakurzone, jak gdyby miało za sobą długą trasę przez nie wiadomo jakie wertepy. Wyjmując walizkę, należało uważać, aby się nie pobrudzić. Równie ostrożnie Balcerzak chciał zamknąć bagażnik. Wieko stawiało jednak delikatny opór. Przyczyną była wcisnięta w róg bagażnika, wystająca parę centymetrów na zewnątrz gałązka - świeżo złamana, pokryta zielonymi igłami. Balcerzak wyjął ją i odrzucił gdzieś na bok. Później ujął twardą rączkę walizki. Otworzył furtkę, wszedł do środka.

Ogród powitał go cienką warstwą śniegu oraz znajomym zapachem mokrej, gnijącej trawy i rozrzuconą przez wiatr słomą z uszkodzonego chochoła. Ten widok zaskoczył go. Wiedział, iż matka pielęgnuje róże z nadzwyczajną starannością i trudno mu było wyobrazić sobie, ażeby mogła przejść obojętnie obok wyrządzonych im szkód.

A może - pomyślał nagle - w domu coś się stało? Coś niespodziewanego, o czym nie wiem? - Przyspieszył kroku.

Oświetlone przez daleką, migocącą latarnię okna willi na Ateńskiej połyskiwały żółtym odbłaskiem. Wewnątrz, za nimi, było cicho i ciemno. Balcerzak otworzył drzwi, bezszelestnie wsunął się do środka. Po ciemku ściągnął kurtkę, walizkę wepchnął w zagłębienie pod wieszakiem. Kiedy cofał rękę, natrafiła na chłodny, metalowy kształt. Pochylił się, później podniósł. W dłoni trzymał jakiś przedmiot. W tej pozycji uchwyciło, go zapalone raptownie światło. W otwartych drzwiach przedpokoju, ubrana w szlafrok narzucony na nocną koszulę i w ranne pantofle, stała Alina Zelmanowa. Miała suche, spękanne usta, podkrążone oczy i nienaturalnie zapadnięte policzki; wyglądała na chorą.

Podbiegła do syna, objęła go, uniosła jego twarz ku swojej.

- Jesteś! Nareszcie jesteś! - szepnęła. Jej ręce przesunęły się po grubych, szorstkich rękawach wełnianego swetra, dotarły do dłoni syna i - nagle się zatrzymały.

- Klucz - powiedziała zaskoczona. - Skąd masz ten klucz?

Telefon zadzwonił raz jeden, lecz mimo to Elżbieta natychmiast się obudziła. Wróciła wprawdzie dopiero co z krótkiego urlopu, jednakże jej stan fizyczny - jak sama fachowo oceniała - był nadal zły.

Podniosła słuchawkę. Doszedł ją, celowo ściszony, dziewczęcy głos. Poznała Jolkę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta.

- Dlaczego tak wcześnie?

- Bo właśnie wróciłam. Jeszcze nawet nie byłam w domu, dzwonię z automatu.

- No i co?

- No i... zrobiłam to!

- Wszystko dobrze poszło?

- Wspaniale!

- A... - zawahała się Elżbieta - jak z...

Jolka wpadła jej w pół słowa.

- Nawet nie było na to czasu! Zresztą - zadzwonię jeszcze raz, bo tu już ktoś czeka pod budką. Do widzenia!

Elżbieta powoli odłożyła słuchawkę. Teraz dopiero poczuła prawdziwe zmęczenie. Wróciła do łóżka i niemal natychmiast usnęła. Obudziła się dopiero po ósmej, zdecydowana mimo wszystko zadzwonić do Wanackiego.

Telefon w jego pokoju w komendzie niestety jednak nie odpowiadał.



Giziński spojrział w lustro; zobaczył w nim swoją zmęczoną z niewyspania twarz. Obrzmiałe powieki swędziały nieprzyjemnie, na policzkach pojawiły się czerwone plamy. Równie dobrze mogła to być reakcja po proszkach nasennych, jak i rezultat ostatnich, nerwowych godzin.

W tym samym lustrze ukazała się bowiem i inna twarz. Należała do niewysokiego, krępego człowieka o nieproporcjonalnie szerokich w stosunku do figury ramionach i nastroszonych, siwiejących włosach.

Giziński nie znał nazwiska tego mężczyzny, ale wizyta nie zaskoczyła go. Spodziewał się jej już przecież od paru godzin - od chwili, kiedy z ciemności doszło go gwałtowne ujadanie Bena, a za furtką pojawił się niechlujnie ubrany facet w przekrzywionym berecie. Pojawił się po to, ażeby zakomunikować coś ważnego.

W ten sposób Giziński miał trochę czasu, żeby ochłonąć i odpowiednio się przygotować. Wiedział więc od początku, o co chodzi, choć padło jedynie pytanie, kiedy po raz ostatni widział Bożenę Horn.

Odparł, że parę tygodni temu, jeszcze przed wyjazdem na występy do Wiednia, skąd otrzymał widokówkę z pozdrowieniami. O przybyciu Bożeny z zagranicy dowiedział się przypadkowo. Wczoraj rano zatelefonowała niespodziewanie, zapowiadając przyjazd do wytwórni. Miała dostarczyć kasety z nagraniami, kupione w Wiedniu.

Mężczyzna o nastroszonych włosach nie wtrącał dodatkowych pytań. Jedynie w chwilach przerw podnosił brwi, a ciemne oczy przenikliwie wpatrywały się w Gizińskiego.

- Czekałem na nią w wytwórni mniej więcej do ósmej - rzekł Giziński. - Ponieważ nie przyjechała, pomyślałem sobie, że wypadło jej coś niespodziewanego. Wróciłem do domu

i zadzwoniłem do niej, ale telefon nie odpowiadał.

- No, a Horn? Czy wiedział, że jego żona umówiła się z panem w wytwórni?

Giziński przejechał palcem po swędzącym policzku.

- Tak, wiedział.

Na twarzy tamtego mężczyzny odbił się przeblysłk zdziwienia. Zaraz jednak zmarszczone na chwilę czoło wygładziło się, brwi powróciły na dawne miejsce.

- Jest pan tego... - zawahał się - pewien?

- Tak. - Giziński zrobił duży wysiłek, ażeby potwierdzenie wyszło przekonująco. Bez zwłoki też kontynuował: - Widzi pan, odwiedził mnie dzisiaj w nocy. Spałem, nie mógł się mnie dobudzić. Niech pan spojrzy na tę rozbitą szybę - rzucił kamieniem! Zdenerwowany nie panował nad sobą, a poza tym kompletnie włany! Ledwie trzymał się na nogach! Powiedział, że Bożena zniknęła, nie ma jej w domu, pytał, czy nie wiem, gdzie jest. Czekał na nią dość długo, ale gdy jej nieobecność się przeciągała, wsiadł w samochód i przyjechał tutaj.

- W samochód? Po pijanemu?

Giziński stropił się.

- Prawdę mówiąc nie wiem. Wydawało mi się, że przyjechał samochodem. Wozu co prawda nie widziałem, ale od stacji kolejowej tu kawał drogi, a autobusy nocą nie kursują... Było późno, dobijał się. Zobaczyłem, w jakim jest stanie, wpuściłem go, a on zamiast zachować się jak człowiek, zaczął się ni stąd, ni zowąd awanturować. Najpierw oskarżał mnie o rzekomy romans z jego żoną, później przyczepił się do Alka Zelmana. Na koniec krzyknął, że wcale nie jest ani taki głupi, ani tak łatwowierny, jak myślimy i dalej już nie da się nabierać! Ot, pijany, zdenerwowany, plótt, co mu ślina na język przyniosła. Zacząłem go uspokajać, ale nic do niego nie docierało. W pewnym momencie wyjął z kieszeni jakieś pudełko

i zażądał, żebym je otworzył. Zrobiłem to i zobaczyłem przezroczysty, zielony kamień. „Poznajesz to?” - spytał, a kiedy odpowiedziałem, że nie mam pojęcia, o co chodzi, dziwnie się uśmiechnął i dodał, że to jest dowód zdrady Bożeny. I niech nikt nie robi z niego durnia, bo on dobrze wie, że jego żona musiała bywać w garsonierze Zelmana. Dopiero wtedy powiedział mi, że to kamień z broszki Bożeny i że go znalazł w pokoju na Hożej. Niby się zgadzało - Bożena rzeczywiście miała taką broszkę i czasem ją nosiła. Potem z wściekłością wyrwał mi pudełko z rąk i - nawet się nie żegnając - wybiegł.

- Nie poszedł pan za nim? - zapytał krępy mężczyzna. Czub zwichrzonych włosów opadł na czoło, więc go odsunął niecierpliwie.

- Nie. Horn to silny, żyłasty facet. Po co się miałem narażać? I tak już mi rozbił szybę.

- Więc nie wie pan, dokąd poszedł czy pojechał?

- Nie.

- Która to była godzina?

- Około pierwszej. Zaraz zresztą położyłem się spać.

- I spał pan aż do tej pory?

- Tak.

Giziński nie mógł przecież powiedzieć, że wcale się nie kładł, a zapadł jedynie w krótką, nerwową drzemkę, na siedząco. Nie mógł też powiedzieć o wizycie niechlujnego człowieka w przekrzywionym berecie. Nie mógł dopuścić do tego, ażeby ktokolwiek się zorientował, iż wie zbyt wiele...

- A po południu?

- Już mówiłem. Początkowo siedziałem w wytwórni, później w domu.

- Sam?

- Tak. Praca kończy się u nas o trzeciej, w domu nie ma nikogo; żona z córką wyjechały.

Krępy mężczyzna, który nawet nie zdjął płaszcza, a jedynie go rozpiął, podniósł się z krzesła.

- Jeszcze pana wezwiemy i wtedy złoży pan oficjalne zeznania - powiedział.

Gizinski zaryzykował pytanie.

- Coś się stało?

- Pojutrze przeczyta pan w gazetach. Ale czy to nie dziwne - dodał, nagle zatrzymując się w progu - że pan, panie Gizinski, nie wie, co zdarzyło się kilkaset metrów od pana domu?

Wczesnym rankiem zaczęto przesłuchiwać taśmy z bagażnika samochodu Bożeny Horn. Tymczasem Wanacki na próżno dobijał się do willi Hornów. Nikt nie otwierał. Spojrzał na zegarek i postanowił zostawić sobie jeszcze godzinę rezerwy. Przez ten czas zamierzał załatwić sprawę na poczcie.

Kierownik urzędu pocztowego, łysawy mężczyzna o kartoflowatym nosie i końskich, wystających zębach, istny okaz brzydoty, sam sprawdził wykaz przesyłek.

- Zdumiewające... - mruknął po chwili. - Awizo jest, ale przesyłki nie ma. No tak! - wykrzyknął nagle, wyraźnie uradowany. - Na poczcie - kartoflowaty nos dumnie uniósł się w górę - jak w banku, nic nie ginie! - Podsunął Wanackiemu wąski odcinek przekazu. - Widzi pan to pokwitowanie? - Nie dając popatrzyć, spiesznie chwycił przekaz, szybko i sprawnie włożył go w plik innych i skrupulatnie przypiął spinaczem. - Ta pani odebrała już przesyłkę.

- A awizo?

- Z awizem, proszę pana, inna historia. My, to znaczy poczta, wysyłamy jedno awizo, ale jak się klient nie zgłasza, posyłamy mu jeszcze drugie, czasem dalsze. Dopiero później przesyłkę odsyłamy do nadawcy. Ta pani musiała nam

widać przynieść ostatnie awizo, to natomiast, które mi pan pokazał, to pewnie jedno z poprzednich. Chyba jasne? - Uśmiechnął się z zadowoleniem, pokazując długie, końskie zęby. Wanacki wyciągnął rękę.

- Proszę wobec tego o pokwitowanie.

Kierownik urzędu zachnął się.

- O nie, proszę pana, na to musiałbym mieć specjalne zezwolenie Ministerstwa Łączności.

- Interesują mnie jedynie dwie sprawy: data podjęcia przesyłki oraz nazwisko i adres nadawcy.

- A, to co innego! - rozpromienił się. - Proszę bardzo!

Nazwisko nadawcy brzmiało: Marcin Dąbski, przesyłka została odebrana dopiero w dniu wczorajszym.

- Czy może pan jeszcze coś sprawdzić?

Kierownik nachylił się w czujnym oczekiwaniu.

- O której godzinie przesyłkę wydano?

- Chwileczkę, i to się da zrobić. Nie powiem panu co prawda dokładnie, ale mogę się zorientować, na której zmianie. Proszę chwilę poczekać.

Wrócił za moment.

- Przesyłkę wydano na drugiej zmianie, czyli między godziną czternastą a dwudziestą.

Wieczorem Bożena Horn już nie żyła, a nocą znaleziono w lesie jej białe volvo.

## ***Rozdział 11***

**D**ąbski jeszcze spał. Tak przynajmniej oznajmiła Wanackiemu matka dziennikarza, pełna godności mała, starsza pani o równie ciemnych jak jej syn włosach, resztkę dawnej urody.

- Syn wrócił dopiero nad ranem. W nocy nagrywał program w jakimś kabarecie, zdaje się, że na Starym Mieście,

i prosił, żeby go obudzić o dziesiątej, bo o wpół do dwunastej ma być w radiu. No, ale skoro pan... - wyszła nie kończąc i zostawiając Wanackiego w pokoju, którego ściany zdobiły reprodukcje kwiatów. Jedynie nad wąską leżanką, przykrytą wełnianym kocem w kratę, wisiała oprawiona w szkło fotografia mężczyzny o dużych, wyrazistych oczach i symetrycznie zarysowanych brwiach.

Moment samotności nie trwał długo. Dąbski pojawił się szybko, ubrany co prawda w wiśniowy płaszcz kąpielowy, narzucony na pasiastą piżamę, jednakże bez śladów niewyspania, a nawet w sztuczny sposób ożywiony. Niepokój i oczekiwanie widać było jedynie w oczach, podobnych jak dwie krople wody do tych, które Wanacki oglądał dopiero co na fotografii nad leżanką.

Przeszli obok, do znanego już Wanackiemu pokoju. Tutaj Wanacki zapytał:

- Gdzie pan był dzisiejszej nocy?

Dąbski ciężko usiadł na pościelonym już i przykrytym ple-dem tapczanie.

- Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli zapalę? A może pan także? - Wyciągnął paczkę papierosów.

- Nie, dziękuję. Więc słucham?

- W „Piwnicy” Wandy Warszawskiej na Starym Mieście. Nagrywałem tam jej piosenki.

- O której zaczął się program?

- O dziewiątej.

- A co pan robił przedtem, po południu?

- Byłem w radiu, później w domu na obiedzie. Przygotowywałem sprzęt do nagrań.

- O której pan wyszedł z domu?

- Zdaje się, że około szóstej.

- Po co tak wcześniej?

- O szóstej miałem odebrać bilet do „Piwnicy”, później

nie chciało mi się już wracać do domu, więc poszedłem się przejść.

- Gdzie?

Nieokreślone machnięcie ręką.

- Trochę powłóczyłem się po Starym Mieście, lubię tę dzielnicę, zszedłem też nad Wisłę. Nawet nie spostrzegłem, jak trzeba było wracać. O wpół do dziewiątej byłem już w „Piwnicy”. Musiałem przygotować wszystko do nagrań.

- Sam?

- Tak. Po cóż mi pomoc? To wcale nie takie skomplikowane. Jak się ma doświadczenie, wszystko idzie łatwo. Czy można jednak wiedzieć, po co panu te informacje?

- Owszem, można. Wczoraj została zamordowana pańska znajoma, Bożena Horn. Wydaje nam się, że mógł to zrobić ktoś z jej najbliższego otoczenia. Teraz pan już rozumie?

Dąbski zachłusnął się powietrzem. Tak mocno, iż wywołało to w Wanackim podejrzenie, że owa reakcja nie jest spontaniczna i naturalna. Dłoń z papierosem zawisła nieruchomo, popiół spadł na piżamę.

- I wy... - wyjąkał wreszcie - wy myślicie, że to ja?

- Co zawierała przesyłka, którą jej pan wysłał?

- Jaka przesyłka?

- Po co to panu? - rzekł Wanacki. - Przecież i tak mamy odcinek przekazu.

Dąbski nagle zrozumiał.

- Broszkę.

Teraz z kolei zdziwił się Wanacki. Tylko że on na pewno nie udawał.

- Broszkę?

Dąbski stopniowo przychodził do siebie, lecz chyba nadal rozważał jakieś skomplikowane problemy; wahał się, jaką podjąć decyzję.

- Nie mam nic do ukrywania - odrzekł wreszcie. - Nie rozumiem tylko, co to wszystko może mieć wspólnego z... - nie dokończył, urwał w pół zdania. - Odesłałem po prostu jej własną broszkę. Broszkę Bożeny Horn. Taką z zielonymi kamieniami, układającymi się we wzór kwiatu.

Widząc pytające spojrzenie Wanackiego, uzupełnił:

- Najdziwniejsze, że nawet nie wiem, skąd się u mnie wzięła. Po prostu pewnego dnia znalazłem ją, przyczepioną do podszewki marynarki.

- Więc jak się pan domyślił, że to akurat własność Bożeny Horn?

- Widziałem u niej tę broszkę kilka razy. Pamięta pan, opowiadałem panu o moim ostatnim spotkaniu z Bożeną... Było to w mieszkaniu na Hożej. Szamotaliśmy się wówczas trochę. Przypuszczam, że właśnie wtedy broszka musiała się odpiąć od jej sukienki i wbić igłą w podszewkę mojej marynarki. Ja tego nie poczułem, wróciłem do domu, powiesiłem marynarkę w szafie. Na tym właściwie koniec. Kiedy się zorientowałem, postanowiłem odesłać broszkę pocztą. Wie pan - ułożył usta w brzydki grymas - od tamtej pory wolałem nie mieć z Bożeną nic wspólnego... To wszystko.

Wanacki oderwał się od okna, przy którym stał dotąd.

- Proszę się ubrać.

Dąbski zbladł.

- Ja? Pan chce mnie...?

Nigdy nie należał zapewne do ludzi legitymujących się odwagą i opanowaniem, tym razem jednak głos zadrgał mu tak niebezpiecznie, iż Wanacki niemal serio zląkł się, że jeszcze chwila, a siedzący przed nim mężczyzna rozplącze się.

- Mam podobną broszkę u siebie, w komendzie, chciałbym, żeby pan ją zobaczył - wyjaśnił szybko.

Dąbski rzucił mu niedowierzające, lękliwe spojrzenie.



Nadal mu chyba nie ufał, podejrzewając podstęp. Wyjął ubranie z szafy. Wanacki dyskretnie odwrócił się znów do okna, a kiedy spojrział ponownie, Dąbski był gotów do wyjścia. Jedynie twarz nie odzyskała jeszcze naturalnego koloru, śniada zazwyczaj cera przybrała żółtawy odcień.

Kuląc się i garbiąc, jak gdyby od podmuchów zimna, Dąbski bardziej wsunął się, niż wsiadł do samochodu. Taki też - skulony i milczący - pozostał przez całą drogę.

Broszka powinna się znajdować na jednej z półek w panцерnej szafie. O ile jednak przedtem półka była zupełnie pusta, to teraz Wanacki ujrzał spiętrzony stos kopert z przedmiotami zabranymi niegdyś z kawalerki na Hożej, a odesłanymi niedawno z powrotem po badaniach kryminalistycznych.

Zniecierpliwionym ruchem zgarnął z biurka plik gazet, a odsuwając walizkową maszynę do pisania, zrobił miejsce dla rzeczy z szafy.

Dąbski obserwował te przygotowania z niepokojem, narastającym w miarę powiększania się stosu na biurku. Osiągnął on jednak swój punkt kulminacyjny na widok magnetofonu oraz pudełek z taśmami.

Wanacki nie mógł tego nie zauważyć. Przysunął sobie krzesło i zapytał:

- Zna pan to?

Na policzki Dąbskiego wypłynął ciemny rumieniec, nie wiadomo, czy podniecenia, czy też sygnalizujący kolejną fazę boju z własnymi nerwami. Podbródek przyłgnął gestem rezygnacji do miękkiej wełny swetra. Z nadal spuszczoną głową, unikając zetknięcia się własnych oczu z oczami Wanackiego, Dąbski apatycznie potwierdził.

- Magnetofon ma nawet moje inicjały. Jak się pan dobrze przyjrzy, z boku zobaczy pan wyskrobane litery: M.D. Taśmy

- podbródek powoli się unioś, by jednak po chwili powrócić do poprzedniej pozycji - też wypożyczyłem.

- Komu?

- Oczywiście - Urszuli. Urszuli Retmianiak.

Wanacki zakotłosał się na krześle. Rzeczywiście, tylko ślepy mógł nie zauważyć wydrapanych na obudowie magnetofonu inicjałów.

- Czyżby więc pan właśnie podyktował jej ów melodramatyczny tekst rozstania?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu oczy Dąbskiego zapłonęły żywszym blaskiem. Podniósł głos.

- Może mi pan wierzyć albo nie, ale ani nie układałem jej żadnych tekstów, ani też nie wiedziałem nic o Zelmanie. Chce pan poznać prawdę? - i zaczął wyrzucać z siebie szybko słowa niczym karabinowe kule.

- Nie ukrywam, że odkąd Urszula przysłała do radia, spodobała mi się. Może nawet więcej, niż spodobała... Tak - powtórzył - chyba więcej. Zaczęliśmy się spotykać. Wtedy właśnie postanowiłem zerwać znajomość z Bożeną Horn. O romansie Urszuli z Zelmanem nic oczywiście nie wiedziałem. Urszula sprawiała wprawdzie niekiedy dziwne wrażenie - wie pan, nieraz miałem uczucie, że chce mi coś powiedzieć, lecz w chwilę potem wydawało mi się, że to przywidzenie. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że coś takiego może w ogóle wchodzić w grę. W końcu była od niego młodsza pewnie ze dwadzieścia lat, poza tym przy jej urodzie... No i cóż w ogóle w nim widziała? Dotąd nie rozumiem. Chyba tylko jego pieniądze. Najzabawniejsze zaś, że całej prawdy dowiedziałem się dopiero od pana. - Głos opadł ton niżej. - Pewnego dnia poprosiła mnie o czystą, nie nagrany jeszcze taśmę i o pożyczanie magnetofonu. Powiedziała, że w jej rodzinie jest jakiś fenomenalnie uzdolniony muzycznie chłopak i chciałyby go

nagrać. Uwierzyłem. Po paru dniach przyszła ponownie. Tym razem chodziło jej o taśmy z jakimiś sentymentalnymi melodiami. Znów mówiła o rodzinie, teraz o czyjejs rocznicy ślubu. Zaproponowałem tanga - starsze pokolenie gustuje w takiej muzyce. Od razu się zgodziła.

- Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

- Bałem się - odrzekł szczerze Dąbski. Zaraz jednak poprawił się. - To znaczy nie chciałem być wmieszany w tę historię. Pan wie, jak to bywa. Ludzkie języki są bezlitosne. Zaczęłyby się pytania, dochodzenie, milicja w mojej pracy. Wszystko byłoby odpowiednio komentowane. W radiu zaraz byłbym spalony. U nas bardzo nie lubią takich rzeczy.

- No, a teraz? - zapytał Wanacki. Przeniósł krzesło za biurko, sam jednak stał.

- Teraz to co innego. Znalazłem się w sytuacji podbramkowej. Od razu wyczułem, że pan mi nie wierzy, a nawet więcej - że mnie pan podejrzewa. Może o to, że zabiłem Bożenę, a może również o to, że i Urszulę? Uznałem więc, że będzie chyba najlepiej, jeżeli powiem prawdę.

Stopniowo odzyskiwał utraconą na pewien czas układność ruchów oraz głosu. Znów stawał się taki, jak zwykle.

Wanacki nareszcie znalazł w szafie to, czego poprzednio szukał - broszkę.

- Poznaje pan?

Dąbski ściągnął usta. Odezwał się dopiero po chwili.

- To chyba właśnie ta broszka. W każdym razie identyczna z tą, którą odesłałem Bożenie. - Wyciągnął śniadą, wąską dłoń o długich palcach. - Można?

Wanacki podał klejnot. Dąbski przytrzymał broszkę przez moment przed oczami.

- A jednak istnieje pewna różnica. - W zakłopotaniu

potarł policzek. - Wydaje mi się, że kiedy ją odsyłałem, były w niej wszystkie bez wyjątku kamienie. Taak - przeciągnął, raz jeszcze przyglądając się broszce - żadnego wtedy nie brakowało...

Las budził się z nocnego snu i między gałęziami zaczynała się snuć szara, jeszcze mglista, lecz z każdą chwilą coraz bardziej przezroczysta poświata. Niemal niepostrzeżenie kontury drzew stawały się wyraźniejsze, jak obraz na fotografii zanurzonej w wywoływaczu.

Niebawem poświata rozviała się. Nastął ranek, choć niebo nad drzewami jakby nie reagowało na tę zmianę. Nadal, jak poprzednio, opadało nisko nad ziemią burą, jednolitą masą chmur.

Mężczyzna, pochylony nad kierownicą białego „malucha”, zdawał się nie dostrzegać tych zmian. Ślady przebytej drogi pokryły karoserię jego wozu ciemną warstwą błota. Zaszyty wśród drzew samochód, niewidoczny z drogi, przypominał odległą, ukrytą w gęstwinie wysepkę.

Wreszcie jednak kierowcy samochodu udało się przełamać stan owego półsnu, w którym tkwił przez kilka ostatnich godzin. Kiedy obecnie powracał do nich myślą, wątek wspomnień rwał się niczym zetłła nitka. Były więc niepełne, niekompletne, przy tym jedno ostre, wyraziste, drugie natomiast zblakłe jak nie z minionej nocy, ale sprzed paru lat.

Na pewno wyraźnie jawił się w pamięci moment decyzji. Chwila, w której, po raz nie wiadomo już który, sięgnął do pudełka z zielonym kamieniem. Następnie kilka, może kilkanaście, przecież nie liczył, kieliszków alkoholu i wlokące się w nieskończoność godziny oczekiwania.

To wszystko dało się jeszcze względnie łatwo odtworzyć.

Później następowało jednak w pamięci kilka istotnych luk. Hornowi trudno więc było na przykład odpowiedzieć na pytanie, o której godzinie wsiadł do swojego fiata i dokąd nim pojechał. A może po prostu podświadomie sam wyrzucił z pamięci ów moment i wszystko, co się zdarzyło potem?

Potem błąkał się przecież bez celu po lesie, to wjeżdżając, to wyjeżdżając z gmatwaniny ścieżek i piaszczystych dróg. Tak długo, aż natrafił na białe volvo...

Wanacki zapewne nie umiałby sobie odpowiedzieć na pytanie, po co ściągał Dąbskiego i dlaczego tak drobiazgowo zajął się, marginalną chyba i drobną, sprawą broszki z zielonych kamieni. Tłumaczyć to mógł jedynie rodzajem intuicji i niepokojącym go uczuciem nie wyjaśnionej zagadki.

Z tego, co ustalili dotąd, wynikałoby, że w grę wchodził nie jeden, ale dwa identyczne klejnoty. Pierwszym była broszka подарowana przez Zelmę Wierzbickiej, a pozbawiona jednego kamienia. Drugim - broszka, Odesłana Bożenie Horn przez Dąbskiego - ta, której dotychczas nie odnaleziono. Broszka Wierzbickiej w żadnym wypadku nie mogła być broszką piosenkarki. Pierwszą Wanacki miał u siebie już od paru dni, natomiast drugą Bożena Horn odebrała na pocztę tuż przed swą śmiercią.

Dlaczego jednak nie znaleziono broszki ani przy zwłokach, przy sukience czy płaszczu, ani w torebce? Może istniały po niej ślady, na przykład ślad po zahaczeniu przez igłę?

Wanacki połączył się z laboratorium. Obiecano mu wstępną odpowiedź za godzinę.

Wkrótce wezwał go Stępień po to, ażeby zrelacjonować rozmowę z Gizińskim. Wynikało z niej, iż piosenkarka raczej

nie wróciła już z poczty do domu. A więc? A więc powinna mieć przecież broszkę ze sobą. Z kolei, dzięki wyznaniom Horna, powtórzonym następnie Stępniewi przez Gizińskiego, znalazł się nagle brakujący zielony kamień. Jeśli nie wypadł z broszki Bożeny - a tak na pewno było - w grę wchodził jedynie podarunek Zelmana dla Wierzbickiej. Gdy jednak broszka, trafiła do rąk pani Marcjanny, kamienia już brakowało. Gdzie więc, kiedy i komu zaginął? Jak później trafił do Horna? Dlaczego mąż Bożeny przywiązywał do niego aż taką wagę? Tajemnicę mogli znać jedynie ci dwaj: Zelman lub Horn.

Wanacki spojrzął na zegarek. O wpół do pierwszej odezwało się laboratorium, informując, że w klapie płaszcza piosenkarki rzeczywiście zauważono ślady, mogące odpowiadać ukłuciom igły broszki. Materiał był tutaj częściowo wydarty, co by sugerowało, że broszkę gwałtownie wyszarpięto.

Ledwo Wanacki odłożył słuchawkę, telefon rozbrzmiał po raz drugi. Dzwoniła Elżbieta.

Dąbski wyszedł z komendy na miękkich, sflaczałych nogach, które go niosły niemal bez udziału woli, z bijącym nie-regularnie sercem.

Nawet nie zauważył, jak minął fontannę przed kinem, pomnik na placu Dzierżyńskiego i wysoko sklepioną bramę, prowadzącą do Ogrodu Saskiego.

O tej porze park był prawie pusty. Kilka kobiet z wózkami cierpliwie i z godnym podziwu poświęceniem okupowało wilgotne ławki, pozwalając, ażeby wiatr, którego w Warszawie nigdy, zwłaszcza zaś późną jesienią nie brakuje, wciskał się im za wysoko postawione kołnierze i zrzucał na czapki grudki śniegu z bezlistnych gałęzi. Gdzieś dalej zamykała szeroką perspektywę alei nieczynna obecnie fontanna.

Dąbski wybrał ławkę w pobliżu stawu, na oko najmniej wilgotną, a możliwie najbardziej ukrytą. Szedł i patrzył na ciemną, sfalowaną wodę. Przy brzegu stała drewniana buda dla łabędzi, jednakże łabędzi w niej nie było. Naprzeciw, na wzgórzu, kilkoro dzieci bawiło się w chowanego wokół Świątyni Sybilli.

Zapalił papierosa. Dopiero teraz poczuł zmęczenie. Ogarniało ciało falą bezwładu, który nie był jednak znuzeniem fizycznym, lecz psychicznym. Jakie szczęście, pomyślał, że nie nadeszło wcześniej, czyniąc go bezbronnym i wydanym na łup natarczywych pytań, którym nie umiałby sprostać. Dąbski często przydawał własnym słowom, a nawet myślom, pewnej patetycznej sztuczności.

Oparł się wygodniej, bez pośpiechu zaciągnął papierosem.

Jakie szczęście, że tematem rozmowy w komendzie stał się tylko magnetofon - nic więcej.

Bo przecież było coś więcej.

Była przede wszystkim znajomość z Bożeną Horn, od której zaczęła się cała historia i przez którą Dąbski wpakował się w nie lada tarapaty. Czyż jednak mógł przypuszczać, że ów banalny w istocie, podobny do wielu innych flirt, zakończy się w ten sposób? Że Giziński i Zelman postawią pewnego dnia kochanka piosenkarki przed dylematem: albo - albo. Albo im zacznie dostarczać z radia taśmy z najlepszymi, najnowszymi i najatrakcyjniejszymi nagraniami, taśmy, do których w innym wypadku nie mieliby dostępu, a które chcieli wykorzystywać do tłoczenia pocztówek dźwiękowych, albo mąż Bożeny - Leszek Horn - dowie się o wszystkim.

Dąbski nigdy nie zaliczał siebie do ludzi zbyt odważnych, a teraz naprawdę się wystraszył. Horna znał wprawdzie tylko przelotnie, jednakże to, co mówiono o tym patologicznym

zazdrośniku i co opowiadała czasem Bożena, zupełnie mu wystarczało. Zelman i Giziński nie szczędzili zresztą przekonujących argumentów. Radio stale otrzymywało przecież zagraniczne taśmy i płyty z atrakcyjnymi nagraniami. Kwestia „wypożyczenia” ich na jakiś czas chyba nie nastroczała specjalnych trudności. Tym bardziej Dąbskiemu, mającemu, z racji swych zawodowych zajęć, stały dostęp do nagrań.

A więc się zgodził. Za cenę taśm kupował sobie spokój.

Po kilku miesiącach męczącej w gruncie rzeczy znajomości z Bożeną poczuł jednak, że ma dość. Akurat przemysliwał nad sposobem zerwania, kiedy pojawiła się Urszula. Był to zwyczajny zbieg okoliczności - każda nowa dziewczyna mogła się stać pretekstem - ale ułatwił podjęcie decyzji.

Dąbski rozstał się więc z Bożeną, jednakże nie - choć bardzo chciał - z wytwórnią pocztówek dźwiękowych. Giziński i Zelman zagrozili mu, że jeśli zerwie współpracę, zawiadomią o wszystkim zwierzchników w radiu. No i nie było już wyboru.

Giziński dał to zresztą dość wyraźnie do zrozumienia. Kiedy, już po scysji z Bożeną w garsonierze na Hożej i po odesłaniu broszki, Dąbski zatelefonował do współwłaściciela wytwórni pocztówek dźwiękowych, zapowiadając rezygnację ze swej dotychczasowej roli, Giziński nawet nie chciał o tym słyszeć. „Wszyscy ciągniemy jeden wózek - rzekł wówczas - i jeden interes. Nikt się nie może wycofać”.

Tak więc Dąbski nadal „wypożyczał” taśmy i nadal też przekazywał je Gizińskiemu lub Zelmanowi. Służyła do tego celu specjalna teczka. Takich teczek zakupiono zresztą więcej. Identyczne, służyły do dostarczania i przechowywania taśm z nagraniami.



Dziennikarz walczył niekiedy z wewnętrznym pragnieniem, by wszystko wreszcie wyszło na jaw. Za każdym jednak razem, nawet mimo okazji, wycofywał się tchórzliwie, choć ze sprzecznymi wówczas uczuciami.

Teraz sytuacja się zmieniła. Zelman został wplątany w tajemniczą śmierć Urszuli, a Bożena nie żyła. Należało to wykorzystać.

Dąbski wypalił do końca papierosa i ruszył w stronę śródmieścia. Przeszedł obok domów towarowych „Centrum”, przez które nieprzerwanie przelewały się tłumy ludzi, zszedł do podziemnego przejścia na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Gdy się wynurzył znów na światło dzienne, pokropił go drobny, prawdziwie już chyba zimowy śnieg.

W poczekalni Dworca Śródmieście było natomiast ciepło i sucho. Dąbski sprawdził na rozkładzie jazdy, że do odjazdu właściwego pociągu zostało jeszcze prawie pół godziny. Poszedł do kiosku po gazetę i po papierosy. Niebawem zobaczył wagony, wtaczające się na stację.

Zadzwoił telefon i Stępień podniósł słuchawkę. Odezwał się komendant komisariatu z podwarszawskiej siedziby wytwórni pocztówek dźwiękowych, którego Stępień prosił poprzednio o sprawdzenie, czy Horn przyszedł do pracy. Horna jednak nikt tam nie widział. Nie pojawił się również w domu. Zniknął - a razem z nim również jego samochód.

Stępień rozmawiał krótko. Równie lakoniczna była treść radiotelegramu, który nadał niebawem do wszystkich milicyjnych jednostek: „Zatrzymać małego białego fiata 126 p, numer rejestracyjny WPA 05-25!”

## *Rozdział 12*

Mieszkanie Horna było nadal puste, a jego właściciel jakby się zapadł pod ziemię. Zostawił po sobie jedynie opróżnioną do połowy butelkę po koniaku, kilka ubrań w szafie oraz pustą teczkę, identyczną z tą, którą znaleziono w samochodzie Bożeny Horn.

Opuszczając willę na skarpie, Wanacki wrócił myślą do niedawnej rozmowy z Elżbietą.

Trudno było sobie wyobrazić gorszy zbieg okoliczności. Telefon zabrzmiał akurat w momencie, kiedy Wanacki, tym razem już kategorycznie, postanowił wyjść. Nadarzała się jednak okazja, ażeby zadać choć parę z wielu nie cierpiących zwłoki pytań. Na przykład: dlaczego Elżbieta poszła na pogrzeb Urszuli Retmianiak i po co kontaktowała się z Jolą?

- Wspaniale, że dzwonisz - rzucił więc szybko, ogarnięty sprzecznymi uczuciami. - Szukałem cię prawie cały zeszyły tydzień.

- Wiem - odparła Elżbieta. Głos miała zmęczony i brzmiała w nim nuta rezygnacji. - Mówiono mi w zakładzie. Nie było mnie w Warszawie - ciągnęła. - Wzięłam parę dni urlopu i wyjechałam razem z mamą do Ciechocinka. Odpoczęłam trochę, zostawiłam mamę na dłużej, no i wróciłam. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, jednakże Wanacki ją uprzedził.

- Nie gniewaj się, ale muszę coś wiedzieć...

Nie, nie tak - pomyślał - nie tak powinienem zacząć, nie sztywno i sucho. Jakoś inaczej. Ale pośpiech nie sprzyjał delikatności. Ani też nagła cisza w słuchawce. Rzucił więc po prostu:

- Skąd znasz Orłowską i po co spotkałaś się z nią na cmentarzu?

W tym samym momencie zdumiał się. Jego słuch wychwytał coś w rodzaju westchnienia ulgi. Potwierdziły ją i następne słowa.

- Więc wiedziałeś?

Cóż miał odrzec? Mruknął jedynie przytakująco. Zupełnie niespodziewanie Elżbieta roześmiała się.

- Brawo! - wykrzyknęła. - Jak zwykle na posterunku! Nawet przy okazji pogrzebów! - Nie dając mu dojść do słowa ani też nie pozwalając się odciąć, dodała: - Znakomicie! Skoro już wiesz, oszczędzi mi to zbędnych wyjaśnień.

Pamiętasz, jak kiedyś prosiłam cię o pomoc? Wtedy, w kawiarni, wkrótce po moim przyjeździe z zagranicy? Pamiętasz tę, wyśmianą wówczas przez ciebie, historię o dziewczynie, która się bała? Zbagatelizowałeś sprawę - no, no, nie protestuj, dobrze wiesz, że tak! Postanowiłam naprawić twój błąd. Niestety, było już za późno. Chcesz wiedzieć więcej? Dlaczego byłam na pogrzebie i po co spotkałam się z Jolką? Jeszcze się nie domyślasz, że tamta dziewczyna nazywała się Urszula Retmianiak? - Nie dając sobie przerwać, wyrzucała słowa z ulgą, a zarazem z osobliwym rodzajem gorzkiej satysfakcji. - Koleżanka Urszuli nazywa się Orłowska. Jej starsza siostra była ze mną na Akademii Medycznej. Słyszała o... - zająknęła się na krótki moment - o naszej znajomości i o tym, gdzie pracujesz, więc kiedy siostra zwierzyła się jej z kłopotów Urszuli, przysłała do mnie. Naturalnie nie wiedziała jeszcze wtedy zbyt wiele. Jola powiedziała jej jedynie, że dawna szkolna przyjaciółka, właśnie Urszula, wplątała się w skomplikowaną historię, z której nie tyle nawet nie potrafi, co boi się wycofać... Taki był początek. Po śmierci Urszuli dowiedziałam się od Joli reszty. Urszula poznała starszego od siebie i dość zamężnego mężczyznę, nazwiskiem Zelman. Zelman, powtarzam słowa Joli, przyrzekł Urszuli, że dla niej rozejdzie się

z żoną. Potem mieli się pobrać. Nie wiem, czy się wówczas zgodziła - Jola twierdzi, że najprawdopodobniej tak. Niebawem jednak sprawa się skomplikowała, ponieważ na horyzoncie pojawił się inny mężczyzna. Urszula postanowiła zerwać. Jednakże obawiała się reakcji ze strony Zelmiana.

Kiedy więc usłyszałam, że dziewczyna zginęła w dość zagadkowych okolicznościach, zaczęłam podejrzewać, że to nie był przypadek. Któż, jak nie przede wszystkim Zelman, mógł być weń zamieszany? Ponieważ już kiedyś zbagatelizowałam sprawę, postanowiłam nie zwracać się do ciebie po raz drugi - bo i po co, po to, żebyś mnie znów zbył jakimiś żarcikami? Zaczęłam działać na własną rękę. Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Dowiedziałam się, że Jola Orłowska - jak ci mówię, siostra mojej dawnej koleżanki z uczelni - przyjaźni się, może nawet więcej, z pasierbem Zelmiana, Januszem. Któż zaś, jeśli nie domownicy, wiedzą najwięcej o rodzinie? Poradziłam, a raczej namówiłam wręcz Jolę, ażeby wyciągnęła jak najwięcej informacji na temat Zelmiana od Janusza. Zgodziła się - wiedziała przecież, po co. Zgodziła się, mimo że początkowo oponowała: pokłóciła się ze swoim chłopakiem, prawie zerwali ze sobą. Po pogrzebie Urszuli zrobiła, za moją radą, pierwszy krok do zgody; zadzwoniła do Janusza. Niestety, z moich planów nic nie wyszło. Zamiast działać na serio, Jola wyjechała z najdroższym do Zakopanego. Pokpiła sprawę. No i...

- No i doszłaś nareszcie do wniosku, że - z braku innych możliwości - warto by się na koniec zwrócić do mnie?

- Czy chcesz, żebym się znowu obraziła? - zapytała Elżbieta i wcale nie zabrzmiało to jak żarcik.

Rozmyślając nad treścią rozmowy z Elżbietą, Wanacki wsiadł do samochodu zaparkowanego nie opodal willi Hornów i stamtąd pojechał do Centrali „Jubiler”. Wyszedł po godzinie z informacjami na temat broszki z zielonych kamieni. Bizuterię tego typu „Jubiler” sprowadzał kiedyś z Włoch. W Warszawie dostarczono ją do trzech zaledwie sklepów. Mimo wysokiej ceny, rozeszła się szybko.

Zadowolony z siebie Wanacki ruszył, kierując się w stronę ulicy Ateńskiej.

Dąbski wysiadł z pociągu w rażniejszym już nastroju aniżeli ten, w jakim znajdował się przed godziną. Przeżywał nawet pewien stan napięcia i oczekiwania, a wszystko wydawało mu się łatwe i proste.

Droga, początkowo szeroka i wyasfaltowana, zwęziła się i - równocześnie z ostatnimi metrami asfaltu - zagłębiła w las. Wszedł w szpaler pokrytych śniegiem drzew, z dziecinną niemal radością strącając z gałęzi biały puch. Dopiero tutaj, a nie w zabłoconym, szarym mieście można było zobaczyć zbliżającą się zimę.

Czar prysnął, kiedy zza drzew wyłoniły się brzydkie, bure budynki, a droga, dotąd pokryta śniegiem, poczerniała od rozdeptanego i rozjeżdżonego błota. W zimowej scenerii wytwórnia pocztówek oraz dom Gizińskiego wyglądały jeszcze gorzej niż przedtem.

Dąbski stanął przed bramą i ze zdumieniem stwierdził, że jest zamknięta. Dopiero wtedy spojrzał po raz pierwszy od dłuższego czasu na zegarek i zaklął. Zaabsorbowany własnymi myślami, nawet nie zauważył, że nadeszło popołudnie. Było po trzeciej, wytwórnia wyglądała na opustoszałą.

Z baraku wyłonił się człowiek w grubej baranicy, z głową ledwie widoczną spod głęboko nasuniętej na oczy pilotki z

nausznikami. Wyglądał jak stróż i był nim rzeczywiście.

- Pan... czego? - zapytał mało przyjaźnie. - Nie widzi pan, że już zamknięte? Czego się pan tu kręci?

Dąbski cofnął się. Stróż obserwował go ze wzrastającą podejrzliwością i wyraźną niechęcią.

- No, kogo pan szuka? - Teraz w głosie zabrzmiała już groźbą.

- Pana Gizińskiego.

- Nie było go dzisiaj - burknął stróż. Wyglądało na to, że jest człowiekiem mruklwym i dość ma całego dyskursu.

- A w domu? - nie ustępował Dąbski.

- W domu też go nie ma. Wyjechał. Sam widziałem, jak wynosił walizki. Pan Zelman też pojechał do siebie. Jutro niech pan przyjdzie - poradził - najlepiej z samego rana.

Dąbski nie chciał jednak czekać do jutra. Jeśli już zdobył się na tyle odwagi, ażeby tu przyjechać, musiał załatwić sprawę dziś. Tylko dziś.

Niechętnie i z ociąganiem ruszył w drogę powrotną. Kiedy przyjechał do Warszawy, było zupełnie ciemno, a oświetlone ulice robiły wrażenie jedynie pojedynczych wyrw w plastrze mroku.

Dąbski zaczął szukać taksówki, która by go zawiozła na Ateńską.

Janusz wszedł do pokoju matki. Zelmanowa siedziała nieruchomo na tapczanie, tępo wpatrzona w okno, za którym panował zmierzch.

- Mamo! Ty znowu? Tak dalej nie można! Słyszysz? Nie można!

Ujął jej dłoń. Była sucha, gorąca, pod zwiotczałą skórą wyczuwało się pojedyncze kości. Słabe światło nocnej lampki

tuszowało wprawdzie spustoszenia, poczynione w wyglądzie Aliny Zelman przez ostatnie dni, ale i ono nie zasłaniało wychudłej, obwisłej szyi oraz nowych zmarszczek na postarzałej raptownie twarzy.

Uniosła głowę, oczy spotkały się z oczami syna. Czy czytały w nich to, co chciały odnaleźć?

- Tak - odparła cicho po chwili - masz rację. Na pewno. Ale co mam robić? Słyszysz: co mam właściwie robić?

- Mamo - rzekł z decyzją w głosie, bo przecież z nią tu przyszedł - musisz wyjechać. - Podniósł rękę. - Nie, nie protestuj. To już postanowione - i załatwione. Musisz wypocząć. Co najmniej miesiąc. Może nawet dłużej? Może parę miesięcy?

Spojrzała na niego z ukosa, podejrzliwie.

- Chcesz się mnie pozbyć? Tak?

- Chyba żartujesz! Ja - ciebie? Pozbyć się? Jak możesz tak mówić? Zawsze byłeś - i będziesz - dla mnie wszystkim.

Odetchnęła z ulgą.

- A... Zelman? - zapytała po chwili z wahaniem. - A twój ojczym?

- On? Nie martw się, też załatwię. Zdaj się całkowicie na mnie. Ale to dalsza sprawa. Teraz spakuj się. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy, resztę ci ewentualnie doślę.

- Gdzie? Gdzie mi doślesz? Co też takiego wymyśliłeś? - W jej głosie zabrzmiała autentyczna ciekawość.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Janusz uśmiechnął się. Matka rzeczywiście była dla niego wszystkim, tak jak on dla niej.

- Niespodzianka - odrzekł, zawsze, niezależnie od okoliczności, żartobliwie. - Ale na pewno będziesz zadowolona. Przrzekam ci. A ty mi też musisz coś przrzec.

- No?  
- Że będziesz się starała zapomnieć.  
- Postaram się. Postaram - powtórzyła szeptem. Wstała. -  
Za pół godziny będę gotowa.

- Świetnie! Pójdę przygotować wóz do drogi.  
Wychodząc z pokoju, usiłował trzymać się prosto, lecz tuż za progiem, gdzie już go nikt nie widział, przygarbił się i pochylił.

Ulica była prawie pusta. Od Wału Miedzeszyńskiego nadeszła wprawdzie para przechodniów, ale i ona zaraz zniknęła. Wilgotny podmuch od Wisły przynosił zapach wody. W ciemności jarzyły się światła okien.

Skręcając w stronę Ateńskiej, Wanacki minął się z jakimś samochodem. Przez moment wydawało mu się, że to renówka Balcerzaka, nie był jednakże pewien. Tamten wóz zresztą szybko zniknął z oczu.

W willi Zelmanów na Ateńskiej paliło się światło tylko w oknie na pierwszym piętrze. W żółtawym prostokącie, rzucającym przez nie na ogród, stał uszkodzony słomiany chochoł.

Wanacki zadzwonił i rozejrzał się. Spostrzegł zwykle zamknięte, teraz natomiast otwarte, drzwi do garażu. Przypomniał sobie niedawno mijany samochód.

Czyżbym się nie mylił? - pomyślał. - Balcerzak? Czy to on teraz gdzieś wyjeżdżał? Na dodatek aż w takim pośpiechu, że nawet nie zamknął garażu?

W otwartych drzwiach domu stanął Zelman.

- Proszę - przywitał Wanackiego - czekałem na pana.

Horn czekał, aż nadejdzie noc, a wraz z nią zupełna ciemność. Drzemiąc, przeżywał wciąż ten sam męczący sen. Śnił,



że idzie przez ogród ze słomianym chochołem i srebrnym świerkiem. Że wieje wiatr, a chochoł drga, rusza się niby ktoś żyjący, rozrzuca wokół pokruszoną słomę. Któreś ze źdźbeł ukuło Horna w dłoń, jakby przynaglając do działania. Dłoń powędrowała wówczas pod płaszcz, odnajdując w fałdach znajomą, szorstką, drewnianą rękojeść. Była to strażacka siekiera. Horn zabrał ją z podwórza wytwórni pocztówek dźwiękowych, gdzie przedtem wisiła. Zabrał, przez nikogo nie zauważony, nad ranem, wykorzystując moment, w którym każdego człowieka, więc także i strażnika, morzy zmęczenie.

Sen trwał nadal. Horn ruszył naprzód, z każdym krokiem zbliżał się do drzwi, za nimi zaś znajdował się ten, którego powinien zabić. Nacisnął dzwonek...

W tym momencie obudził się we własnym samochodzie, w ciemnym lesie, zeszywniały od chłodu i niewygodnej pozycji, drżący z zimna, głodny, ponieważ od wczorajszego popołudnia nie miał nic w ustach.

Obliznął spierzchnięte wargi. Po wypiciu takiej ilości alkoholu, jaką wlał w siebie, męczyło go pragnienie. Opuścił szymbę, wyrzwał. Dzień już na dobre minął. Niebawem nadejdzie właściwa pora do działania.

Sięgnął ręką za siebie. W dole, pomiędzy tylnym a przednim siedzeniem, leżała rzeczywiście duża, strażacka siekiera. Narzędzie, które naprawdę skradł z podwórka wytwórni pocztówek dźwiękowych.

W przedpokoju, jak i na dworze, było ciemno, więc kiedy rozblęsnęło światło, Wanacki instynktownie zmrużył oczy. Zelman przyglądał się mu nieprzyjemnie lustrującym wzrokiem.

- Czekałem na pana - powtórzył i pierwszy zaczął wchodzić na górę.

Dom wydawał się pusty, a kiedy ciężkie drzwi odcięły pokój Zelmiana od reszty willi, Wanacki poczuł się trochę jak w pułapce.

Na biurku stał ekspres do kawy i ładne porcelanowe filiżanki. Więc Zelman rzeczywiście spodziewał się odwiedzin...

Gospodarz napełnił dwa pękate kieliszki.

- Nie mam alibi - powiedział nagle. - Nikt nie może potwierdzić, że byłem tutaj, w swoim domu, przez całą noc. Żona wróciła późno, mój pasierb jeszcze później. Mogłem sto razy wyjść, zabić Bożenę i znów przyjechać na Ateńską. - Z wolna podniósł w górę kieliszek, przyglądając się jego zawartości. - Zgadza się, co? - Przytknął kieliszek do warg, pozwalając, ażeby koniak spłynął drobnymi łykami do gardła. - Taak - przeciągnął. - No więc ma mnie pan wreszcie... - Postawił kieliszek na biurku i rzucił z niespodziewanym ożywieniem: - Myśli pan, że i sądowi to wystarczy?

- Zastanawiam się - rzekł Wanacki - dlaczego pan to robi? A może - dla kogo?

Zelman zmrużył oczy.

- Jak to? Powinno pana chyba tylko cieszyć, że idę panu na rękę, do tego sam, z własnej, nieprzymuszonej woli... W końcu ustawił mnie pan w roli mordercy już chyba dość dawno, marzył, żeby mnie w końcu przymknąć. Więc - na co pan jeszcze czeka?

- Na motyw - odparł Wanacki. - Na motyw, rozumie pan?

Zelman rozłożył ręce.

- Tu panu niestety nie pomogę. Urszulę mogłem zabić z... - zawahał się - no, na przykład z zazdrości. Dlaczego jednak miałbym zabijać Bożenę? Poza tym - uduszenie... To naprawdę nie w moim stylu. Nie uważa pan, że stać by mnie było na coś lepszego, bardziej oryginalnego?

Wanacki pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Właśnie - powiedział - i ja tak myślałem. Ale... Skąd pan wie, że została uduszona?

Zelman skrzywił usta w grymasie, który miał imitować po-  
błażliwy uśmiech.

- Tajemnica poliszynela. W całej wytwórni nie mówiono  
dziś o niczym innym. Poza tym w nocy telefonował do mnie  
Giziński. Wiem od niego.

- Ach, Giziński...

- Tak. W nocy przyszedł do niego jeden z pracowników  
naszej wytwórni, nazwiskiem Rybak...

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Nie, Giziński prosił mnie tylko, żebym przez parę dni  
sam zajął się firmą, ponieważ musi wyjechać po żonę i córkę.

- Co dalej?

- Nic. Na tym rozmowa się skończyła. Ani on, ani ja nie  
mieliśmy zresztą ochoty jej przeciągać. Sam pan chyba rozu-  
mie, w takich okolicznościach. W końcu Bożena...

Nie dokończył. Podjął dopiero po chwili.

- Od tej pory czekałem na pana. Najpierw w wytwórni,  
później tutaj, w domu. Wiedziałem, że kto jak kto, ale pan się  
na pewno zjawi. Jedno mnie tylko trochę dziwiło: że pan się  
spóźnia. Myślałem, że przede wszystkim przyjdzie pan do  
mnie, a raczej - po mnie.

W ostatecznym rozrachunku jednak nie zawiodły mnie ra-  
chuby, prawda? Żeby tak jeszcze motyw się znalazł... Cóż -  
westchnął z ironią - nie każdemu dane jest przeżywać pełnię  
szczęścia. Procesy poszlakowe podobno są najciekawsze.

Wanacki nie rozumiał Zelmana. Co sprawiło, że naraz stał  
się zupełnie innym człowiekiem, innym niż ten, którego znał  
poprzednio? Skąd wzięły się obecna pewność siebie, ironiczny  
dystans? Czyżby śmierć Bożeny Horn spowodowała,

że poczuł się nagle w jakiś sposób wyzwolony?

Przetarł ręką czoło. Jakie szczęście, że wypił znów trochę kawy, która odpędziła natrętną senność. Wyjął z kieszeni plastikowy woreczek z broszką, wypożyczoną od Marcjanny Wierzbickiej.

- Poznaje pan?

Na błądych dotąd policzkach Zelmana pojawiły się czerwone plamy.

- To broszka Bożeny - odrzekł po chwili. - Podarowałem jej kiedyś ten klejnocik. Było to wprawdzie na krótko przed naszym, no... rozstaniem, ale i potem widziałem go nieraz u niej.

- To nie jest broszka Bożeny Horn.

- Jak to? Więc czyja?

- Niechże pan nie udaje! Sam pan ją podarował właścicielce kawalerki na Hożej, Wierzbickiej.

Zelman uniósł w górę dłoń. Długie, chude palce machinalnie przygładziły włosy.

- A, rzeczywiście. Na śmierć zapomniałem! Czy to zresztą aż takie ważne?

- Ważne.

- W takim razie niechże pan pozwoli przyjrzeć się dokładniej, zaraz powiem, czy to ta sama broszka.

- Ta sama - rzekł z przekonaniem Zelman.

- Po czym pan poznał, skoro identyczną ofiarował pan Bożenie Horn?

- Po kamieniu... W broszce, którą dostała ode mnie pani Marcjanna Wierzbicka, brakowało jednego zielonego kamienia.

- Kiedy panu zginął? - zapytał szybko Wanacki.

- Mnie? Czy ja powiedziałem, że to moja broszka?

Horn uruchomił wreszcie wóz. Zimny silnik nie chciał zapalić. Horn męczył się ze starterem w ponurym przekonaniu, że jeśli tak dalej pąjdzie, spali stacyjkę.

Nareszcie silnik zaskoczył. Samochód z wolna wycofał się spośród krzaków i leśnym traktem ruszył w kierunku Warszawy. Horn znał nie tylko główną szosę, lecz także i boczną, rzadko uczęszczaną, bo bardzo złą drogę. Dawała ona jednak względny procent pewności, że nikt go nie zatrzyma. Później zaś... Później będzie mu już wszystko jedno...

Reflektory oświetlały ciemną ścianę lasu. Z każdym obrotem kół Horn zbliżał się do celu.

- Jak to nie pana? - zapytał Wanacki. - Więc niby... czyja?

- Głupia historia - odparł Zelman - lecz wtedy była akurat niedziela, sklepy zamknięte. Mnie zaś zależało, żeby szybko odzyskać zgubę. Na poniedziałek planowaliśmy w wytwórni nagrania z taśm znajdujących się w tamtej właśnie, najpierw zgubionej, potem odnalezionej teczce.

- No, a że zobaczył pan gdzieś przypadkowo broszkę... Może leżała na wierzchu, łatwo wpadła w oko.

- Nie. Po prostu odpiąłem ją od płaszcza Aliny, wiszącego w przedpokoju.

- Rozumiem. Idealnie wprost pasowała na okolicznościowy podarunek?

- Właśnie. Prawdę mówiąc, początkowo nawet się zastanawiałem, czy dobrze robię. Później jednak zobaczyłem, że klejnot jest uszkodzony. We wzorze, składającym się na kwiat, brakowało jednego kamienia. Nie było to poważne uszkodzenie, lecz jednak rzucało się w oczy. Pomyślałem sobie, że chyba Alina się nie pogniewa, bo kupię jej nową, ładniejszą broszkę.

- Nic pan jej nie powiedział?
- Nie. Ale i tak zauważyła.
- Jak zareagowała?
- Zdumiewająco. W każdym razie dla mnie. Była okropnie zdenerwowana i przejęta. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem jej w podobnym stanie. Gdybym choć przez moment przypuszczał, że tak jest przywiązana do tego świecidełka... nigdy bym go jej nie zabierał. Skąd jednak mogłem wiedzieć? Widząc taką reakcję, nie powiedziałem jej oczywiście ani słowa.

No tak - pomyślał Wanacki - teraz już mniej więcej jasne.

- Żona, zdaje się, nie dysponowała kluczem do mieszkania na Hożej? - zapytał pozornie lekkim tonem.

Zelman zaniepokoił się.

- Nie sugeruje pan chyba, że... Alina? Nie, to niemożliwe! Chociaż... Rzeczywiście, zdarzył się taki jeden dzień... opowiadałem panu zresztą... Zapomniałem wówczas kluczy od mojego pokoju. Tymczasem klucz od kawalerki zawsze leżał w szufladzie biurka. Miał charakterystyczny kształt i ciekawą plakietkę w kształcie smoka, po to, ażeby go łatwiej odróżnić od innych. Może Alina jakoś wtedy na niego natrafiła? Ale cóż z tego? Jeśli nawet tak, to przecież ani nie wiedziała, do czego służy, ani też go nie wzięła. Kiedy otworzyłem biurko, leżał na swoim miejscu.

- Mogła sporządzić odcisk - w glinie, plastelinie, nawet w cieście, jak pan woli. A później zrobić odlew u ślusarza.

- Nie, niemożliwe - powtórzył Zelman. - Nie znała adresu. Pan myśli, że ona... Przecież jej nic nie mówiłem! Nic nie wiedziała.

- Może się dowiedziała... od kogoś znajomego? Ten ktoś powiedział jej, do czego służą klucze oraz kawalerka. Poszła tam i wtedy - lub później - zgubiła kamień z broszki. Horn,

który go znalazł, zapewne sądził, że pochodzi on z broszki Bożeny, oba klejnoty były przecież identyczne. Pewien był więc, że jego żona bywała na Hożej. Oczywiście nie sama, lecz z kimś. Z panem.

- Ze mną?
- Tak się zapewne wydawało Hornowi.
- Wreszcie rozumiem - rzekł Zelman. - Zastawił na nią pułapkę w postaci zepsutej lampy, a potem, kiedy się nie udało, zadusił ją w jej własnym samochodzie. Oto, do czego prowadzi zazdrość. Wolał, żeby nie żyła, niż by miała go zdradzać. Co za idiota!

Wanacki wstał.

- No cóż - rzekł - warto by chyba teraz zamienić kilka słów z pańską żoną. Zobaczymy, co powie.

- Powinna być w swoim pokoju. Mówiła, że chce się trochę położyć i żebym jej nie przeszkadzał. Alina! - zawołał - Alina!

Dom stał cichy, nikt nie odpowiadał.

Horn dotarł na Ateńską od strony Wału Miedzeszyńskiego. Wsiadł z samochodu i od razu dmuchnął mu w twarz zimny wiatr. Na ulicy panowała ciemność, nie paliła się ani jedna latarnia. Horn zostawił samochód przy krawężniku i ruszył piechotą w stronę willi Zelmana. Szedł z gołą głową, z kołnierzem wysoko postawionym, z siekierą pod płaszczem.

Targany podmuchami wiatru, zbliżał się powoli do celu.

Rajdowa renówka wydostała się poza szerokie pasmo światła, zjeżdżając w bok, do stacji benzynowej, nie opodal wąskiego lasku.

Balcerzak zatrzymał wóz, kazał nalać benzyny do pełna.

Gdy płacił, młody chłopak w niebieskim kombinezonie uporał się już z myciem zabłoconych szyb i posłał pasażerze samochodu życzliwy uśmiech.

W chwilę później odwrócił się, rozczarowany. Kobieta w ogóle nie zareagowała na przyjazny uśmiech. Jedyne duża broszka, przypięta do klapy jej płaszcza, zamigotała w mocnym świetle jarzeniówki odbłaskiem zielonych kamieni.

Zelmanowa nie zmieniła pozycji również wtedy, kiedy samochód ruszył. Dopiero gdy szosa się zwężyła, a miejsce miejskich bloków zajęły małe domki, następnie ciemne pola, zapytała:

- Nad morze?

Janusz obdarzył matkę uspokajającym spojrzeniem.

- Tak. O tej porze najłatwiej tam o lokum. Ludzi nie ma, więc będziesz mogła wypocząć. Poza tym...

Natychmiast podchwyciła.

- Co poza tym...?

- Mam tam znajomych. Dobrych znajomych - podkreślił.

- Może właśnie przez nich będzie można coś załatwić...

- O co ci chodzi? - W jej głosie zabrzmiało zaniepokojenie.

Na ustach chłopaka ukazał się uśmiech, ledwie widoczny w ciemności.

- Co byś tak powiedziała na przykład o Szwecji?

- Jak to?

- Zwyczajnie. Nie wiesz, że istnieją różne sposoby? Za pieniądze wiele można załatwić. Bardzo wiele.

- Wiem - odpowiedziała cicho.

- No więc właśnie. Ile wzięłaś?

- Wszystko, co było w domu. Poza tym całą biżuterię i książeczki PKO.

- Znakomicie - pochwalił. - Pieniądze są teraz dla nas



najważniejsze. Im więcej, tym większa szansa, że się załatwi.

- Mówisz poważnie?
- Najzupełniej.

Uspokajającym gestem położył dłoń na jej ramieniu. Później ponownie wrócił do kierownicy. Droga stawała się nieprzyjemnie śliska, spod kół przyskały grudy błota. Widoczność była coraz gorsza, a na dodatek znad Wisły zaczynała ciągnąć mgła, atakująca szosę nieprzejrzyistymi, wilgotnymi kłębamii.

Balcerzak spojrział na zegarek. Robiło się późno, a być może - czas się już teraz zaczynał liczyć.

Z mgły wyłaniały się coraz to nowe reflektory samochodów, jadących z naprzeciwna...

Most wydawał się stąd daleki i nierealny, zawieszony nad wodą i mgłą tylko przysłaniającymi latarni oraz pełzającymi ognikami samochodów, układających się w płynącą nieprzerwanie falę.

Tutaj, na Wale Miedzeszyńskim, ruch był niewielki, auta pojawiały się jedynie od czasu do czasu, znikając tak samo szybko, jak szybko ciemność wyrzuciła je z siebie na krótki moment.

Stukot podbitych blaszkami własnych butów wydawał się dzielnicowemu Osińskiemu dudniącym nieprzyjemnie, drażniącym uszy hałasem. Starał się stąpać jak najciszej, lecz mimo to chodnik odbijał z łoskotem każdy krok.

Skręcił z wału w Ateńską, która schodziła stąd nieco w dół. Pewnie dlatego mgła znad rzeki była tu gęstsza niż na wale. Większa też ciemność, gdyż nie wiadomo dlaczego, nie paliły się latarnie.

Osiński wyjął z kieszeni latarkę. Szedł z nią już jakiś czas, oświetlając sobie drogę, gdy nagle natrafił na małego białego

fiata z mokotowską rejestracją. Stał nie opodal jednego z ogrodów, zbyt wysunięty na jezdnię. Osiński podszedł bliżej. Numer rejestracyjny auta wydał mu się znajomy.

- WPA 05-25 - mruknął pod nosem. Pospiesznie wyciągnął notes, w którym zapisał niedawne służbowe polecenie - z tym samym właśnie numerem samochodu. Przez krótkofalówkę wywołał komendę...

Pokój Aliny przywitał ich nieładem porzrzuconych rzeczy.

- Nie rozumiem - zdziwił się Zelman. - Wygląda, jakby...

- Wyjechała?

- Mhm. - Na czole Zelmana pojawiła się poprzeczna zmarszczka. - Ale dlaczego? I z kim? Nie miała przecież pieniędzy, a temu gówniarzowi (przepraszam, że mówię tak o swoim pasierbie, ale to naprawdę nic dobrego), raz tylko udało się ostatnio nabrać mnie na forszę. Wie pan - rzekł z nagłym ożywieniem - za co zapłaciłem? Wstyd powiedzieć, ale za wiadomość, że Urszula... No tak, pan zresztą pewnie i tak już wie, że ona i ten szczeniak Dąbski... Za moimi plecami... Więc zapłaciłem właśnie za to. Dowiedział się od swojej dziewczyny i powtórzył mnie. Inna rzecz, że... nie żałuję. Po śmierci Urszuli byłem zupełnie zeszmącony. Śmieszne, ale pomógł mi w ten sposób stanąć jako tako na nogi. A nawet pozwoliłem sobie wówczas na mały dowcip. Dąbski to mięczak, więc wyobrażam sobie, jak musiał robić w portki, gdy zatelefonowałem do niego i - nie przedstawiając się - oznajmiłem, że wiem wszystko. A on nie orientował się, kto mówi. Pewnie podejrzewał, że to Horn. Zabawne, co? No, ale to tylko dygresja. Wydało mi się jednak, że powinien pan mieć jasny pogląd na

tego gówniarza. Matka go tak rozpieściła, że - niemal dosłownie - jeździł jej po głowie. Zaczęło mu się wydawać, że i ze mną tak można. Wszystko ma jednak swoje granice. Szkołę i studia mu płaciłem, wóz kupiłem, ale więcej? Z nim ślubu nie brałem, a nawet jakby - zawsze można się rozwieść.

Wanacki niezdecydowanie rozejrzał się wokoło.

- Wie pan, gdzie żona przechowuje zwykle biżuterię?

- Ba... - odparł Zelman - jest taka nieporządna. Ma wprawdzie specjalną szkatułkę, ale sam nieraz widziałem jej świecidełka w najróżniejszych miejscach. Czasami nawet tam, gdzie by się ich człowiek najmniej spodziewał, na przykład na popielniczce w ubikacji. Natomiast szkatułka zawsze leżała w szufladzie.

Podszedł do otwartej szafy. Po kilku minutach odwrócił się.

- Nie ma - stwierdził. - Nic nie ma! Ani biżuterii, ani pieniędzy, ani nawet książeczek PKO.

Starał się mówić spokojnie, ale timbre głosu zdradzał, że to opanowanie jedynie pozorne.

Wanacki przeżywał gorzki moment rozczarowania. Jeszcze do ostatniej chwili liczył na szczęśliwy przypadek. Łudził się, że broszka z zielonych kamieni, ta druga broszka, w której nie brakowało żadnego kamienia, trafi nareszcie do niego. I że stanie się to właśnie tutaj. Tymczasem nadzieje zawiodły.

- Co pan proponuje? - odezwał się Zelman.

- Nie orientuje się pan, dokąd mogła pojechać?

Zelman wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- A pański pasierb, Balcerzak, gdzie trzyma stale swój wóz?

- Mam dwa garaże... Chce pan zobaczyć?

Ogród tonął we mgle. Była ciemno. Latarnie na ulicy nadal

się nie paliły; jedynie lampa znad drzwi wejściowych rzucała nikiłe światło.

Przed sobą Wanacki miał ciemny zarys pleców Zelman. W pewnym momencie Zelman skręcił, zszedł podjazdem w dół. Porucznik przystanął przy ogrodzeniu, obok otwartej bramy. Przeczynał, że pomieszczenie okaże się puste i że wóz, który go minął, był rzeczywiście renówką Balcerzaka. Czyż jednak nie dziwne, że Zelman rzekomo nie wiedział o nieobecności żony i pasierba? A może po prostu udawał, że nie wie?

- Oboje - rzekł głośno Zelman. - A przecież jeszcze po południu... po południu Alina musiała być w domu. Pamiętam jej płaszcz na wieszaku w przedpokoju i... - nagle przerwał, zaskoczony, że oto chyba odkrył coś nieprzewidzianego.

Albo też i on usłyszał niespodziewany szmer...

Czyjaś ręka uniosła w górę ciemny, złowrogi przedmiot. Wanacki chwycił go w ostatniej chwili, powstrzymał. Jednakże zaciśnięta dłoń nadal obejmowała drewniane stylisko. Ostrze siekiery zawisło tuż nad twarzą. Wanacki ujrzał przepojone nienawiścią, zawzięte oczy Horna.

Zwarli się w walce, upadli na betonowy podjazd garażu, stoczyli po pochyłości w dół i tu dopiero zatrzymali. Obok swej twarzy Wanacki ujrzał buty Zelman.

W sekundę później sytuacja uległa zmianie. Na betonie leżała wytrącona Hornowi siekiera.

Wanacki nawet nie spostrzegł, jak to się stało. Zobaczył jedynie błysk ostrza oraz zamach ręki Zelman. Teraz bowiem z kolei Zelman rzucił się z siekierą na Horna.

Wanacki okazał się szybszy. Chwycił Zelman za przegub i trzymał tak długo, aż siekiera wypadła mu z ręki. Właściwie było już po wszystkim...

- A teraz tutaj! Nie ruszać się! - rozkazał Wanacki. Zapalił światło; gołą żarówkę pod sufitem.

- Dlaczego pan to zrobił, Horn? - spytał. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, otarł krew z rozciętego podczas walki łuku brwiowego.

Zamiast Horna odezwał się Zelman.

- Niech go pan zamknie! Niech go pan wreszcie zamknie! Na co pan czeka? - Głos nasilił mu się do histerycznego falsetu. - Sam pan przecież widział! Chciał pana zabić! To morderca!

- Dlaczego pan to zrobił, Horn? - powtórzył Wanacki.

- Pomyliłem się - odparł nareszcie Horn. - W ciemności wziąłem pana za niego, za Zelmana. Usłyszałem tylko głos - jego głos. Wydawało mi się, że go widzę stojącego przy ogrodzeniu. Była dogodna sytuacja, brama otwarta, ciemno, podszedłem z boku... No i - pomyliłem się. Nie pana przecież... - urwał. - Jego... Jego chciałem zabić. Tak! I jeśli teraz czegokolwiek żałuję, to jedynie tego, że pan tu był. Inaczej... - Zaczepnął powietrza. - Inaczej dawno by nie żył. Dopiero wtedy byłaby sprawiedliwość. - Niespodziewanie z jego gardła wydobył się dziwny odgłos, przypominający zawstydzone, skrywane szlochanie.

Zelman wzdrygnął się z pogardy i obrzydzenia.

- Mówiłem, że to wariat! Niech pan na niego popatrzy! Wariat i morderca!

Horn jakby nie słyszał.

- Nie ma jej - powiedział cicho - nie ma jej, i już. Pan wie, że ją kochałem. Może nie była tego warta, ale ją kochałem.

- Niech pan się weźmie w garść, zanim stąd wyjdziemy - poradził Wanacki.

- Wszystko mi jedno - rzekł Horn. - Bożena nie żyje, a ja go nie zabiłem. Tylko to się liczy.

- Skąd pan wie, że nie żyje?  
- Dziś w nocy... W lesie... Chciałem z nią porozmawiać, ale w domu się nie zjawiła. Ani po południu, ani wieczorem. Pojechałem do Gizińskiego, myślałem, że coś wie. Nic mi nie powiedział. A ja... Byłem zmęczony, poza tym wieczorem trochę wypilem. W pewnym momencie poczułem, że już nie jestem zdolny do prowadzenia wozu. Wjechałem w pierwsze lepsze krzaki i chyba od razu zasnąłem. Później błądziłem po lesie, nie mogłem znaleźć drogi. Natrafiłem natomiast na volvo Bożeny. Zobaczyłem... Miała na szyi siną pręgę, nie żyła... Tej samej nocy postanowiłem zabić Zelmę.  
- Dlaczego właśnie jego? - zapytał Wanacki.  
- Przecież pan wie - odrzekł cicho Horn.  
- Wiem - powiedział Wanacki. - Dlatego właśnie się dziwię.

Horn rzucił mu zaskoczone spojrzenie.

- Nie wmówi mi pan, że to nie on ją zabił! Nie! I tak panu nie uwierzę! Nigdy! Nikomu! On ją zabił! Przeszkadzała mu, tak samo jak przedtem poprzednia żona!

- Zwariował! - krzyknął Zelman. - Niech pan nie wierzy ani jednemu słowu! Ty świnio! Słyszysz, Horn, jesteś zwyczajny bydlak! Wszyscy dobrze wiedzą, że tamto to był wypadek! Ty też! Dawno bym siedział, gdyby było inaczej.

- Ty?! Ty jesteś na to za wielki cwaniak! Ale mnie nie wykiwasz! - Odwrócił zabrudzoną twarz w stronę Wanackiego. - Spotykał się z nią tam, na Hożej. Nie wiedziałem, przysięgam, nie wiedziałem, że aż do tego doszło! Dopiero kiedy pożyczył mi klucz... Myślę, że zrobił to umyślnie. Chciał mi dać do zrozumienia, że on i ona... Może sądził, że ją zabiję z zazdrości i nie będzie problemu?

- Ty idioto! - przerwał Zelman. - Zazdrość ci odebrała rozum!

Horn zachowywał się tale, jak gdyby nie dotarło do niego ani jedno słowo.

- To był poniedziałek. Pamiętam jak dziś. Znalazłem kamień. Od razu poznałem, że z broszki Bożeny. Sto tysięcy razy wracałem w myślach do tej chwili i nie miałem odwagi z nią porozmawiać. Wtedy on... Tak, właśnie wtedy musiał zrozumieć, że nici z jego planu. A może Bożena mu groziła? Czegoś żądała, czego nie mógł spełnić? A może zorientowała się, że ta dziewczyna... Wtedy pewnie postanowił się pozbyć Bożeny. No i zabił, a przy tym znowu urządził wszystko tak, żeby być poza podejrzeniami. Jak wtedy, w Tatrach. Albo z tamtą dziewczyną na Hożej. Czy mogłem pozwolić na to, żeby uszedł sprawiedliwości? Czy miałem czekać, aż milicja go wypuści - wolnego? No, niechże pan sam powie, czy nie mam racji? Musiałem... - po poprzednim gejerze słów głos Horna stopniowo słabł i cichł, przechodząc w szept - ...tak zrobić, musiałem sam tutaj przyjść...

Na ustach Zelmana pojawił się ironiczny uśmiech.

- Teraz pan chyba już nie ma wątpliwości, że to obłąkany. Powinni się nim zająć psychiatrzy, a najodpowiedniejszym miejscem dla niego byłyby chyba Tworki. Widzi pan przecież, że nic się nie trzyma kupy.

Ty idioto! - zwrócił się znów bezpośrednio do Horna. - Ty le mnie ona obchodziła, co zeszłoroczny śnieg! Słyszysz? Tyle samo! Biedny głupcze! Uwierzyłeś w to, co pletli inni! Że ja i ona! Zawsze byłeś ślepy, o wszystkim dowiadywałeś się ostatni. Mogła cię nabierać, jak tylko chciała, i opowiadać ci androny, w które chętnie wierzyłeś. To było już dawno skończone! Dawno! A chcesz wiedzieć, odkąd? Od chwili, kiedy zobaczyłeś u niej broszkę. Tak, tak, tę właśnie broszkę, którą podobno bardzo lubiła! Z zielonymi kamieniami. Głupek jesteś, jeżeli myślisz, że brakowało w niej kamienia. Nie w niej!

Wcale nie w niej! Ta broszka bez kamienia to była moja broszka! Rozumiesz? A raczej broszka mojej żony. Ja ją zabrałem żonie i podarowałem właścicielce kawalerki. Już wtedy broszka nie miała kamienia.

- Jak to? - zapytał niemal bez tchu Horn. - Były dwie identyczne broszki? - Tylko to jedno, widać, dotarło do jego świadomości.

- Dwie - odpowiedział za Zelmana Wanacki.

- Nie rozumiem - rzekł Horn. Podniósł usmarowaną dłoń do oczu, rozmazując po twarzy nowe smugi brudu. - Więc gdzie jest druga broszka? Ta ze wszystkimi kamieniami?

- Broszka Bożeny... - powtórzył machinalnie Zelman. - Więc to...

- Gdzie pan ją widział? Gdzie?! - wtrącił szybko Wanacki.

Zelman spojrzał na niego ciężkim, nieruchomym wzrokiem.

- Tak - rzekł wreszcie z wysiłkiem. - Muszę to panu powiedzieć. Ja wiem, że Urszula... Wiem, że pewnie nie była tego warta... Po co zresztą wracać do tej samej sprawy? Pan orientuje się przecież, jaki był mój stosunek do niej. Ale ona nie żyje. I właśnie dlatego... - W jego głosie zabrzmiało zdecydowanie. - Zresztą pan i tak się już chyba domyśla. I pewnie przyszedł pan przede wszystkim po to? Więc panu powiem. Tak, widziałem broszkę. Dziś po południu. Jak przyszedłem z pracy. Na wieszaku wisiał płaszcz. I w klapie... W klapie - znów tak jak kiedyś - wpięta była broszka. Nie brakowało w niej ani jednego kamienia.

W tym momencie z ulicy doszedł gwałtowny zgrzyt hamulców, a za chwilę podniesione głosy. W bramie ukazała się znajoma, krępa sylwetka Stępnia.



Dąbski szukał taksówki długo i bezskutecznie. Wreszcie postanowił pojechać na Ateńską autobusem. Nie znając zbyt dobrze topografii Saskiej Kępy, wysiadł jednak za wcześnie i ugrzązł w labiryncie skąpo oświetlonych, zamglonych uliczek.

Na Ateńskiej było już w ogóle niemal ciemno. Dąbski zauważył, że nie pali się żadna latarnia.

Przy krawężniku stał mały, biały fiat, a obok umundurowany milicjant. Serce podskoczyło Dąbskiemu do gardła. Milicjant obrzucił jednak przechodzącego mężczyznę obojętnym spojrzeniem. Zajęty był chyba tylko pilnowaniem samochodu.

Dziennikarz nie zdążył ująć paru kroków, gdy ciemna dotąd ulica niespodziewanie się rozjaśniła. Gdzieś z tyłu wyjechały pełnym gazem dwa milicyjne wozy. Niebieskie światła na dachach pulsowały przyspieszonym rytmem. Pierwszy samochód zatrzymał się na moment przy białym fiacie, drugi popędził naprzód.

Dąbski starał się narzucić sobie spokój i wewnętrzne opamiętanie. Sam siebie usiłował przekonać, że to jedynie przypadek. Jednakże przecucie mówiło mu, że jest inaczej.

W każdym razie zwolnił. Z ulgą powitał wysokie drzewo o grubym pniu i stanął w jego cieniu.

W chwilę później przemknął koło niego również i drugi samochód. Dąbski nie poruszył się.

Wozy zatrzymały się, wyskoczyła grupa ludzi, prowadzonych przez krępego mężczyznę o szerokich barach.

Ze swego miejsca za drzewem Dąbski słyszał cichnący gwar głosów. Nawet i teraz nie ośmielił się jednak ruszyć.

Minęło parę minut, wydających się wiecznością, zanim ten sam mężczyzna pojawił się znowu na ulicy. Otworzył drzwi samochodu i wydał szoferowi półgłosem jakieś polecenie. Wóz odezwał się włączonym silnikiem. Mężczyzna skinął

ręką. Na ten znak wyszli również pozostali.

Skład grupy nie był jednakże identyczny, jak poprzednio. W środku szły dwie znajome Dąbskiemu postacie. Poznał Zelmana oraz Horna.

Od nowa, jak przedtem z rana, poczuł, że nogi uginają się pod nim i miękną. Ręka sama wyciągnęła się w kierunku wilgotnych metalowych sztachet, krew odpłynęła z serca.

Samochody ruszyły.

Miałem szczęście - pomyślał Dąbski - miałem cholerne szczęście, że nie przyszedłem tu wcześniej.

Samochody zniknęły w ciemnościach ulicy. Powoli ruszył z powrotem i Dąbski.

Tak widać chciał los - powtórzył w myślach - i nie należy lekceważyć ostrzeżenia.

Zawsze ufał w szczęśliwe lub nieszczęśliwe gwiazdy, kierujące losami ludzi. Teraz uwierzył również w to, że historia z taśmami, w którą się wplątał, rozwiąże się jakoś sama, bez jego udziału, lecz również i bez konsekwencji. W końcu nie działał rozmyślnie ani też ze swej własnej woli. Znajdował się w sytuacji przymusowej, był szantażowany; czy już to nie powinno być wystarczającym usprawiedliwieniem? No i szukał przecież Gizińskiego, chciał rozmawiać z Zelmanem. Liczył, że uwolni się wreszcie spod ich presji. Jedyne traf sprawił, iż nie zrealizował swych zamiarów do końca.

Trochę uspokojony, wyszedł na Wał Miedzeszyński. Z przyjemnością zaciągnął się ostrym, zimnym powietrzem.

Być może - pomyślał - cała sprawa już nigdy nie ujrzy dziennego światła. Chyba że - kurcz strachu na nowo chwycił go za serce - że Zelman... A jak wyciągną tam z niego wszystko, co tylko będą chcieli i potrzebowali? W takich sytuacjach

mówi się nieraz wiele. Czasem zbyt dużo.

Wiatr znad Wisły przejął Dąbskiego przenikliwym chłodem. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mózgu na dobre zagościł strach. Mężczyzna zrozumiał, że nigdy już się go nie pozbędzie, jeśli...

Nie! - powstrzymał się raz jeszcze. - Nie mogę tego zrobić... Nie mogę sam pójść tam do nich i tak ni stąd, ni zowąd powiedzieć im całą prawdę.

Znał siebie dobrze i wiedział, iż nie starczy mu na to odwagi. Ale w przyszłości? Jeśli nie uda mu się zapomnieć? Idąc powoli w stronę domu, miał przeczucie, że tak się kiedyś stanie...

Szosa biegła dotąd wśród terenów niemal zupełnie płaskich, wyciągających w jej kierunku jezory pustych o tej porze roku pól i podmokłych łąk. Pewnie dlatego mgła nie ustępowała, a wprost przeciwnie - stawała się coraz gęstsza i coraz też groźniejsza.

Początkowo Balcerzak żywił nadzieję, że kiedy miną Mławę, a droga wejdzie w pierwsze mazurskie wzgórza, mgła choć trochę ustąpi. Stało się jednak inaczej. Ani jeden z mijanych zakrętów i ani jedno ze wzniesień nie odsłaniało lepszej widoczności. Tumany mgły okręzały samochód ze wszystkich stron, wciskały się coraz natarczywiej.

Balcerzak spojrział na zegarek. Jechali już prawie trzy i pół godziny, a przecież wciąż byli właściwie dopiero na początku drogi. Oczy łzawiły od wpatrywania się w zatarty w wielu miejscach lub niewidoczny spod cienkiej warstwy śniegu biały pas w środku jezdni. Chwilami odnosił wrażenie, że wszystko wokół wiruje razem z mgłą.

Matka chyba spała. Tak przynajmniej mogła sugerować jej

pozycja. Zwieszona głowa podrygiwała w takt jazdy, ciało, zagłębione w siedzenie, wydawało się małe i niepozorne.

Jednakże Zelmanowa nie spała. Tak jak i w domu, również tutaj nie mogła zasnąć. Sen nie chciał przyjść mimo zmęczenia. Tego, co się stało, nigdy już nie będzie mogła zapomnieć. Lecz gdyby wszystko miało się zacząć raz jeszcze, od początku, nie cofnęłaby się w pół drogi i nie postąpiła inaczej. Po prostu nie widziała innego wyjścia. To było jedyne, czyli musiało być najlepsze. Nic więcej. Tak mało, zarazem jednak tak wiele.

Ulęg przynosiła jedynie świadomość, że nie jest sama. Spod wpróżymkniętych powiek spojrzała z czułością na syna i naraz wydało jej się, że myśli ich obojga są identyczne i że on też...

W pewnej chwili poczuła jakiś wstrząs.

- Co się stało?

- Ach, nic - uspokoił ją Janusz - tylko dziura. Mgła, więc nie zauważyłem.

Wiedziała, że ją okłamał. Jest zmęczony tą straszną poprzednią nocą. I dniem, i jazdą, i mgłą. A koła samochodu zsunęły się na moment na pobocze.

- Uważaj! - ostrzegła. Właściwie o siebie samą się nie niepokoiła. Jedyne o niego, i tylko o niego.

- Cały czas uważam - odpowiedział. Marzył o gorącej kawie, ale kawy - nie było i nie było też miejsca, gdzie można by się jej napić. Wjechali w lasy i jeszcze gęstszą mgłę.

Przez kilkanaście następnych kilometrów jechali w pełnym milczeniu. Balcerzak zapalił papierosa, w przegrzanym aucie zrobiło się duszno.

- Wywietrz trochę - poprosiła Zelmanowa - strasznie gorąco!

Sięgnął ręką w stronę okna. W tym samym momencie zza

niewidocznego we mgle zakrętu wynurzył się, nie dostrzeżony poprzednio, pojazd. Balcerzaka oślepiło światło reflektorów, rozszczeplające się na jaskrawe, pojedyncze pasma. Gwałtownie, oburącz chwycił kierownicę, noga odruchowo powędrowała na pedał hamulca. Samochód obrócił się wokół własnej osi, zatańczył w poprzek jezdni, przetoczył się na drugą stronę i uderzył w przydrożne drzewo...

- No i co? - spytał od drzwi Wanacki. W rękach niósł tacę z herbatą i krakersami.

Stępień raptownie podniósł głowę. Przez moment Wanacki nie mógł pozbyć się podejrzenia, iż jego własny szef po prostu na chwilę się zdrzemnął.

- Nic. Żadnego meldunku. Nikt nie widział rajdowego renault, znikąd żadnej wiadomości - ani o Balcerzaku, ani o Zelmanowej.

- Trudno - westchnął Wanacki. Postawił tacę, postłodził herbatę i wziął krakersa. Przełykał machinalnie gorący płyn, nawet nie czując jego smaku, i myślał o minionym wieczorze, znów próbując ułożyć jakoś całą tę łamigłówkę.

Więc Zelmanowa natknęła się przypadkowo na klucz od kawalerki na Hożej. Miał charakterystyczny kształt i ciekawą plakietkę - może właśnie przez to zwrócił jej uwagę? Chyba zrobiła odcisk klucza - ale kiedy dowiedziała się o jego właściwym przeznaczeniu? Ktoś pewnie zdradził jej adres; może ją nawet i sam tam zaprowadził? Chociażby dla odegrania się na Zelmanie. Na przykład Bożena Horn...

Mimo pozornie przyjacielskiego rozstania, mogła jednak zachować pewną urazę do Zelmana. Albo wygadała się przez nieostrożność wtedy, gdy Zelmanowa pokazała jej przy jakiejś okazji klucz.

No i dalej. Zelmanowa ma już klucz, a raczej jego kopię, wie, które drzwi otwiera i zna też rolę garsoniery na Hożej. Młoda dziewczyna, która nie jest już przelotną miłośką Zelmana, lecz kimś więcej, może się stać groźna: W razie ewentualnego rozwodu ani mowy o utrzymaniu dotychczasowego standardu życia. Także dla syna.

Dzięki podrobionemu kluczowi Zelmanowa dostaje się do mieszkania na Hożej. Uszkadza lampę. W gruncie rzeczy jest jej wszystko jedno, kto zginie: Zelman czy też jego dziewczyna. Jeśli umrze mąż, odziedziczy po nim cały majątek. Jeśli dziewczyna - sprawa automatycznie przestanie istnieć, a związane z nią kłopoty zniechęcą zapewne Zelmana do dalszych eskapad.

Jednakże dalszy ciąg wydarzeń nie układa się po myśli Zelmanowej. Przede wszystkim upada wersja nieszczęśliwego wypadku, na którą liczyła. Później zauważa, że zgubiła broszkę. Nie wie, gdzie to się mogło stać. Przypuszcza, że w garsonierze na Hożej, bo i skąd może się domyślać, że broszkę zabrał sam Zelman dla Wierzbickiej? Na dodatek istnieje jeszcze Bożena Horn. Na razie przebywa za granicą, ale po powrocie może się stać niebezpieczna, ponieważ pamięta, co powiedziała Zelmanowej na temat klucza i kawalerki przy Hożej.

Nareszcie Bożena wraca. Pod byle jakim pretekstem Zelmanowa od razu porozumiewa się z piosenkarką. Zabiera się z nią samochodem do wytwórni. Wszystko jej sprzyja. Bożena jest jeszcze w kraju zbyt krótko, by skontaktować się z milicją.

Poza tym w klapę płaszcza Bożeny wpięta jest broszka z zielonych kamieni. Być może właśnie to staje się bezpośrednią przyczyną drugiej zbrodni. Alina nie pamięta, a może nie zauważyła, że w jej własnej broszce brakowało zielonego kamienia. Wydaje się jej, że Bożena nosi teraz tę samą broszkę,

którą Alina gdzieś zgubiła. A jeśli tak - tym bardziej jest teraz niebezpieczna, więc musi zginąć.

Alina prosi Bożenę o zjechanie na moment z leśnej drogi i o zatrzymanie samochodu. Pod byle pretekstem wybiera odludne miejsce, zarzuca piosenkarce zniecka pasek na szyję... Wkrótce jest po wszystkim. Zelmanowa usiłuje odpiąć broszkę, ale czas nagli. Poza tym denerwuje się - wyrywa więc broszkę z klapy płaszcza piosenkarki i automatycznie wpina ją w swój. Następnie wprowadza wóz głęboko w las. Zacierając wszystkie ewentualne ślady własnej obecności w samochodzie i - przez las - tak właśnie jak później prowadził pies - dociera na dworzec. Wsiada w pociąg, wieczorem jest już w willi na Ateńskiej. Nikt jej nie podejrzewa.

Ale dlaczego nagle wyjeżdża? Dlaczego wyjechała razem z synem?

Na to pytanie Wanacki nie umiał odpowiedzieć. I nawet sam nie spostrzegł, jak głowa przechyliła mu się łagodnie w bok, a ciało zagłębiło w oparcie fotela - i jak zasnął.

Obudził się, kiedy w pokoju było prawie jasno. Stępień siedział przy biurku, ziewając i drapiąc się wierzchem dłoni po ciemnym, nie ogolonym podbródku.

- Dalej nic? - zapytał Wanacki.

Zamiast odpowiedzi, odezwał się jeden z telefonów. Głos w słuchawce zaczął coś relacjonować podniesionym tonem.

- Dlaczego tak późno? - przerwał Stępień. - Tak... I nikt ich nie widział? Nikt? Co u was za ludzie, do diabła, pracują? - Z impetem, wściekły, rzucił słuchawkę na widełki.

- Chodź - powiedział - jedziemy. Wiadomość z Olsztyńskiego. Znaleźli ich. Wpadli we mgłę w poślizg, za Mławą. Przygodny samochód odwiózł ich do szpitala. Zelmanowa zmarła w izbie przyjęć, Balcerzak ranny.

Wanacki przysunął sobie krzesło, siadł przy łóżku Balcerzaka.

Chłopak leżał już na Ateńskiej. Pokój był zaniedbany, rajdowe trofea na macie pokryła warstwa kurzu. W powietrzu unosił się zastarzały zapach dymu z papierosów.

Na widok Wanackiego Balcerzak nie zareagował. Nie odpowiedział na powitanie, nie podniósł głowy z poduszki. Zachowywał się identycznie, jak wkrótce po wypadku, kiedy Wanacki odwiedził go na zastawionym łózkami korytarzu powiatowego szpitala, oraz jak kilkakrotnie później. Lekarz, z którym Wanacki rozmawiał, sugerował szok, spowodowany wypadkiem i śmiercią matki. Nie wiedział oczywiście o niczym więcej. Przypuszczał, że po kilkunastu pierwszych dniach szok minie, a zachowanie pacjenta zmieni się. „Nawiąże kontakt z otoczeniem” - tak to fachowo nazywał.

Swoją opinię formułował naturalnie tylko na podstawie fizycznego stanu chorego. W przeciwieństwie do matki, Balcerzak nie odniósł poważnych obrażeń: dwa pęknięte żebra oraz lekki wstrząs mózgu. Samochód uderzył w drzewo prawym bokiem, czyli stroną, po której siedziała Zelmanowa. Dodatkowo Balcerzaka uchroniło koło kierownicy.

Na pozór nie istniały więc żadne powody hamujące szybki powrót do zdrowia i po około trzech tygodniach Balcerzak mógł opuścić szpital.

Zelman odmówił przywiezienia pasierba i tak się w końcu złożyło, że milczącego całą drogę Balcerzaka przywiózł do Warszawy własnym samochodem Wanacki.



Na Ateńską wprowadzono go w asyście milicji. Zelman, który początkowo nie chciał Balcerzaka wpuścić do willi, ponuro przyglądał się całej ceremonii.

Równie ponury był i Wanacki. Jego niechęć do Zelmana bynajmniej nie zmalała i jeżeli nad kimkolwiek się w tej chwili litował, to jedynie nad jego pasierbem. Na razie Balcerzak miał wprawdzie prawo do mieszkania na Ateńskiej - co jednak będzie później? Od chwili wypadku pod Mławą, Zelman coraz częściej przebąkiwał o zamiarze sprzedaży willi. Na utrzymanie pasierba ani myślał dalej łożyć. Zapowiedział, że los Balcerzaka ani goiębi, ani grzeje. Gdyby nie Jolka, która dzień w dzień zjawiała się na Ateńskiej, Balcerzak zdany byłby jedynie na własne siły.

Jolka zwróciła się zresztą wkrótce do Wanackiego z prośbą o radę i pomoc. Odrzekł, że będzie próbował i wyraził przekonanie, że prędzej czy później życie upomni się jednak o swe prawa.

Tymczasem, jak dotąd, Balcerzak nie odpowiadał na pytania; milczał, nie można było nawiązać z nim kontaktu.

Wanacki wyciągnął rękę, położył na odsłoniętym ramieniu chłopaka. Balcerzak zareagował nagłym wzdrygnięciem, ale nie zmienił poprzedniej pozycji.

- Pan przecież wie - powiedział Wanacki - że dla niej było to najlepsze rozwiązanie. Powinien pan czuć wdzięczność dla losu, że tak się stało.

Na moment stanęła mu przed oczami chwila, kiedy w budynku szpitalnej kostnicy odsłonięto przed nim oraz przed Stępnem zakryte dotąd prześcieradłem zwłoki Aliny Zelman.

Nie były tak zmasakrowane, jak się tego poprzednio spodziewali i jak sądzili na podstawie wyglądu rozbitego samochodu. Zniekształcona została jedynie niewielka część twarzy. Ranę przy skroni przykryły włosy. Skóra nabrała już

wprawdzie sinawego odcienia, jednakże ani w rysach twarzy, ani też w półotwartych oczach nie dostrzegli przerażenia. Usta miała nawet delikatnie rozchylone, jak gdyby układające się do uśmiechu, co nadawało twarzy wyraz upragnionego wreszcie spokoju. W ostatnich chwilach życia Alina Zelman zapewne nie zdawała sobie sprawy ze zbliżającej się śmierci.

Patrząc na nią, Wanacki nie mógł się nawet powstrzymać od pewnego rodzaju współczucia. Później jednak przesunął wzrok niżej i uczucia raptownie się zmieniły. Przy klapie płaszcza dostrzegł broszkę.

Dziwnym trafem nie była uszkodzona i nie rozbił się żaden z zielonych kamieni.

Wanacki pochylił się. Delikatnie, przez chusteczkę odpiął klejnot od płaszcza, podał broszkę Stępniewi.

W ciągu kilkunastu następujących dni dysponowali już całością ekspertyz - wszystkimi zarazem dowodami, które normalną koleją powinny zaprowadzić Alinę Zelman na ławę oskarżonych.

Na broszce, odpiętej przez Wanackiego od płaszcza, dostrzeżono drobinę materiału, identyczne z nitkami, wyrwanymi z płaszcza Bożeny Horn. Do obcasów butów piosenkarki przykleiły się mikrowłókna pochodzące z płaszcza Aliny Zelman. Z kolei na zelówkach i obcasach Zelmanowej tkwiły resztki ziemi, zmieszanej z drobinami mchu, a takie właśnie było podłoże w okolicach miejsca zabójstwa piosenkarki.

Kamień, znaleziony przez Horna w mieszkaniu na Hożej, idealnie wchodził w puste miejsce w broszce, ofiarowanej przez Zelmana Wierzbickiej. Zbadano też rodzaj przytwierdzającego go lepiku i okazało się, że resztki lepiku z broszki były identyczne z lepikiem na kamieniu.

Na jednej z par butów Aliny Zelman odkryto mikroskopijne,

wbite w wierzchnią warstwę skóry, drobiny materiału izolacyjnego. Pochodziły z przewodów lampy z kawalerki na Hożej.

W torebce Zelmanowej znajdował się dorobiony klucz, otwierający drzwi mieszkania na Hożej.

Nie znaleziono jedynie narzędzia zbrodni, którym zamordowana została Bożena Horn. Wanacki przypuszczał, że był to zwyczajny skórzany pasek, po dokonaniu morderstwa po prostu wyrzucony gdzieś po drodze.

Wanacki przeżywał mieszane uczucia. Z jednej strony doznawał satysfakcji, że sprawa została zamknięta, z drugiej odczuwał pewien niedosyt, związany z faktem, że nigdy już nie będzie mu dane poznać do końca motywów działania. Nigdy nie usłyszy ani potwierdzenia, ani też zaprzeczenia. Zostaną jedynie przypuszczenia i hipotezy. Natomiast motywy...

Biorąc pod uwagę okoliczności wypadku na Hożej, w grę wchodziły właściwie cztery osoby: Horn, Zelman, jego żona oraz Balcerzak.

Gdyby nie zielony kamień, znaleziony w pokoju na Hożej, Wanacki podejrzewałby przypuszczalnie przede wszystkim Horna. Zelmana, choć przyznawał to niechętnie, musiał stopniowo eliminować. Balcerzaka skreślił ostatecznie ze swej listy po rozmowie z Elżbietą. Właśnie Elżbieta dała mu bowiem, zapewne nieświadomie, najlepsze alibi. Będąc z Jolką w Zakopanem, Balcerzak w żadnym wypadku nie mógł zabić Bożeny Horn, a oba morderstwa - i to na Hożej, i zabójstwo piosenkarki w podwarszawskim lesie - wiązały się, zdaniem Wanackiego, w jedną całość.

Pozostali więc w końcu jedynie Horn oraz Zelmanowa - oboje jednakowo uporczywie zaprzeczający swojej bytności w kawalerce na Hożej, oboje jednak posiadający motywy do popełnienia zbrodni. Rozwikłanie sprawy dwu identycznych broszek z zielonych kamieni okazało się równoznaczne ze

wskazaniem właściwego sprawcy.

Balcerzak przekręcił się na wznak. Rudawe włosy opadły na poduszkę, oczy spjrzały apatycznie w sufit.

- Kto pana prosił? - Głos chłopaka miał nieprzyjemnie chropawy odcień. Od łóżka bił zapach potu i nie mytego ciała. Brązowe plamki na twarzy Balcerzaka były wyraźniejsze niż kiedykolwiek przedtem i bardziej też rzucało się w oczy podobieństwo do matki. - Kto pana, do jasnej cholery, prosił, żeby pan włąził z butami w moje życie? Kto prosił was wszystkich, żebyście się do mnie wtrącali? Co to was obchodzi? Dajcie mi wreszcie święty spokój! Czego pan ode mnie chce? Jeszcze coś nie gra, co? Czegoś brakuje, żeby móc pięknie wszystko odfajkować? No, czego?

- Słuchaj, chłopie! - Wanacki udawał, że nie dociera do niego napastliwy ton. - Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiał. Nie ma potrzeby rozgrzebywać dawnych spraw. I tak już wystarczająco dużo wiemy. Widzisz, nawet nie zamierzam cię o nic wypytywać. Zresztą - wzruszył ramionami - prawo i tak zezwala ci odmówić wszelkich zeznań. A zmuszać cię nie będę. Myślałem tylko, że będzie ci lżej. Widzisz, jak zrzuci się ciężar z pleców, łatwiej potem iść. Poza tym - przerwał patrząc przed siebie w okno, za którym rysował się wierzchołek srebrnego świerka - myślałem, że może będziesz chciał coś powiedzieć na jej obronę. Ostatecznie była przecież twoją matką... No, ale skoro nie chcesz... - Podniósł się udając, że chce wyjść.

Balcerzak zatrzymał go ruchem ręki.

- Niech mnie pan nie czaruje! Odczepi się pan wreszcie, jak panu powiem, że nie tylko wiedziałem, ale i nie żałuję? No, co? Dziwi się pan?

Wanacki pokręcił przecząco głową.

- Nie. Wydaje mi się, że rozumiem.

- Klucz - wyszeptał Balcerzak, bardziej sam do siebie niż do Wanackiego. - To było wtedy, kiedy znalazłem klucz. Wypadł jej z torebki i leżał w przedpokoju. Wtedy właśnie mi powiedziała... Tak! - krzyknął załamującym się, pełnym rozpaczy głosem. - Dla mnie to zrobiła! Tylko dla mnie! Jak mogłem więc jej nie pomóc? Chciałem ją wywieźć. Daleko stąd. Żeby zapomniała. I żeby - dokończył cicho - nikt jej nie znalazł, nikt się nie domyślił. A później, w szpitalu... kiedy mi pan powiedział, że wszystko już wiecie... Czy - uniósł głowę, a na policzkach po raz pierwszy od dłuższego czasu pojawiły się różowiejące plamy rumieńców - będąc na moim miejscu, postąpiłby pan inaczej? - Ukrył twarz w poduszce, tłumiąc dziecinny właściwie jeszcze, rozpaczliwy płacz. Płakał żałośnie jak człowiek, który wraz z płynącymi łzami doznaje uczucia ulgi.

- Dopytują się o pana na politechnice - rzekł Wanacki udając, że nie docierają do niego te odgłosy. - Rozmawiałem z dziekanem. Gotów jest ułatwić panu przesunięcie egzaminów i zaliczeń, jeśli dostarczy pan odpowiednie zaświadczenie lekarskie. Dom akademicki też już jest załatwiony. Dziekan radzi wziąć stypendium fundowane. Myślę, że radzi dobrze. W ten sposób nie przerwie pan studiów, a dorobić sobie zawsze będzie można korepetycjami. Uważam, że idą maksymalnie na rękę. Lekko nie będzie, to fakt, standard życia pewnie już nie ten sam, co przedtem. Rajdy musi pan sobie chyba na długo wybić z głowy. I wiele innych rzeczy również. Pewne poglądy też trzeba będzie zmienić. Kto wie jednak, może to panu dobrze zrobi?

- Do cholery jasnej! Czy przestanie mnie pan wreszcie pouczać, jak mam żyć?

- Nie! - krzyknął Wanacki. - Jak długo masz zamiar

wylegiwać się w łóżku, robić z siebie cierpiętника i domagać się, żeby wszyscy skakali naokoło ciebie? Co się stało, już się nie odstanie i nie masz na to żadnego wpływu. Weźże się więc nareszcie w garść! - W złości nie zauważył, że zaczął mówić do Balcerzaka per „ty”.

Balcerzak usiadł na łóżku. W jego zażawionych oczach zamigotał błysk zastanowienia.

- Od kiedy aktualny byłby ten akademik? - zapytał rzeczowo.

Wanacki wrócił do domu. Kamili nie było. Zamiast niej zastał jedynie pospiesznie nabazgraną kartkę, że przyjdzie późno. Mieszkanie wydało mu się naraz puste. W lodówce znalazł pętko kiełbasy, wziął kawałek, ukroił dwie kromki chleba i zagotował wodę na herbatę.

Włączył radio. Nadawano jakąś piosenkę. Dopiero gdy się skończyła, Wanacki usłyszał, że śpiewała Bożena Horn...